

ELIZABETH HAWKSLEY

*Próba*

# 1

Więzienie de Carmes, rue de Vaugirard, grudzień 1793, lodowaty dzień. Mała dziewczynka ubrana w szary wełniany płaszczyk drżała na zimnie. Nazywała się Anna de Cardonnel i właśnie obchodziła siódme urodziny. Tydzień wcześniej jej matkę, wicehrabinę Annę-Louisę de Cardonnel, aresztowano pod zarzutem spiskowania przeciw rządowi i teraz znajdowała się w Carmes, oczekując na proces.

Anna była chudym dzieckiem, z wąskimi dłońmi i stopami i z poważnymi brązowymi oczami. Ubrana była bardzo skromnie, w niebieską wełnianą sukienkę pod szarym płaszczykiem; przy kołnierzu miała upiętą obowiązkową rewolucyjną kokardę. Wyglądała na młodszą i kiedy pojawiała się przy więziennej bramie, wpuszczano ją bez większych oporów.

- O, to znowu ty - mruknął strażnik. - Jeszcze bardziej przypominasz wygłodzonego królika. - Zerknął na koszyk w rękach dziewczynki. - Pewnie niesiesz wino dla obywatela Roblatre'a? - Obrócił się i splunął na bruk. - Szkoda, że mnie nikt nic nie przynosi.

- Może pan wziąć bułeczki, jeśli pan chce - zaproponowała Anna. - Ciocia Marie je upiekła. Są bardzo smaczne.

Strażnik pomyślał chwilę, jednak zaraz pokręcił głową. Sam miał dzieci i żał mu się zrobiło dziewczynki.

- Te biedaczyska bardziej ich potrzebują. - Ruchem głowy wskazał więzienie. - No dalej, wchodź, zanim zmienię zdanie.

Cannes nigdy nie należało do karmelitów, ale zostało zamienione na więzienie dla skazańców rewolucji. W ponurych i ciemnych celach gnieździło się zbyt wielu ludzi, a smród brudu oraz przytłaczającego odoru ekskrementów i nie mytych ciał uderzał w nozdrza już od bram. Obywatel Roblatre, dozorca więzienny, z którym Anna przyszła się zobaczyć, siedział wraz z drugim strażnikiem w małym pokoju dla dozorców; przed nim na niewielkim stoliku stała na wpół opróżniona butelka. Ogarek świecy na parapecie okiennym tylko podkreślał brak światła, zwłaszcza w ten pochmurny grudniowy dzień.

Roblatre chrząknął na widok Anny.

- O co chodzi?

Dziewczynka próbowała opanować drżenie głosu.

- Obywatelu Roblatre, proszę o pozwolenie zobaczenia się z matką

- Wiesz, że więźniów nie wolno odwiedzać.

Anna wyjęła butelkę, postawiła na stole i odwróciła tak, żeby strażnik widział nalepkę.

Podniósł butelkę i uważnie się jej przyjrzał. Potem wstał niechętnie.

- No, może tylko ten jeden raz. - Wyszedł na ciemny korytarz, a Anna, z koszykiem na ramieniu, podażyła za nim.

Zatrzymali się przed jedną z większych cel. Ciężkie zasuwę dębowych drzwi zazgrzytały niemiło przy otwieraniu. Strażnik wepchnął dziewczynkę do środka. Na kamiennej podłodze stało sześć prymitywnych łóżek; na każdym leżał siennik

nakryty kocem. Okna, zasłonięte w dwóch trzecich, dopuszczały surowe zimowe światło jedynie przez pozostałą i tak mocno okratowaną część. Nowo uformowana republika najwyraźniej nie zamierzała podejmować najmniejszego ryzyka.

Madame de Cardonnel, w widocznie zaawansowanej ciąży, siedziała na łóżku, z dłońmi złożonymi na brzuchu. Na kolanach miała rozłożoną robótkę ręczną. Kiedyś była piękną kobietą, ale teraz na czole miała głębokie zmarszczki, cerę bladą i znękanie spojrzenie. W La Conciergerie na placu dla kobiet stała fontanna, dzięki czemu więźniarki mogły zadbać choć o pozory czystości. Tutaj, w Carmes, jedynie okazjonalnie dostawały wiadro wody - wyłącznie za pieniądze - przez co madame de Cardonnel, zawsze wręcz pedantyczna, teraz musiała przez kilka tygodni nosić tę samą bieliznę i pogodzić się z brudnymi włosami.

- Pół godziny, obywatelko. - Roblatre cierpliwie wysłuchał podziękowań wicehrabiny (lubił, gdy arystokraci mu dziękowali), po czym odszedł do swojej butelki z winem.

Anna przeszła przez celę, stanęła przed matką i dygnęła dwornie. Współwięźniarka, szwaczka z zawodu, na ten widok prychnęła pod nosem.

- Też mi coś, jest się komu kłaniać. Teraz wszyscy jesteśmy równi. - Ale odsunęła się trochę.

Wicehrabina rozpięła płaszcz córki i odłożyła go na łóżko. Rzuciła Annie ostrzegawcze spojrzenie. Wiedziała, że szwaczka jest *moutons*, donosicielką, która współpracuje z dozorcami, próbując kupić dla siebie wolność, a wicehrabina chciała dać Annie coś bardzo ważnego. Musiała przemycić ostatnią sztukę biżuterii, najdroższą - kulisty szmaragd. Nikomu nie wspomniała o jego istnieniu, nawet madame de Custine, z którą dzieliła celę. Nie wątpiła w uczciwość Delphine, ale od tego kamienia zbyt wiele zależało, uznała więc, że najrozsądniej jest milczeć.

Anna musi go wynieść. Nikt nie będzie podejrzewać dziecka, zwłaszcza dziewczynki, którą strażnicy już znali, bo kilkakrotnie odwiedzała matkę w więzieniu. Kiedy wicehrabina była z Anną w ciąży, przebywała akurat we Włoszech wraz z mężem, którego wysłał do tego kraju z dyplomatyczną misją król Ludwik. Dziewięciomiesięczna ciąża minęła bez większych kłopotów, jednak sam poród był długi i ciężki, mimo wygod i komfortu ich rzymskiego palazzo i doświadczenia zajmujących się nią akuserek. Wicehrabina nie robiła sobie więc większych nadziei co do czekającego ją porodu.

Wyciągnęła ręce do córki - raczej sztywno, bo nie miała w zwyczaju okazywać czułości dzieciom - i zrobiła jej miejsce obok siebie na łóżku. Anna, skrępowana podobnie jak matka, wtuliła się w nią. Jej piękna *mamon* z porcelanową cera, zawsze słodko pachnąca, to już przeszłość, ale, przynajmniej przez chwilę, mogła być blisko niej.

- Jak się czuje twój ojciec? - cicho zapytała wicehrabina.

- Dobrze. Odwiedził nas wczoraj i czuł się dobrze.

Madame de Cardonnel jeszcze bardziej zniżyła głos.

- Czy mówił coś na temat paszportów?

- Nie, madame. - Wraz z przytroczeniem do kołnierza rewolucyjnej kokardy Anna musiała się nauczyć mówić do ojca *papa* oraz zwracać się poufale na „ty”, ale z matką jakoś nie przechodziło jej to przez gardło.

Madame de Cardonnel westchnęła. Uzyskanie pozwolenia na opuszczenie Paryża to w tych czasach bardzo trudne zadanie, a nawet jeśli mężowi uda się załatwić paszporty dla nich wszystkich, to w jaki sposób wyrwie ją z tego więzienia? Mogli kogoś przekupić, miała tę świadomość, jednak kulisty szmaragd to ostatnia cenna rzecz, jaka im została, a przecież tak łatwo go stracić...

Wicehrabina rozejrzała się, sprawdzając, czy nie są obserwowane. Szwaczka niby to czytała książkę, jednak siedziała bokiem i mogła dostrzec każdy ich ruch.

- Anno. - Matka podniosła głos. - Zapomniałyśmy o ciasteczkach. Proszę, poczęstuj wszystkich. - Szwaczka, łasa na słodycze, zajęła się wybieraniem ciasteczek i nie zauważyła, że wicehrabina podniosła płaszczyk córki i ostrożnie wsunęła coś do kieszonki ukrytej pod rewolucyjną kokardą. Zadanie zostało wykonane na długo wcześniej, nim Anna ruszyła z ciasteczkami do madame de Custine. Wicehrabina mogła teraz jedynie się modlić, żeby córki nie zrewidowano.

Kiedy Roblatre przyszedł po Annę, matka i córka na chwilę przywarły do siebie. Wicehrabina przygarnęła małą i chudą istotkę o ciemnych poważnych oczach, które znały zbyt wiele tajemnic dorosłych. Szybko pocałowała gładko uczesaną kasztanową główkę.

. - Do zobaczenia, *cherie*. - Ostatni raz pocałowała córkę i delikatnie odepchnęła ją od siebie. Anna, na wpół zamroczona przez łzy, wyszła z celi.

Na zewnątrz, przed bramą Carmes, zażywna osóбка rozmawiała z jednym ze strażników. Marie Bonnieux była ładną kobietą, około trzydziestu pięciu lat; miała puszyste włosy i błyszczące niebieskie oczy. Kiedyś pracowała we wsi należącej do wicehrabiego de Cardonnel. Przez kilka lat była jego kochanką i tuż przed wybuchem rewolucji wicehrabia przywiózł ją do Paryża i kupił dla niej sklepik. Madame Bonnieux prowadziła cukierenkę przy rue Cadanet. Mało wykwintna część Paryża, ale „biedacy mają takie same prawa do dobrych rzeczy jak i bogacze, co, obywatelu!”

Szturchnęła jednego ze strażników i mrugnęła.

- Prawda, *cherie*. - Spojrzał na zegar. - Twoja siostrzenica powinna zaraz wychodzić.

- Lepiej niech się pospieszy - rzuciła madame Bonnieux.  
- Zapowiada się na deszcz. Ale przecież nie pożałuję biednej obywatelce Cardonnel czegoś słodkiego.

- Dobrze ma pani serce - zakpił strażnik. Wiedział, że Anna nie jest żadną siostrzenicą madame Bonnieux, ale skoro przynosi prezenty, to po co cokolwiek wyjaśniać.

W drzwiach więzienia pojawiła się Anna. Była biała i wyczerpana. Gdy madame Bonnieux popatrzyła na nią, dziewczynka szybko skinęła głową.

T ego samego wieczoru w kuchni madame Bonnieux ojciec Anny odpiął kieszonkę, ostrożnie wyjął szmaragd i położył go na stole. Zastłonili okna i zaryglowali drzwi. Jedyne światło padało ze świecy. Kamień, błądy w świetle dnia, teraz lśnił głębokim, ognistym blaskiem. Miał piękną oprawę, złotą, filigranową, nakrapianą maleńkimi brylancikami i rubinami, szklącymi się w blasku świecy.

- Jest piękny, papa. - Anna westchnęła.

- Musisz go sprzedać, Victor? - zapytała Marie.

- Chyba, tak. - Wicehrabia także westchnął. - Ojciec Ignace twierdzi, że są szanse na paszporty, lecz potrzebuje zabezpieczenia. Mam trochę pieniędzy w Londynie. Niedużo, ale wystarczy, żeby wykupić kamień. Zresztą wiesz, że mamy tam rodzinę, ojciec mojej żony był Anglikiem. - Delikatnie dotknął szmaragdu, a potem odwrócił się do Anny. - Czas do łóżka, *petite*.

Kiedy córka odeszła, powiedział:

- Będę za tobą tęsknił, Marie. Na Boga, bardzo bym chciał zabrać cię ze sobą.

- No, Victor, bądź rozsądny. Twojej żonie by się to z pew-

nością nie spodobało, i nie mogę jej za to winić. Dam sobie radę, jeśli tylko nie będę podnosiła głowy.

Wicehrabia ją objął.

- Tak, sądzę, że będziesz bezpieczna - potwierdził. - Przy najmniej na tyle, na ile ktokolwiek może być teraz bezpieczny. Ale będę za tobą tęsknił. Oczywiście ogromnie szanuję żonę, ale to było aranżowane małżeństwo, a nasze zainteresowania bardzo się różnią. Przy tobie mogę być sobą.

- Powinieneś już iść - oświadczyła Marie po chwili zastanowienia.

Wicehrabia podniósł szmaragd i wsunął do wewnętrznej kieszeni. Madame Bonnieux przez szparę w zasłonach wyjrzała na ulicę.

- Czysta - poinformowała.

Przy drzwiach wicehrabia się obrócił.

- Jeśli cokolwiek się zdarzy...

- Nic się nie zdarzy - przerwała mu. Ale po jego wyjściu oparła się o drzwi i powolnym ruchem objęła się ramionami.

Londyn, rok 1800. Ludgate Street, jedna z głównych ulic londyńskiego City, dzielnicy bankowej i finansowej, ciągnącej się od Tempie Bar do katedry Św. Pawła, z rzędem sklepików, każdy z szeroką witryną, i nielicznymi mniejszymi domkami już bez okien wystawowych. Takimi jak pod numerem siódmym, ze zwyczajnymi oknami, z atrakcyjnym łukowym sklepieniem i z tablicą nad portykiem z napisem *L. Redbourn i Synowie, Handel Towarami*. Przez okno można było dostrzec lśniąca politurą mahoniowe biurko, przy nim winsdorskie krzesło, w tyle wysoki pulpit z dwoma stołkami, a na ścianie kilka rzędów półek. Na środku pokoju leżał kosztowny, czerwono-



-niebieski turecki dywan, dodający nieco ciepła pomieszczeniu, które inaczej byłoby ciut za surowe. Na nim stał mały dębowy stolik, wokół którego siedzieli Luke, Hester i Laurence Redbournowie. Wszyscy w żałobnej czerni z powodu śmierci ojca, który zmarł dziewięć dni temu. Trzydziestojednoletnia Hester, najstarsza z rodzeństwa, wyglądała znacznie poważniej. Miała zapadnięte policzki, a czarna jedwabna suknia ze skromną broszą u kołnierzyka podkreślała bladość i zmęczenie rysujące się na twarzy. Obok leżała laska z rączką z kości słoniowej; na skutek upadku w dzieciństwie Hester została kaleką. Łagodne orzechowe oczy wypełniała troska. Patrzyła na brata. Luke Redbourn miał dwadzieścia pięć lat i stał na czele rodzinnego interesu, w którym handlowano wszystkim, poczynając od smarów, a kończąc na grubych i cienkich linach, innymi słowy wszystkim, czego potrzebują cumujące w dokach statki. Przedsiębiorstwo nie było może szczególnie wyszukane, ale przynosiło zyski, a ostatnio starszy pan Redbourn dodatkowo stworzył niewielką agencją ubezpieczeniową, którą Luke również miał się teraz zająć. Chłopak był nieco więcej niż średniego wzrostu, po ojcu odziedziczył dość kręłą sylwetkę. Miał mocno umięśnione ramiona i nogi oraz szerokie plecy. Jego matka, preferująca młodszego syna, zwykła była wzdychać i narzekać, że Luke nie wygląda jak dżentelmen, tylko jak zawodowy bokser.

- Nie mam pretensji do tego, żeby być dżentelmenem, mam - niecierpliwił się Luke. - Jestem tylko prostym, uczciwym przedsiębiorcą.

Pani Redbourn w takich chwilach miała zwyczaj wzdychać i zwracać wzrok na młodszego syna, Laurence'a, którego smukła sylwetka i przystojna fizjonomia z pewnością bardziej predysponowały do roli dżentelmena, gdyby zechciał takową

odgrywać. Pani Redbourn zmarła przed dwoma laty, kiedy Laurence miał lat szesnaście, i jeśli chodzi o wygląd, to od tamtego czasu tylko wyprzystojniał. Był trochę wyższy od Luke'a, szczupły i elegancki. Podczas gdy starszy brat był szatynem, o urodzie, którą w najlepszym razie można by nazwać przeciętną, Laurence miał niebieskie oczy, ładne, kształtne usta i klasyczne rysy twarzy.

Ale to on sprawiał kłopoty.

Luke okręcił się lekko na krześle i spojrzał na brata.

- Ojciec cię ostrzegał, że jeśli to się jeszcze raz powtórzy, sytuacja stanie się poważna.

Laurence wzruszył ramionami.

- Laurence! Defraudacja to nie jakiś tam uczniowski wybryk! Jeśli wyjdzie na światło dzienne, jeśli pan Carr zdecyduje się cię oskarżyć, do czego zawsze ma prawo, znajdziesz się w więzieniu, i nie sądzę, że cię to ominie.

- Potrzebowałem tych pieniędzy - odparł z uporem Laurence.  
- Stary Carr płaci mi tylko trzydzieści szylingów tygodniowo. Co miałem robić? Ojciec nie zgodziłby się mnie przyjąć po tamtej sprawie. Jak, do diabła, miałem się utrzymać z takiej sumy?

- Większość urzędników byłaby zachwycona, dostając choćby tyle - odparował Luke - Nasi zaczynają od osiemnastu szylingów. Dobry Boże, Laurence, mnie ojciec dawał na początku tylko osiemnaście szylingów!

- A pan Carr przyrzekł, że weźmie cię do spółki - wtrąciła Hester. - Och, Laurence, jak mogłeś nas tak zawieść?

- Och, przestań gderać! - krzyknął chłopak. - Nie sądzę, żeby wysuszona stara panna miała tu cokolwiek do powiedzenia. Siedzisz tu tylko i żyjesz z naszej pracy. Czym ty się właściwie zajmujesz?

Hester pobladała. Sięgnęła po chusteczkę.

Luke na krótką chwilę dotknął jej dłoni.

- Przepróż siostrę, Laurence - nakazał surowo. - Nie pozwolę jej obrażać. Hester zajmuje się domem, służbą, zakupami, gotowaniem, praniem i nie wiem czym jeszcze.

Laurence spojrział na brata ironicznie, ale wymamrotał coś, co mogło uchodzić za przeprosiny. Kiedy żyła matka, to on był tym rozpieszczonym młodszym synem, któremu wszystko było wolno. Gdy zaciągał długi, matka je regulowała. Trochę narzekała, ale zawsze znajdowała pieniądze, a Laurence nigdy się nie zastanawiał, jakich finansowych poświęceń musiała dokonać na jego rzecz. Zupełnie się nie zgadzał ze zdaniem ojca, że powinien zaczynać od samego dołu, jak brat. Wkrótce po śmierci matki w tym właśnie pokoju obwieszczono mu, że musi rozpocząć pracę. Ojciec uważał syna za błyskotliwego młodzieńca i pokładał w nim wielkie nadzieje, jednak sprawy ułożyły się inaczej. Początkowo znikwały tylko małe sumy; potem pojawiły się niezgodności w niektórych wyliczeniach księgowych, brakowało dwadzieścia funtów tu, dziesięć tam. W końcu, pewnego wieczoru, stary pan Redbourn przyłapał Laurence'a na szperaniu w kasie. Syn przyrzekł mu wtedy poprawę, ale zdumiony i zawiedziony Redbourn zdecydował, że stanie się lepiej, jeśli chłopak zacznie od nowa, w innej firmie. Choć Laurence gorączkowo przeproszał, ojciec znalazł mu posadę u Carra. Dwa lata później na wieść, że syn zdefraudował pieniądze pracodawcy, stary Redbourn dostał zawału serca i zmarł.

- Musisz wyjechać z kraju - oświadczył Luke po chwili milczenia. - Dostałem list od pana Carra, który wszystko przesądza. - Podniósł kartkę i zaczął czytać.

*Skoro pieniądze zostały zwrócone, zgadzam się, mając na względzie pamięć Pańskiego szacownego Ojca, odstąpić od zarzutów. Jednak informuję, że jeśli tylko Laurence przyjmie jakąkolwiek posadę w strefie moich wpływów, nie zawaham się poinformować nowych pracodawców o prawdziwym obliczu ich pracownika.*

Laurence zagryzł wargi i ze złością kopnął w nogę stolika.

- A więc dobrze - podsumował Luke, widząc, że brat nie zamierza nic powiedzieć. - Zarezerwowałem ci miejsce do Nowego Jorku na *Antique*. Statek odpływa za tydzień z Liverpoolu. Bank Child negocjuje z bankiem New York o kwartalne piętnaście funtów kredytu na twoim rachunku w Nowym Jorku lub w każdym innym mieście, które wybierzesz. Oczywiście, jeśli zostaniesz na stałe w Ameryce. Pojedź do Child, czekają na ciebie, żeby omówić szczegóły. Dadzą ci także dwadzieścia funtów w dolarach. To ci powinno starczyć na początek. I, na Boga, wierzę, że Amerykanie zdołają cię upilnować, bo my, najwidoczniej, nie potrafiliśmy.

- Mam ci dziękować? - sarknął Laurence

- Nie - ze znużeniem zaprzeczył Luke

- Luke potraktował cię więcej niż szczodrobliwie - oświadczyła Hester, nie potrafiąc dłużej zachować milczenia. - Co takiego uczynił... co my takiego uczyniliśmy, że pałasz do nas taką wrogością?

- Myślisz, że nie wiem, iż nasz słodki Luke jest zachwycony moim wyjazdem? - warknął Laurence - Czekał na przejęcie interesu już od czasu tamtej sprawy z Caroline.

- Caroline nie ma z tym nic wspólnego - krótko uciął starszy brat.

- Nie? No więc pozwól, że ci coś powiem: Caroline uważała

cię za nudziarza. „Nie spodziewałam się, że będzie taki poważny, wyznała mi pewnego razu, „chcę jeszcze trochę poużywać życia”.

Hester wyciągnęła dłoń w stronę Luke'a, pragnąc tym gestem uspokoić brata. Z twarzy odpłynęła mu cała krew i widziała, że z trudem się powstrzymuje, by czegoś nie powiedzieć. Sześć miesięcy temu Luke zaręczył się z Caroline, urzekając piękną siedemnastoletnią córką jednego z kolegów ojca. Nie można było jej nie lubić, ale Caroline należała do dziewcząt, które wymagają nieustannego zainteresowania, i ani Hester, ani starszy pan Redbourn nie widzieli jej w roli partnerki życiowej Luke'a. Jednak chłopak zadurzył się po uszy, więc próbował być dobrej myśli.

Caroline była raz kapryśna, raz uległa i urocza, stąd też Luke żył w stanie emocjonalnego zamętu, na wpół otumamony, na wpół wyczerpany. Aż tu pewnego wieczoru zaskoczył ukochaną na sofie w objęciach młodszego brata.

Caroline odeszła do domu zapłakana. Laurence próbował ze wszystkiego się wykić, mówiąc, że jeśli Luke nie potrafi zainteresować dziewczyny, to zasługuje na to, żeby ją stracić, a zresztą Caroline jest jak niepotrzebny bagaż. Wtedy to serce Luke'a się zamknęło.

- Wyjdź - powiedział teraz spokojnie. - Wyjdź, Laurence, zanim powiem albo zrobię coś, czego obydwaj będziemy żałować.

Laurence wstał i ruszył do drzwi buńczucznie nadęty.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę żadnego z was - rzucił za siebie. - Możecie mi wierzyć, że odchodzę z wielką przyjemnością.

- Och, Laurence! - Hester łkała - Będziesz pisał, prawda? - Był jej ukochanym młodszym braciszkiem i nie mogła spokojnie patrzeć na to, że opuszcza ich z taką nienawiścią w sercu.

Laurence zawahał się, po czym powiedział:

- Jesteś głupią gęsią, Hester. - I wyszedł.

Po chwili usłyszeli silne trzaśnięcie frontowych drzwi.

Madame de Cardonnel przekazała szmaragd w samą porę. Tydzień po odwiedzinach córki rozpoczął się poród i przeniesiono ją do szpitala. Tam też, cztery dni później, zmarła, a dziecko wraz z nią. Ich ciała wrzucono do nie oznaczonego wspólnego grobu, który następnie zalano wapnem. Jak na ironię, dwadzieścia cztery godziny później wicehrabia otrzymał paszporty, choć już prawie stracił na to nadzieję. Tak więc on, Marie Bonnieux i Anna z dokumentami obywateli amerykańskich z Luizjany opuścili Paryż. Udawali się do Londynu.

Wybór Anglii nie był przypadkowy. Cardonnelowie utrzymywali wieloletnie kontakty z Brytanią. W 1517 roku David Cardonnel, członek świty Johna Stewarta, czwartego księcia Albany, wuj niesławnego Jamesa IV Szkockiego, opuścił ojczyznę, podążając za księciem Albany do Francji. Spodobał się na dworze francuskim nie tylko z powodu urodziwej twarzy, ale także dlatego, że władał wieloma językami.

Przez następne stulecia Cardonnelowie, a właściwie już de Cardonnel, dorobili się posiadłości w Prowansji i uzyskali tytuł wicehrabiów. Jednak kontakty ze Stuartami zachowali. Ostatni de Cardonnel przyjmował wygnanego Charlesa Stuarta w St Germain i poślubił Angielkę. Dziad obecnego wicehrabiego towarzyszył księciu Charliemu w tragicznej bitwie o odzyskanie tronu w 1745 roku.

Kiedy ciotka wicehrabiego, Jeanne de Cardonnel, wyszła za sir Johna Broxheada, kontynuowała po prostu rodzinną tradycję. Jednak sir John zmarł dwa lata po ślubie i Jeanne wróciła do Paryża, zabierając ze sobą nowo narodzone niemowlę, córkę,

Annę-Louise. To właśnie ona, pół Angielka, Anna-Louise Broxhead, wyszła za swojego kuzyna, wicehrabiego, w 1785, a ich córka, Anna, otrzymała imię po Annie Cardonnel, tej, która jako pierwsza przybyła do Francji ze Szkocji wraz z mężem w 1517 roku.

Zmuszony do ucieczki wicehrabia uznał za najbardziej naturalne udanie się szlakiem przodków i powrót do Brytanii. Znał angielski, w banku Child przy Fleet Street miał zdeponowaną pewną sumkę i ufał, że przyrodni brat żony, sir Robert Broxhead, syn z pierwszego małżeństwa sir Johna seniora, udzieli uciekinierom pomocy.

W zimny styczniowy poranek roku 1794 w domu przy Brook Street sir Robert Broxhead wraz z żoną siedzieli w małym saloniku na tyłach domu. Sir Robert, krzepki, rubaszny mężczyzna około czterdziestki, o jasnobrązowych oczach pod krzaczastymi brwiami, ze staromodną peruką na głowie, odczytywał list, który dopiero co otrzymał, zastanawiając się, co powiedzieć żonie. Sir Robert, zdaniem znajomych, był pantoflarzem i tym samym rzadko kiedy ryzykował gniew żony. Na najmniejszą zapowiedź kłopotów uciekał do swojego klubu i grał, stanowczo zbyt nierozsądnie.

Lady Broxhead siedziała naprzeciwko męża, pochłonięta własną korespondencją, dotyczącą w głównej mierze rozlicznych akcji dobroczynnych, które wspierała. Dobięgała czterdziestki, a ponieważ dość późno wyszła za mąż, nadal towarzyszyła jej aura staropanieństwa. Jako dziewczyna nie była ładna - zbyt chuda, z prostymi ciemnymi włosami, a na dobitkę miała nieco zbyt pruderyjne zasady. Jej posąg nie należał do największych, toteż musiała znieść cierpienia debutantki,

która nie może sobie pozwolić na przebieganie między konkurentami.

Potem, gdy skończyła trzydzieści lat i zrezygnowała już z małżeństwa, sytuacja nagle uległa zmianie. Zmarła jej ciotka, pozostawiając Susan dziesięć tysięcy funtów. Sir Robert Broxhead należał do grona zalotników starających się o jej rękę. Lady Broxhead z mieszaniną ulgi i odrazy wybrała właśnie jego. Mieli tylko jedno dziecko, Julię, która właśnie skończyła pięć lat.

Lady Broxhead w rzeczywistości, choć nie miała o tym pojęcia, znacznie wyprzedzała swoją epokę. Cechująca ją mieszanina moralnej żarliwości i pruderii była charakterystyczna dla przyszłego stulecia. Jednak w roku 1794 wydawała się stanowczo nie na miejscu.

Oderwała wzrok od listu i spojrzała na męża.

- Sir Robercie? Wyglądasz na zaniepokojonego. - Wiedziała, że mąż jest hazardzistą i nieustannie się zamartwia, czy długi nie przerosną dochodów. Czy w liście, który czytał, ktoś domagał się pieniędzy?

Odpowiedź, choć uspokajająca w tej kwestii, obudziła inny frasunek.

- To list od mojego szwagra, lady Broxhead. Wygląda na to, że on i jego córka - pamiętasz, mała Anna - są w Anglii. Moja biedna siostra... - umilkł i głośno wytarł nos - nie żyje. Aresztowano ją i zmarła w więzieniu de Carmes, rodząc martwe dziecko, syna. Droga Anna-Louise była takim uroczym dzieckiem. I bardzo mnie kochała. Ogromnie mnie to zasmuciło, że po śmierci naszego ojca musiała wyjechać wraz z matką do Francji.

- Niech spoczywa w pokoju - pobożnie rzuciła lady Broxhead. Nigdy nie spotkała wicehrabiny de Cardonnel, jednak



fakt, że przyrodnia siostra męża była na pół Francuzką, napawał ją wielkim niepokojem.

- Czego on chce? - zapytała, podejrzewając, że chodzi o pieniądze. W Londynie pojawiło się pełno zubożałych francuskich arystokratów. Niech Bóg broni, żeby mąż wpadł na pomysł przyjęcia uciekinierów do domu.

Sir Robert przyglądał się żonie znad filiżanki kawy. Dobrze wiedział, co myśli, i choć nad tym bolał, bał się ją zirytować.

- To jest rodzina, moja droga - przypomniał cicho. - Rodzice wicehrabiego zawsze bardzo serdecznie mnie gościli, no i ogromnie lubię małą Annę-Louise.

Lady Broxhead przypomniała sobie o chrześcijańskim obowiązku.

- Naturalnie, musimy im pomóc - przyznała.

Kilka dni później wicehrabia i Anna siedzieli w saloniku Broxheadów, pokoju surowym, z krzesłami sztywno rozstawionymi po rogach i zimną niebieską tapetą na ścianach. Srogie twarze przodków zerkały chłodno z obrazów. Wicehrabia przez kilka ostatnich tygodni przekonał się, że świat nie traktuje życzliwie nędzarzy, a angielscy krewni, którzy ochoczo korzystali z gościnności Cardonnelów w Paryżu, w Londynie witali go z wielką rezerwą.

Lady Broxhead najwyraźniej także się do nich zaliczała. Siedziała sztywno i choć podejmowała przybyszów, zachowując wszelkie zasady etykiety, wyczuwał, że obawia się ich żądań.

- Czy ma pan jakieś plany, lordzie? - zapytała.

- Naturalnie - potwierdził gość z błyskiem ironii w oku. - Wydzierzawiłem cukierenkę w Somers Town. Posiadałem wystarczającą sumę zdeponowaną w banku Child i mam nadzieję, że cukiernia okaże się dobrą inwestycją.

Lady Broxhead wzdrygnęła się.

- Cukiernia! Wielkie nieba, został pan sklepikarzem.  
- Dlaczego nie? - Wicehrabia rozłożył ręce. - Duma nie pozwala mi żyć na koszt krewnych. - Ukłonił się uprzejmie w stronę sir Roberta. - To uczciwa praca, a innym wiedzie się o wiele gorzej niż mnie. Hrabia de Saisseval plecie kapelusze ze słomy, a księżna de Contaut podobno zarabia na życie malowaniem. Z pewnością takich przykładów znalazłoby się więcej. Co innego nam pozostało, madame?

Lady Broxhead nie odpowiedziała.

Nowy dom Cardonnelów znajdował się przy Phoenix Street w Somers Town, niedawno powstałej osadzie w północnym Marylebone, chętnie wybieranej przez francuskich imigrantów ze względu na niskie czynsze. Za dwieście pięćdziesiąt funtów wicehrabia wziął w dziesięcioletnią ajencję mały sklepik z mieszkaniem na górze. To posunięcie znacząco zmniejszyło jego fundusze, ale miał nadzieję, że inwestycja się zwróci. Szmaragd zniknął: ojciec Ignace nigdy się nie pojawił, a jeśli nawet, to nie skontaktował się z wicehrabią przez bank Child, jak przyrzekł. Cardonnel zasięgnął informacji. Nikt nie słyszał, żeby ojciec Ignace został aresztowany. Wręcz przeciwnie, jeden z imigrantów widział go na płynącym na północ „Diligence”. Po prostu zniknął wraz ze szmaragdem. Wicehrabia nie mógł na to nic poradzić. Dogadał się z bankiem Child, że jeśli ojciec Ignace pojawi się z kamieniem, to Child udzieli wicehrabiemu pożyczki na odkupienie szmaragdu, a zastawem miał być sam szmaragd. Jeśli tak się nie stanie, reszta pieniędzy zostanie w banku na gorsze dni.

W wydzierżawionym lokalu niegdyś mieściła się piekarnia. W piwnicy znajdował się piec i komórka na węgiel, na parterze

sklep z wielkim oknem, a na zapleczu mała kuchnia, zastawiona półkami. Na dwóch następnych piętrach mieściły się po dwa pokoje, na tyłach domu zaś była pralnia, komórka i mały ogródek, a także studnia z ciężką drewnianą przykrywą.

Anna, skazana we Francji tylko na pokój dziecienny, nie posiadała się ze szczęścia. W przeszłość odeszła zasada, że dziecko może być widać, ale nie może być go słyszeć. Biegała po całym domu, wołając „Papa, popatrz! Popatrz na ten mały kredens. Ciociu Marie, do czego to służy?”

- Ciszej, *petite* - napominała ją łagodnie Marie. - Chodź tu i pomóż mi obierać marchewkę. Uważaj na nóż.

Później, kiedy Anna poszła do łóżka, Marie zapytała:

- Jak poszło spotkanie z krewnymi, Victorze?

- Sir Robert jest naprawdę miły, ale jego żona, zdaje się, bardzo skąpa. Jednak nie mogę się skarżyć. Ich córka, Julia, kilka lat młodsza od Anny, wkrótce dostanie guwernantkę. Broxheadowie zaproponowali, żeby Anna uczyła się wraz z Julią.

Marie wzruszyła ramionami.

- To ich nic nie kosztuje.

- Zgadza się, ale dzięki temu Anna zyska wykształcenie, co się jej może przydać, kiedy dorośnie, zwłaszcza jeśli zaprzyjaźni się z Julią, która wydaje się miłą dziewczynką. Anna wreszcie nauczy się poprawnie mówić po angielsku.

- I to wszystko? Nie chcę się skarżyć, ale mamy bardzo mało pieniędzy, Victorze, a nie jestem pewna, czy Anglicy polubią moje ciasteczka.

- Byliby szaleni, gdyby ich nie docenili - rzucił wicehrabia, całując Marie w policzek. - Tuż przed wyjściem sir Robert zaprosił mnie do swojego gabinetu i zaoferował tysiąc funtów rocznie, które przyjąłem z wdzięcznością.

Marie dokonała w myślach pospiesznych obliczeń.

- No tak, to miłe z ich strony stwierdziła w końcu. - To już jakaś pomoc.

- Wątpię tylko, czy lady Broxhead wie cokolwiek o szcudrobliwym gościu męża - sceptycznie dodał wicehrabia.

Anna rosła, bynajmniej nie czując się specjalnie nieszczęśliwa. Dobrze dogadywała się z kuzynką Julią, dość wyrosniętą, pulchną dziewczynką, której spokojna natura kryła romantyczną duszę. Już od ósmego roku życia Julia była nieustannie w kimś zakochana, a Anna została powierniczką jej szczerych zwierzeń. Lady Broxhead dostałaby zawału, gdyby wiedziała, że jej ukochana mała córeczka wdycha do lokaja lub że w każdą niedzielę na mszy wpatruje się z uwielbieniem w młodego wikariusza. Na korzyść Anny, w oczach ciotki, przemawiał też fakt, że Julia charakteryzowała się bardziej konwencjonalną urodą niż Anna - miała naturalnie kręcone włosy i różane usteczka.

Anna nadal była chuda. Nie sprawiała wrażenia tak śmiałej jak kuzynka, jej poważne brązowe oczy widziały zbyt wiele i nigdy nie zapominała, że znajduje się w domu Broxheadów. Odwiedzając więzienie de Carmes, nauczyła się milczeć, kiedy wynikała taka potrzeba, i to jej zostało. Ciężko pracowała, lubiła naukę, uwielbiała bawić się z Julią, ale nigdy nie opowiadała o domu przy Phoenix Street ani o ojcu, który już o brzasku pchał ręczny wózek z ciasteczkami do Gunter Tea Rooms, ani też Marie Bonnieux. Instynktownie wyczuwała, że lepiej zrobi, nie poruszając tego tematu.

Sir Robert i lady Broxhead stali się wujkiem Robertem

i ciotką Susan. Annie udało się nawet zaskarbić sobie nieco sympatii ciotki.

- Muszę przyznać, sir Robercie - powtarzała nieraz lady Broxhead - że Anna mobilizuje Julię do pracy.

- Julia to mały leniuch - odpowiadał wtedy sir Robert. Nie darzył dużym szacunkiem inteligencji kobiet i tym samym nie rozumiał, po co córka ślęczy nad globusem i francuską gramatyką.

Kiedy Anna miała dwanaście lat, a Julia dziesięć, lady Broxhead zauważyła z zadowoleniem:

- Kochana Julia jest tak samo wysoka jak Anna. Wyglądają jak równolatki! - Anna miała prawie ten sam wzrost i była tak samo chuda jak w wieku siedmiu lat i Julia ją przerosła.

Sir Robert chrząknął. Uważał, że siostrzenica to słodka istotka. Była nad wiek poważna i elegancka i w przeciwieństwie do Julii, wielkiej gaduły, znała umiar. Z tym, że sir Robert odziedziczył po ojcu upodobanie do małych Francuzek. Miał do nich słabość i dlatego przystał na prośbę siostrzenicy, która pragnęła uczyć się włoskiego, i poprosił signora Puglietti, nauczyciela śpiewu, żeby dodatkowo dawał Annie lekcje ojczystego języka. Signor Puglietti był wytwornym, małym człowieczkiem z ekspresyjnymi czarnymi oczami. Julia, naturalnie, natychmiast się w nim zakochała i także domagała się lekcji włoskiego. Ku irytacji lady Broxhead, po sześciu miesiącach nauki Anna potrafiła już prowadzić po włosku prostą rozmowę, Julia natomiast nadal tylko dukała.

- Cardonnelowie mają smykałkę do języków - pojednawczo tłumaczyła Anna. - Poza tym urodziłam się we Włoszech. Może to ma jakiś wpływ? - W rzeczywistości wcale tak nie uważała, ale widziała, że jej uzdolnienia językowe bardzo denerwują ciotkę.

- To zupełnie nie przystoi damie - sarkała ciotka. - Ale skoro twój wuj cię zachęca...

Kiedy Anna skończyła czternaście lat, wicehrabia posłał ją do szkoły księdza Carrona w Somers Town, utworzonej dla francuskich dziewcząt, by zyskały porządne wykształcenie, takie, jakie mogły zdobyć w królewskiej szkole madame de Maintenon w St Cyr.

- Potrzebny ci szlif - powiedział, kiedy Anna próbowała protestować. - Pisziesz po francusku w sposób opłakany! Zgubiłaś akcent, mylisz końcówki i sam nie wiem, co jeszcze. Chcę, żebyś zdobyła godziwe francuskie wykształcenie. - Westchnął. - Z wielu względów podziwiam Anglików, na przykład za ich polityczną stabilność, ale trudno się zachwycać ich obojętnością dla intelektu! Chcę, byś umiała jasno myśleć i robiła użytek z umysłu, w który Bóg cię wyposażył.

- Wuj Robert uważa, że edukacja dziewcząt to strata czasu - odparowała Anna. - Mówi, że mija się z celem, skoro i tak naszym jedynym zadaniem jest wyjść za mąż.

- Wszystko może się zdarzyć, Anno - cicho odpowiedział ojciec. - Ty i ja to wiemy. Sir Robert ma to szczęście, że jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Wicehrabia, świadomy faktu, że zaczyna niedomagać na zdrowiu, przykładał szczególne znaczenie do zaprowadzenia porządku w sprawach prawnych. Kiedy w 1805 roku wygasła umowa na dzierżawę sklepu, odnowił ją na następne dziesięć lat i przepisał na Marie Bonnieux. Interes szedł dobrze, więc miał pewność, że cokolwiek się zdarzy, Marie jest zabezpieczona. Pozostałe pieniądze, około pięćset funtów, czekało, aż Anna ukończy dwadzieścia jeden lat. Do tego czasu zarządcą pieniędzy wicehrabia ustanowił sir Roberta Broxheada. Wicehrabia nie wątpił, że może polegać na szwagrze i że ten

dopilnuje, by Anna korzystnie wyszła za mąż. Nie wiedział tylko, że długi hazardowe sir Roberta bardzo skomplikowały sytuację na Brook Street i że może nadejść czas, iż sir Robert przyjmie oświadczyny jakiegoś młodzieńca bez sprawdzania jego wiarygodności, żeby tylko kandydat pomógł rozwiązać jego finansowe problemy.

W styczniu 1806 roku wicehrabia wybrał się w towarzystwie Marie i Anny na pogrzeb lorda Nelsona. Orszak przemieszczał się wolno od portu do ostatecznego miejsca spoczynku lorda w katedrze św. Pawła. Był mroźny dzień, wiał przejmujący, zimny wiatr, a Cardonnel nie czuł się dobrze. Nagle chwycił go mocny ucisk w klatce piersiowej, zaczął charczeć i szybko łąpać powietrze. Anna i Marie natychmiast zawołały dorożkę i wróciły do domu. Owinęły wicehrabiego kocami. Marie biegała z maściami rozgrzewającymi do stóp i z brandy rozcieńczoną wodą, ale wszystko na próżno. Wicehrabia zmarł trzy dni później, trzymając Annę za rękę, oparty o ramię Marie.

Pochowały go na starym cmentarzu św. Pankracego obok wielu innych rodaków. Starały się z całych sił pocieszyć siebie nawzajem. Anna napisała do banku Child w sprawie testamentu ojca oraz do jego starego przyjaciela kardynała Yorku w Rzymie.

Wprawdzie wiedziała, że dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, jej prawnym opiekunem będzie sir Robert Broxhead, jednakże z przerażeniem przyjęła wieść, że ma zamieszkać z wujem i ciotką.

- Nie chcę mieszkać na Brook Street i jestem przekonana, że nie chce tego także ciotka Susan. - Łkała. - Dlaczego papa tak postanowił? Wiedział przecież, jak się będę czuła.

- Pragnął, byś zajęła należne ci miejsce w społeczeństwie - tłumaczyła Marie. Wycierała oczy rękawem pospiesznie przefarbowanej na czarno sukni.

- Papa był o wiele szczęśliwszy tutaj z tobą niż kiedykolwiek w Paryżu - stwierdziła Anna. - Powiedział mi kiedyś, że czułem się tu dobrze, bo miał tu prawdziwą pracę. Dlaczego nie przewidział, że ja mogę czuć to samo?

- Za niecałe dwa lata skończysz dwadzieścia jeden lat - pocieszała Marie. - To, co będziesz wtedy robiła, zależy będzie wyłącznie od ciebie. Prawdę mówiąc, sądziła, że Anna dużo wcześniej wyjdzie za mąż. Nie miała posagu, ale pikantny wdzięk dziewczyny mógł zainteresować wielu mężczyzn.

Rok 1806 należał do tych lat, które lady Broxhead wolałyby wymazać z pamięci. Po pierwsze zamieszkała z nimi Anna de Cardonnel, i to najwyraźniej już na stałe, jeśli oczywiście nie znajdą jej męża. Lady Broxhead nawet lubiła tę dziewczynę i ceniła jej zalety; niemniej uboga krewna, w dodatku pogrążona w żałobie, to nie to było to, o czym naprawdę marzyła.

Potem Julia, gotująca się do sezonu, zachorowała na odrę. Choroba miała dość ostry przebieg i ostatecznie lady Broxhead straciła wszelką nadzieję, że córka pokaże się tego roku na scenie towarzyskiej. Posłała więc obie panienki wraz z opiekunką do Ramsgate, by zaczerpnęły morskiego powietrza.

Mąż także nastęczał jej kłopotów. Wiedziała, że pogrążył się w niebezpiecznym hazardzie i już kilkakrotnie prosił ją o ograniczenie domowych wydatków. Pewnego dnia odwiedził go doradca finansowy, po czym obydwaj panowie zamknęli się w gabinecie sir Roberta i do późna dyskutowali o hipotekach i długach. Potem wydarzył się ten nieszczęśliwy wypadek z aktorką. Lady Broxhead zdawała sobie sprawę, że mąż często schodzi z drogi cnoty, ale wolała udawać, że nic o tym nie wie. Jednak owa dama ostentacyjnie obnosiła się ze swoją



zdobyczą i lady Broxhead nie pozostało nic innego, jak ostro zaprotestować. Aktorkę zwolniono z teatru, ale dla lady Broxhead wszystko to było niezwykle poniżające i mocno tę sprawę przecierpiała.

Na szczęście z początkiem 1807 roku sprawy zaczęły przybierać nieco lepszy obrót. Doszło do ugody z niektórymi dłużnikami sir Roberta, Julia wyzdrowiała, Anna zaś zakończyła żałobę i lady Broxhead zamierzała pokazać obie panny, bardzo poważnie myśląc o znalezieniu im mężów przed końcem sezonu.

W chłodny styczniowy dzień w tawernie tuż przy dokach w Nowym Jorku Laurence Redbourn rozmawiał z Reymondem le Vivier, niskim, pomarszczonym mężczyzną, z białą-czerwoną chustką na szyi. Le Vivier przybył do Londynu z Francji jako młodzieniec tuż po wybuchu rewolucji i miał tak dużo szczęścia, że udało mu się uzyskać urzędniczą posadę przy pewnym prawniku z City, panu Hargreavesie. Le Vivier zakotwiczył się w kancelarii prawnej na całe piętnaście lat, stopniowo zdobywając zaufanie pracodawcy. Na nieszczęście jeden pechowy rzut kośćmi zmusił go do sprzedania pewnych informacji, chociaż wiedział, że są zastrzeżone. W samą porę umknął z kraju do Ameryki.

Laurence postawił le Vivierowi porto na swój rachunek. Chciał od niego wyciągnąć informacje na temat pewnego testamentu. Wyglądało na to, że jeden z klientów Hargreavesa pozostawił małoletniej Annie de Cardonnel większą sumę pieniędzy. Dziewczyna miała się dowiedzieć o spadku po ukończeniu dwudziestu jeden lat, czyli czwartego października 1807 roku. Na razie owa młoda panna nie miała zielonego pojęcia, że czeka ją ta radosna niespodzianka.

- Gdybym był przystojniaczkiem - powiedział la Vivier - sam ubiegałbym się o tę dziewczeczkę. Zresztą nie mogę wrócić do Anglii, ciąży na mnie wyrok.

Rzeczywiście nie mógł. Laurence bawił się w kieszeni nożem, który zawsze przy sobie nosił, zastanawiając się, czy powinien wepchnąć go między żebra le Vivierowi w jakiejś ciemnej uliczce. W końcu uznał, że nie warto ryzykować. Le Vivier sam powiedział, że nie może wrócić do Anglii. Natomiast Laurence mógł. Był przystojny. Czemu nie miałyby osobiście poznać owej damy?

Kilka miesięcy później w londyńskich dokach szczupły młody mężczyzna zszedł ze statku, po czym uważnie się rozejrzał. Nie było go w Londynie siedem lat i dostrzegał ogromne zmiany. Port się rozbudował. Najwyraźniej interes kwitnie.

To świetnie. Laurence Redbourn szukał okazji, a tam, gdzie są pieniądze, znajdują się też intratne możliwości - dla sprytnego oszusta. A Laurence miał siebie za jednego z najlepszych. Teraz akurat nie śmierdział groszem (skutek błędnego posunięcia przy pewnej niewielkiej defraudacji), ale wiedział, gdzie szukać pieniędzy.

Kilka wieczorów w salonie gier postawi go finansowo na nogi. Potem będzie się musiał zająć znalezieniem odpowiedniej kobiety, która pomoże mu przeprowadzić plan. Takiej, która wesprze go swoją nieskazitelną opinią. Jeśli ma się zalecać do tej dziewczyny - kiedy już się dowie, gdzie ona mieszka - będzie potrzebował odpowiedniego zaplecza. No tak, musi sobie przypomnieć, kto jest mu winien jakąś przysługę.

## 2

Przyjęłam go, Anno! Błagam, powiedz, że dobrze zrobiłam!  
- Julia, niezwykle podekscytowana, przycupnęła z podciągniętymi pod brodę kolanami na parapecie okna w swoim pokoju.

Anna siedziała obok niej. Wyglądała tęsknie przez okno, zastanawiając się, co robi teraz ciotka Marie i czy szczeniaczek, którego niedawno przygarnęła, przyzwyczał się już do nowego domu. Odwróciła się do kuzynki.

- Pan Wellesborough? O tak, sądzę, że dobrze wybrałaś. - Musiała wysilić pamięć, żeby sobie przypomnieć twarz szacownego Bertrama Wellesborougha. Sprawiał wrażenie poczciwca, lecz niestety, dużo więcej nie dało się o nim powiedzieć. Raczej niski i krępy, z cienkimi, jasnymi włosami opadającymi na czoło. Małomówny, ale Julia z pewnością wypełni tę lukę własną gadatliwością. Pan Wellesborough był miły, dość oszczędny, nie przesadzał z hazardem i tak zamożny, jak oczekiwali Broxheadowie.

- Ale ja go nie kocham - wyznała Julia. - Bardzo go lubię, jednak to wszystko.

- Musisz go kochać? - dopytywała się Anna, nieco zaskoczona. Czy małżeństwo nie powinno się opierać na cokol-

wiek mniej efemerycznym uczuciu? Jej rodzice szanowali się wzajemnie, chyba nawet łączyły ich jakieś cieplejsze uczucia, ale miłość?

- Miałam nadzieję, że wyjdę za mąż z miłości. - Julia westchnęła. Uwielbiała czytać powieści, zwłaszcza pióra pani Radcliffe, i wiedziała, że w drugim lub trzecim tomie po serii niebezpiecznych przygód i nieprawdopodobnych wydarzeń bohaterka odkryje, iż romantyczny nieznajomy, przebrany w skromne odzienie wieśniaka, który przez kilkaset stron ratował ją przed różnorodnymi katastrofami, złoczyńcami i tajemniczymi mocami, okaże się co najmniej synem lorda, bajecznie bogatym i szaleńczo w niej zakochanym.

Anna pochyliła się i ucałowała kuzynkę w policzek.

- Jestem pewna, że bardzo go polubisz.

Julia znów westchnęła.

- Nie mogłam zawieść mamy. Tak oszczędzała i ciułała na ten sezon. - Miało to pozostać tajemnicą, ale dziewczęta doskonale zdawały sobie sprawę, że sir Robert znalazł się w wielkich kłopotach finansowych. - Ale, och, Anno, tak strasznie chciałam zakochać się do szaleństwa!

Anna nie potrafiła pohamować śmiechu. Po chwili i Julia do niej dołączyła.

- Będę zmuszona wziąć sobie kochanka - stwierdziła na pocieszenie.

W tym samym czasie w buduarze lady Broxhead toczyła się inna rozmowa. Również dotyczyła małżeństwa. Lady Broxhead postawiła mężowi ultimatum.

- Anna musi odejść - oświadczyła.

- No, no, moja droga - uspokajał ją sir Robert. - Nie możemy jej ot tak wyrzucić. Poza tym sama wiesz, że nie ma żadnego posagu, nie licząc szmaragdu.

- Szmaragd! - sarknęła żona. - Nigdy nie wierzyłam w jego istnienie ani w to, że Anna wyniosła go z więzienia, mając siedem lat. Nie jestem aż tak naiwna. Zresztą, powiedz mi, gdzie on jest? To z pewnością jakieś mrzonki wicehrabiego.

- Anna jest moją siostrzenicą - przypomniał sir Robert. - Jej ojciec zostawił mi ją pod opieką.

Lady Broxhead z trudem się opanowała.

- Nie przeczę, że Anna zawsze zachowywała się nienagannie i w kilku sytuacjach okazała się bardzo pomocna. - W rzeczywistości lady Broxhead wykorzystała siostrzenicę do cna, czyniąc z niej osobistą sekretarkę i pomocnicę przy organizowaniu przyjęć wydawanych dla Julii.

- Właśnie. - Brwi sir Roberta uniosły się. - Nie mogę odesłać jej do tej strasznej piekarki, czy kim tam ona jest.

Lady Broxhead zadrżała. Wieść o istnieniu Marie Bonnieux była dla niej szokiem. Anna żyła pod jednym dachem z kochanką swojego ojca! Dzięki Bogu, że dziewczyna miała na tyle zdrowego rozsądku, by nie mówić o tym głośno. Gdyby wieść o tej skandalicznej sytuacji kiedykolwiek wyszła na jaw, jej szanse na małżeństwo spadłyby do zera.

- Jest ujmującą istotką - stwierdził sir Robert. Uważał, że Anna jest wyjątkowa. Niewysoka, raczej szczupła, ale poruszała się z gracją. Miała zgrabny nos, ładnie wygięte brwi i szczerę brązowe oczy, które czasami potrafiły być bardzo słodkie. Włosy, kasztanowe i proste, odziedziczyła po matce. Nie kręciła ich co wieczór jak inne panny, tylko zwijała w węzeł na karku.

W jakiś dziwny sposób - czego lady Broxhead nie potrafiła Annie wybaczyć - mimo że nie posiadała biżuterii, nie licząc perłowego krzyżyka od sir Roberta, nosząc suknie o najprostszym kroju, elegancją przewyższała Julię. Mężczyźni zwracali uwagę na Annę i dostrzegali jej urok.

Ale nie miała posagu i to Julia, której jedna z ciotek przepisała w spadku sporą sumę, pierwsza znalazła męża. Lady Broxhead nie godziła się, żeby w ich obecnej, finansowo dość kiepskiej sytuacji (mowa była o około tysiącu funtów) sir Robert cokolwiek zapisał Annie. Jednak jeszcze bardziej przerażała ją wizja, że siostrzenica zostanie w domu, kiedy już Julia wyjdzie za mąż.

- Powinno jej się udać znaleźć męża z tym tysiącem, który chciałeś jej podarować - rzuciła (w duchu ciężko wzdychała). Może jakiś wiejski pleban ze stu pięćdziesięcioma funtami rocznie zgodziłby się na dziewczynę z tysiącem funtów posagu. - Jeśli już mieli Annie coś dać, to lady Broxhead za nic nie mogła pozwolić, żeby partia siostrzenicy przyćmiła ożenek Julii.

- Och, wydaje mi się, że jest warta kogoś lepszego - obruszył się sir Robert.

- Mój drogi mężu! - zawołała lady Broxhead. - Czy ktoś prosił cię o rękę Anny?

- Nie otwarcie, raczej, powiedzmy, między wierszami.

- A któż to taki? - Lady Broxhead znacznie się ożywiła.

Sir Robert sięgnął do kieszeni i podał żonie wizytówkę.

*L. Redbourn and Company, Handel Towarami.* Pod nazwą widniał adres w City.

Umysł lady Broxhead zaczął pracować na zdwojonych obrotach. Handlowiec z City! Nic lepszego nie mogło się im trafić. Na jej liście kupiec znajdował się niewiele wyżej od rzemieślnika, nie miał żadnej pozycji społecznej. Ten był niewątpliwie wystarczająco zamożny, by uciszyć troskę sir Roberta o finansowe zabezpieczenie Anny. Za to nigdy nie spotkają ich w towarzystwie. Siostrzenica wyjdzie za tego Redbourn, po czym cicho i na zawsze zniknie im z oczu.

- Mój drogi sir Robercie! - Lady Broxhead cała promieniała

radością. - To dopiero dobra wiadomość. Powiedz mi coś więcej.

- Ten Redbourn to wysoki i przystojny mężczyzna. Ma około dwudziestu pięciu lat, jak mi się wydaje. Trochę z niego elegancik, ale jest dość miły. Ma towarzyskie ambicje i chce się dobrze ożenić. Mieszka ze swoją owdowiałą matką.

- Brzmi wspaniale!

- Zaproponowałem, żeby razem nas odwiedzili, byś mogła sama ocenić.

Luke i Hester Redbournowie jak co dzień rano przed pracą w ciszy spożywali śniadanie. Luke czytał gazetę i bezwiednie głąaskał Bena, burego kota siedzącego mu na kolanach. Przez ostatnie siedem lat interesy rozwijały się pomyślnie, zwłaszcza agencja ubezpieczeniowa. Luke zatrudniał zespół wysoko wyszkolonych ludzi, w większości byłych marynarzy, którzy musieli osobiście dopilnować dokładnego przeglądu statków podlegających ubezpieczeniu. Ich zadania były jasno określone: dokładny pomiar tonażu, sprawdzenie rozmieszczenia ładunku, a nawet skierowanie członków załogi na badania. W rezultacie L. Redbourn and Co rzadko traciła statki, a jednostki zarejestrowane w spółce uważano powszechnie za bezpieczne.

Hester popijała kawę. Patrzyła na brata z miłością, ale też z zatroskaniem. Ta sprawa z Caroliną mocno nim wstrząsnęła. Nie można powiedzieć, by unikał kontaktów z kobietami. Był towarzyski i lubił, kiedy siostra zapraszała gości na kolację, a potem na wieczorek muzyczny. Często wdawał się w gorące dysputy z jej przyjaciółką, panną Minervą Leatherbarrow, której poglądy dotyczące pozycji kobiety w społeczeństwie Hester oceniała jako przesadnie radykalne. Minerva z zasady

nie poświęcała dużo czasu mężczyznom, jednak Luke'a tolerowała, a chyba nawet lubiła, choć złościła się, kiedy nazywał ją Ateną z Islington.

I mimo że kilku kolegów Luke'a miało siostry czy córki, które z wielką ochotą zmieniłyby nazwisko na Redbourn, to brat nie zwracał uwagi na żadną z nich. Uważał je za czarujące istoty, lecz jego serce pozostawało nie poruszone. Jeśli kiedykolwiek kierował swoje kroki w stronę Covent Garden w poszukiwaniu mniej szacownych kobiet, nigdy nie wprowadził Hester w zakłopotanie i nie informował jej o tym fakcie.

Brat miał wielkie serce, Hester o tym wiedziała, ale w tej chwili całą czułość przelał na kota.

Rozległo się pukanie do drzwi, a zaraz potem pojawił się kamerdyner z listem. Walter służył rodzinie tak długo, jak daleko Hester potrafiła sięgnąć pamięcią. Dobrze po sześćdziesiątce, chudy i kościsty, miał szare żywe oczy i mimo swojego wieku był zadziwiająco zwinny. Hester widziała raz, jak biegnie korytarzem za wychodzącym z domu bratem. Nawet się nie zasapał.

Luke podziękował kamerdynerowi, zczekał, aż wyjdzie, i otworzył list.

- To od Laurence'a - poinformował siostrę.

- Laurence? - zdziwiła się. Przed kilku laty nadeszła na ich adres opakowana w impregnowany materiał przesyłka i w środku znajdowała się skóra bobra. Nie było żadnego liściku, ale Hester wiedziała, że to prezent od Laurence'a.

- Co pisze? - zapytała z ciekawością. Przez moment wyobrażała sobie odmienionego brata powracającego do domu wraz z uroczą żoną Amerykanką.

- Wygląda na to, że udało mu się znaleźć intratną posadę w Bostonie. Nie podaje, jaką. Napisze, kiedy się tam bardziej



zadomowi. Przesyła uściski dla nas obojga. - Spojrzał na spochmurniałą twarz siostry i po chwili milczenia dodał łagodnie - Hester, musisz się z tym pogodzić. Laurence stosuje swoje stare metody. Wątpię, czy w ogóle jest w Bostonie.

- Wiem. - Hester z determinacją wydmuchała nos. - Ale nie potrafię wyrzec się nadziei... Pewnie jednak masz rację. Bardziej bym mu wierzyła, gdyby nie ten końcowy dopisek.

- Też tak sądzę. Zastanawiam się, co nowego wymyślił.

Hester przez chwilę skubała tost, potem powiedziała:

- Nie chciałam mówić ci tego wcześniej, żebyś nie wziął mnie za rozhisteryzowaną starą pannę, ale wydaje mi się, że kilka dni temu widziałam Laurence'a.

Luke popatrzył na nią mocno zaniepokojony.

- Tak? Gdzie?

- Na Leicester Square. Udałam się do Newton w poszukiwaniu potrzebnego mi perkalu. Stałam przy oknie i wtedy go zobaczyłam, jeśli to był on, po drugiej stronie ulicy. Oczywiście wybiegłam ze sklepu, ale zniknął. Później uznałam, że to było głupie przewidzenie.

- Jeśli rzeczywiście widziałas Laurence'a, z pewnością nas odwiedzi, kiedy tylko będzie miał do nas jakiś interes. Jeżeli się nie pojawi, radzę, moja droga Hester, zostawić go w spokoju.

- Luke nie chciał denerwować siostry, jednak to, co usłyszał, ogromnie go zaniepokoiło.

Kiedy tylko Hester wyszła z pokoju, potrząsnął dzwonkiem.

Pojawił się Walter.

- Zdaje się, że wrócił mój brat - poinformował Luke bez zbędnych wstępów.

- W takim razie będę miał oczy szeroko otwarte - odparł spokojnie kamerdyner. - Lepiej nie dać się zaskoczyć.

w niedzielę Anna, eskortowana przez lokaja, pojechała do francuskiego kościoła przy Phoenix Street. Charles był Francuzem. Jego ojciec, zegarmistrz, zginął w czasach Terroru, pozostawiając syna i żonę w bardzo trudnej sytuacji. Charles znalazł się u sir Roberta z polecenia wicehrabiego. Na początku czyścił buty, a kiedy wyrósł na wysokiego młodzieńca o wspinających, mocnych, umięśnionych nogach (Julia je bardzo podziwiała) i osiągnął odpowiedni wzrost, awansował na lokaja, dzięki czemu mógł wreszcie przejąć od owdowiałej matki ciężar utrzymania domu.

Do jego zadań należało także towarzyszenie Annie lub Julii, (kiedy wybierały się na zakupy albo na przyjęcia, ponieważ było nie do pomyślenia, żeby młoda dama poruszała się po mieście samotnie. W niedzielę zazwyczaj wiozł Annę do kościoła; kiedy ona była na mszy, odwiedzał matkę, po czym odwoził Annę do domu. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłaby sobie lady Broxhead, byłoby potwierdzenie przypuszczenia, że Anna widuje się z tą straszną piekarką, jak w myślach nazywała Marie. Żeby się niepotrzebnie nie denerwować, wołała myśleć, że Anna odwiedza hrabinę de Saisseval albo inną arystokratyczną rodzinę mieszkującą w Somers Town.

Anna czule przywitała się z Marie Bonnieux.

- Ciocia Marie! Jak miło cię widzieć.

Po skończonej mszy Anna przeszła piechotą z kościoła do cukierni. Za sklepem znajdowała się kuchnia z używanym na co dzień małym piecem. Anna z wdzięcznością usiadła na windsorskim krześle i rozejrzała się, jak to czyniła co tydzień. Widok swojskiego i znajomego otoczenia podnosił ją na duchu: zioła, wiszące u framugi okna wraz ze sznurkiem czosnku i cebuli, przy ogniu stojak do wietrzenia pościeli i stary, wyblakły od czyszczenia sosnowy stół. Pod nim, z łbem

opartym na łapach, leżał Hercules, rosnący jak na drożdżach szczeniak nieokreślonej rasy, którego Marie dostała dla towarzystwa i bezpieczeństwa. Anna wyciągnęła rękę do psa; zanim go dotknęła, pozwoliła, by ją obwąchał.

W przeciwieństwie do Julii, która nad wszystko uwielbiała przygody, Anna zdawała sobie sprawę, że potrzebuje stałych punktów odniesienia. Doświadczenia z wczesnego dzieciństwa na zawsze wryły w jej sercu przeświadczenie, że nie należy na nic liczyć i choć dom przy Phoenix Street znała od siódmego roku życia, nadal czuła się w nim niepewnie.

Madame Bonnieux, starsza, mocno posiwiąta, ale nadal z tymi samymi żywymi niebieskimi oczami i pulchną figurą, podeszła do pieca, zamieszała jadło w garnku i dodała przypraw. Anna wstała, by nakryć do stołu i rozstawić znajome gliniane naczynia. Była też bagietka i butelka czerwonego wina.

- Co słyhać u Broxheadów? - zapytała Marie.

Anna roześmiała się.

- Nie istnieje nic poza planowaniem ślubu. Ciotka Susan doprowadza biedną Julię do szału przymiarkami, zakupami i odpowiadaniem na listy, toteż Julia żałuje, że nie uciekła z narzeczonym.

- A jak tam ciotka Susan?

Anna uniosła oczy w stronę sufitu.

- Nie może się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie. Najchętniej wróciłabym tutaj, ale oczywiście słyszę starą śpiewkę: „Co sobie ludzie pomyślą”. To najważniejszy argument dla ciotki Susan.

- Na horyzoncie nie pojawił się żaden interesujący młodzieniec?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie mam żadnego posagu.

Wuj Robert nie pozwoli mi wrócić tutaj, więc biedna ciotka Susan musi się pogodzić z moją obecnością.

Marie sarknęła.

- Gdyby ten łotr ojciec Ignace nie zniknął ze szmaragdem...

- Nie sędzę, żeby szmaragd miał jakąś większą wartość - z namysłem zauważyła Anna. - Był nie oszlifowany, choć osadzony w bardzo ładnej oprawie. No i wcale nie mamy pewności, że ojciec Ignace go ukradł. Nikt o nim nic nie słyszał. Może został pojmany we Francji.

- Twój kochany ojciec zawsze powtarzał, że zmarnujemy życie, jeśli będziemy się zastanawiali, co by było, gdyby - rzekła Marie, dając Annie znak, żeby rozłożyła na stole sztuce. - Jednakże coś mi mówi, że ten ojciec Ignace nie był całkiem uczciwy. Księża mają nosa do interesów. - Najwyraźniej madame Bonnieux nie darzyła kleru nadmiernym szacunkiem.

- Ciotka Susan w ogóle nie wierzy, że szmaragd istniał - zauważyła Anna. Niosąc do stołu miskę, wdychała smakowity aromat.

- W gruncie rzeczy to żadna różnica - odparła Marie. - Ale byłby to dla ciebie jakiś posag, Anno.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko zanurzyła łyżkę w stawie.

- Mmm, wspaniałe. - Zamilkła na chwilę, rozkoszując się smakiem jedzenia. - Nudzi mi się, ciociu Marie. Te odwiedziny, przyjmowanie gości, przejażdżki po parku i nie kończące się wieczorne przyjęcia, kolacje, wieczory w operze, bale. Mam wrażenie, że nikt tam nie myśli o niczym poważnym. Nie mają pojęcia o prawdziwym życiu, - Machnęła ręką. - Często, kiedy z kimś rozmawiam, myślę sobie: „Ty nie masz pojęcia, jakie może być życie”.

Milczała jakiś czas, po czym zaczęła głośno wspominać:

- Wiesz, ciociu Marie, w noc, w którą aresztowano moją matkę, piłam herbatę w pokoju na piętrze z Alphonsine, moją boną. Panował spokój, jak zawsze, aż tu nagle wpada lokaj i krzyczy, że przyszedli żołnierze i że musimy uciekać. Alphonsine wciągnęła mnie na poddasze i tam schowałyśmy się w małej szafie. Słyszałyśmy wołania, krzyki i odgłos tłuczonych przedmiotów. Miałam wrażenie, że trwa to wiecznie. Słyszałam głośny oddech przerażonej Alphonsine, ale nie wiedziałam, o co chodzi. Nie rozumiałam tego i tym bardziej się bałam. W końcu zapadła cisza. Wtedy wyszliśmy z ukrycia. Dom został splądrowany. Zdarli ze ścian jedwab, połamali sprzęty.

Milczała przez chwilę.

- Nigdy tego nie zapominałam, tej świadomości, że za tym wszystkim kryje się jakieś bezsensowne barbarzyństwo. A najbardziej mnie przygnębiło, że któryś z żołnierzy rozbił muszkietem twarz księżniczki Clothilde, mojej lalki. Dopiero co dostałam ją w prezencie urodzinowym. Uważałam, że jest najpiękniejsza na świecie. To głupie, wiem, płakać z powodu lalki, kiedy w domu wydarzyły się o wiele gorsze rzeczy. Tak trudno to wytłumaczyć...

- Wiem - cicho powiedziała Marie. - Czasami też to czuję, kiedy wspominam Paryż z tamtych ciężkich czasów. Strach, kiedy wychodziło się na ulicę. O Boże, zapach krwi, kiedy gilotyna wykonała już swoje zadanie. Nie zapomina się takich rzeczy, choćby się bardzo chciało.

- I odwiedziny u *maman* - dodała Anna. Odłożyła łyżkę.  
- Bardzo się bałam, ale wiedziałam, że nie wolno mi tego pokazać. Wydawała mi się taka zmieniona, chuda i wymizowana, z dużym brzuchem. Boże wybac, ale czasami się zastanawiałam, czy to naprawdę jest moja matka. Po tych widzeniach miałam w nocy koszmary, że zamykają mnie w Carmes i chcą mi odciąć głowę. - Zadrżała.

- Wiem, *petite* - łagodnie odezwała się Marie. - Budziłam cię wtedy i dawałam do picia gorącą czekoladę. Pamiętasz?

- Tak, tak, pamiętam - przyznała Anna, próbując się uśmiechnąć. - Byłaś dla mnie bardzo dobra. A kiedy przyjechaliśmy do Londynu, zrobiłaś mi szmacianą lalkę. Nie zapomniałam. Nie wiem, dlaczego akurat teraz mi się to przypomniało. Może dlatego, że po ślubie Julii wszystko się zmieni, a ja się boję, bo nadal myślę, że każda zmiana oznacza katastrofę. Jestem strasznym tchórzem.

- Nie jesteś tchórzem, Anno. Nigdy tak o sobie nie myśl. Odważny człowiek to nie ten, który nigdy nie odczuwa strachu, tylko ten, kto mimo lęku robi to, co do niego należy. Tak właśnie uczyniłaś. Twój ojciec nie zdobyłby dla nas paszportów bez szmaragdu, a to ty wyniosłaś go z więzienia. To wymagało wielkiej odwagi.

Anna podniosła łyżkę.

- Żałuję teraz, że nie powiedziałam tacie otwarcie o finansowych kłopotach sir Roberta, ale wtedy uważałam to za nielojalne w stosunku do wuja, który był dla mnie taki miły. Gdyby papa zdawał sobie sprawę z sytuacji, z pewnością inaczej by wszystko zaplanował.

- Może po ślubie córki ciotka zajmie się wyszukaniem dla ciebie odpowiedniego męża - próbowała ją pocieszyć Marie.

- Boże! Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Nie sądzę, żeby mógł mi się spodobać kandydat wybrany przez ciotkę Susan.

W swoim pokoju przy Charles Street, tuż przy Drury Lane, Laurence krytycznym spojrzeniem mierzył kobietę siedzącą przy toalecie, zajętą pudrowaniem policzków i czernieniem rzęs. Jasnokasztanowe włosy związała w uroczy, skromny

koczek. Od szyi w górę wyglądała jak dama - może nie najmłodsza, ale mądra i szanowana, w średnim wieku, najprawdopodobniej wdowa.

Jednak od szyi w dół widok przywodził na myśl całkiem odmienne skojarzenia. Czarny koronkowy gorset, prowokacyjnie podnoszący biust, nie miał nic wspólnego z przyzwoitym wyglądem, a już różowe podwiązki z falbankami można by określić jako skandaliczne.

- Podaj mi suknię, kochanie.

Laurence podniósł z łóżka skromne czarne odzienie.

- Pomóc ci zapiąć?

- Jeśli możesz.

Suknia miała niewielki dekolci i długie rękawy. Po jej włożeniu kobieta natychmiast zmieniła się w stuprocentową damę.

- Teraz halka i już prawie jestem gotowa. - Dokończyła ubieranie się z zadziwiającą szybkością, wynik długoletniej praktyki w teatralnej przebieralni. - No i co, jak wyglądam? - Wyprostowała się i przybrała minę nieco zasmuconej szacownej wdowy.

Laurence, widząc tę nagłą transformację, nie umiał powstrzymać śmiechu.

- Helen, jesteś wspaniała.

- Mamo - poprawiła go. - Mam nadzieję, że się uda - dodała powątpiewająco.

- Mamo? - Wybuchnął śmiechem. - Oczywiście, że się uda. Nie mogę spudłować.

Helen nagle spoważniała.

- Laurence, czy jesteś pewien, że chcesz się wdawać w tę maskaradę?

- Naturalnie - odparł zniecierpliwiony. - Potrzebuję pieniędzy, a z tego, co się dowiedziałem, ona je ma.

- Jesteś pewien? Może to tylko plotka jakiegoś niedyskretnego urzędnicy.

- Zaryzykuję - zawyrokował Laurence. Przyjrzał się sobie krytycznie w dużym lustrze. Zobaczył wysokiego, młodego mężczyznę, przystojnego, choć raczej drobnego, z jasnoniebieskimi oczami i włosami starannie obciętym na Tytusa. Garnitur dobrze skrojony, lecz nie ostentacyjny, sprawiał, że Laurence wyglądał na osobę, z którą z pewnością nie miał nic wspólnego - wiarygodnego, dobrze prosperującego przedsiębiorcę, prawdopodobnie drugiej lub trzeciej generacji, trochę już zaznajomionego z wielkim światem i szukającego żony z wyższych sfer.

Helen także spojrzała na postać w lustrze. Laurence, o czym wiedziała, był w tej chwili prawie bez grosza, ale miał nosa do pieniędzy. Spotkała go po raz pierwszy, kiedy był oszalałym na punkcie teatru szesnastolatkiem, ciągle się kręcił wokół Theatre Royal, w którym występowała jako chórzystka. Potraktowała go wtedy dość lekko, raczej bawiąc się jego zaletami, bo skończyła już trzydziestkę i młodzi adoratorzy nie przytrafiaли się jej już codziennie. Laurence jej się podobał, toteż w końcu przyjął go do łóżka i, co gorsza, wyjawiała kilka sekretów, czego później bardzo żałowała.

Młodzieniec o twarzy anioła nie cofnął się, co odkryła potem z goryczą, przed szantażem i kilkakrotnie musiała oddać mu wszystkie pieniądze, jakie jej się trafiły. Wieść o jego wyjeździe do Ameryki przyjął z ulgą.

Teraz, siedem lat później, Laurence znowu pojawił się w Londynie. Helen trzymała się swojej posady dosłownie pazurami, bo choć, na szczęście, zachowała szczupłą sylwetkę, a jej włosy nie straciły blasku, to jednak nie miała pojęcia, przez ile jeszcze sezonów może liczyć na tę pracę. Za odegranie roli jego matki Laurence zaproponował jej dziesięć gwinei,



a tylko Pan Bóg wiedział, jak bardzo potrzebowała tych pieniędzy.

Laurence powrócił z Ameryki jeszcze przystojniejszy, bardziej brutalny, co, zdaniem Helen, mogło pociągać wiele kobiet. Nie wątpiła, że młoda dama, o którą Laurence się ubiega, ogromnie się ucieszy na widok tak przystojnego kandydata na męża. Helen jednak obawiała się go, i to mocno, ale starała się to ukryć.

- Jak ci się tam żyło? - zapytała z zaciekawieniem.

- W Ameryce? Hazard, moja droga. Nowy Jork bardzo przypomina Londyn, pełno tam wiejskich naiwniaczków. Siadali ze mną do kart, a ja już pilnowałem, żeby przegrywali.

- Nie wplątałeś się w żadne kłopoty? - Helen nigdy nie widziała Amerykanina, ale wydawało jej się, że to cięta rasa. To oczywiste, że jakiś amerykański osiłek, przyłapawszy Laurence'a na kantowaniu, bez wahania złoiłby mu skórę.

Laurence wybuchnął śmiechem. Nagle w jego dłoni zaśnił mały nóż. Szybkim ruchem odchylił głowę Helen i przytknął ostrze do jej gardła. Zamarła, starając się opanować szaleńcze bicie serca. Laurence nacisnął lekko na nóż, a potem niespodziewanie puścił Helen.

- Już rozumiem! - zawołała, siląc się na nonszalancki ton.

- To dobrze. - Dostrzegł jej strach i ucieszył się z tego. Będzie go słuchała. - Powtórzmy wszystko po raz ostatni.

- Jestem szanowaną wdową - posłusznie zaczęła Helen. Złączyła przed sobą dłonie, jak do modlitwy.

- Ja jestem Redbourn, bogaty kupiec z City. - Wyciągnął kartę wizytową. - Chcę wyrobić sobie dostęp do wielkiego świata. Wiem, że nie mogę się spodziewać zbyt wiele, ale małżeństwo z siostrzenicą sir Roberta zapewni mi status, który mnie interesuje.

- Podkreślę to w rozmowie z lady Broxhead - przyrzekła Helen. - Połączenie się z tą rodziną to prawdziwy honor.

- Ze słów pomywaczki wynika, że ta dama ma bardzo wysokie mniemanie o sobie. Zdaje się też, że panna de Cardonnel nie jest jej ulubienicą.

- Och, a to dlaczego? - Helen zwróciła uwagę, że Laurence dobrze przygotował się do czekającego go zadania.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo.

- Jaka ona jest, ta twoja przyszła narzeczona?

- Nie wiem. Nigdy jej nie widziałem. Ale czy to ma znaczenie? Z pewnych źródeł dowiedziałem się, że będzie miała mnóstwo pieniędzy. Co mnie obchodzi, jak wygląda?

- Ale przecież masz się z nią ożenić!

- Moja droga Helen! - Laurence'a rozśmieszyła naiwność towarzyski. Jeśli ta panna Cardonnel okaże się sprytna i szybka, może nawet da się ją do czegoś wykorzystać. Jeśli nie, miał zamiar oddzielić się od małżonki szerokością Atlantyku. Jak później potoczą się jej losy, to już nie jego sprawa.

Laurence spotkał sir Roberta w dyskretnym klubie hazardowym St James przy King Street, gdzie grało się ostro. Udał się tam jako gość młodego człowieka, który miał więcej pieniędzy niż rozumu. Nie było tu znaczonych kart, specjalnie wyważonych kości ani zręcznie ustawionych lusterek do podglądania kart przeciwnika. Jednak Laurence nie stracił fasonu, znał wiele sztuczek, a na dodatek wiedział, że gra w odpowiednim otoczeniu to połowa sukcesu. Klub miał styl. Przyćmione światło, nie licząc oliwnych lampek ustawionych na pokrytych zielonym sukmem stolikach. Dużo drinków, cichy szum skoncentrowanych graczy.

Laurence pilnował, żeby kieliszek jego młodego przyjaciela był ciągle pełen, sam jednak nie pił. Nauczył towarzysza kilku (całkowicie legalnych) sztuczek, żeby poprawił styl gry, a w zamian młodzieniec przegrał do Laurence'a trochę pieniędzy - ale nie tyle, żeby wzbudzić czyjeś podejrzenia, niemniej na tyle dużo, by Laurence mógł spokojnie kontynuować swój plan. Przy okazji dobrze się bawił.

Kiedy po kilku dniach spotkał w klubie sir Roberta, od razu zauważył, że to nałogowy hazardzista: gorączkowy sposób tasowania kart, niecierpliwość, z jaką odsyłał słuźącego z drinkami, to wszystko świadczyło o obsesji. Laurence uważnie go obserwował. Sir Robert miał na sobie oliwkowozielony wieczorowy surdut, ale najwyraźniej wolał krótkie spodnie zapięte pod kolanami od najmodniejszych, długich. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać mężczyzna w średnim wieku z pozycją i majątkiem, nie podkreślający ostentacyjnie swojego statusu.

Tego wieczoru Laurence wstał od stolika bogatszy o dwieście pięćdziesiąt gwinei, należących do sir Roberta. Po następnym nieudanym wieczorze sir Robert powiedział:

- Wystarczy, Redbourn. Skoro nie umiem grać, nie będę grał. - Doskonale wiedział, że jego księgowy bardzo się zdenerwuje z powodu tych dwóch wieczorów.

- Przykro mi to słyszeć. - Laurence palcem wezwał kelnera.  
- Czego się pan napije? Podają tu nawet niezłą brandy.

Sir Robert skinął głową. Przeszli do spokojnej alkowy pod oknem i usiedli. Laurence potrząsnął płynem w kieliszku.

- Na szczęście jestem na tyle zamożny, że mogę bez obaw cieszyć się grą - rzekł. - Jednak inne dziedziny mojego życia...

Sir Robert, wyczuwając możliwość odwleczenia wyroku, przysunął bliżej krzesło.

- Jeśli mogę jakoś pomóc...? - Nie musiał dodawać, że mogliby dojść do ugody, to było zrozumiałe. Miał tylko nadzieję, że Redbourn nie zażąda członkostwa w klubie White' a. Bez wątpienia nie zostałby przyjęty, a poinformowanie go o tym byłoby co najmniej niezręczne.

- Mój drogi ojciec wiązał ze mną, swym jedynym synem, wielkie nadzieje. - Laurence uśmiechnął się smutno i przez moment milczał z szacunkiem. - Pragnął, żebym się dobrze ożenił. Oczywiście, wiem, gdzie jest moje miejsce, ale czuję, że jestem to winien jego pamięci...

- Naturalnie - mruknął sir Robert. - Jaki posag ma pan na myśli?

- Posag nie jest ważny. - Laurence z oburzeniem machnął ręką na to obraźliwe podejrzenie. - Wystarczy małe zabezpieczenie. Nie, mnie przede wszystkim zależy na dobrym pochodzeniu. A także kontaktach, powiązaniach...

Sir Robert pochylił się.

- Zdaje się, że będę mógł panu pomóc...

Lady Broxhead zadbała o to, żeby ani Anna, ani Julia nie płątały się po domu w czasie wizyty Redbournów. Czuła, że w tak delikatnej sytuacji powinna móc w pełni się skoncentrować. Goście mile ją zaskoczyli. Mąż rozmawiał z panem Laurence'em w gabinecie, a panie przeszły do buduaru. Helen od razu zauważyła, że pokój jest niezwykle przytulnie urządzony, srebrny dzbanek do kawy, delikatne porcelanowe filiżanki, drogie ozdóbki na porostawianych wszędzie niewielkich stolikach, wiszący na ścianie pochlebny obraz lady Broxhead, namalowany przez sir Thomasa Lawrence'a - wszystko opowiadało tę samą historię. Helen usiadła na wskazanym jej

krześle i spróbowała przybrać odpowiednią minę tak, aby wyglądać na osobę skromną, przejętą i nieco nieśmiałą.

- Proszę mi opowiedzieć o synu - nakazała lady Broxhead, kiedy już lokaj w peruce podał napoje. - Wydaje się dobrze ułożonym młodym człowiekiem. - Patrzyła na Laurence'a z aprobatą - miał dobre maniery, fryzurę i posturę godne dżentelmena - ale też z lekką niechęcią, bo był stanowczo zbyt przystojny dla Anny. Złapała się na myśli, że szacowny Bertram Wellesborough, teraz już oficjalnie zaręczony z Julią, raczej niski, zwalisty i małowówny, powinien w jakiś sposób zmienić i wygląd, i zachowanie, upodabniając się do pana Redbourne'a, który w zamian mógłby się przemienić w Wellesborougha. Taka zamiana obu bardziej by pasowała. Redbourn bez kłopotu mógłby uchodzić za dżentelmena, a Wellesborough za handlowca.

Helen odstawiła filiżankę z kawą i złączyła dłonie.

- To najśłodszy chłopak na świecie - zapewniła. - Zupełnie jak jego drogi ojciec. - Zamilkła i delikatnie dotknęła oczu, uważając, by nie zetrzeć makijażu. - Jedyne, co mogę mu zarzucić, to to, że zbyt rzadko go widuję. Tak ciężko pracuje, lady Broxhead, nie tak jak inni młodzi ludzie. - Następnie wyrecytowała krótką listę zalet, które wcześniej podał jej Laurence: wysokie dochody, chęć podwyższenia statusu społecznego, niezwykle odpowiedzialny. - Mówi nawet, że ma zamiar przenieść się do Birmingham, gdzie podobno istnieją lepsze możliwości rozwoju interesu.

Birmingham! Oczy lady Broxhead zapłonęły. Doskonale! Anna będzie miała jak u pana Boga za piecem u boku młodego szanowanego męża, wielce przystojnego, i na dodatek zamieszkałą setki mil od Londynu.

Helen pochyliła się do niej protekcjonalnie.

- Mam nadzieję, że nie powiem nic niestosownego - zaczęła - ale kiedy tu jechaliśmy, syn powiedział, że perspektywę wejścia do państwa rodziny zalicza do największych zalet tej partii. - Helen zamilkła, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo. Widziała, jak lady Broxhead się prostuje. Tak, ta głupia kobieta połknęła haczyk! Duma niemal ją rozsadzała!

- Broxheadowie należą do jednej z najstarszych rodzin baronetów w królestwie - oświadczyła majestatycznie lady Broxhead. - A ja sama pochodzę z Selborne'ów!

Pani Redbourn zabrakło tchu.

- Selborne'ów! Wielkie nieba!

Cóż za miła kobieta, pomyślała lady Broxhead. Zachowuje się prawie jak dama i jest taka przejęta ich pochodzeniem. Postanowiła, że uczyni wszystko, co możliwe, żeby tylko doszło do tego małżeństwa. Wstała.

- Może dołączymy do sir Roberta i pani syna? - zaproponowała z wdziękiem.

Po znalezieniu się w gabinecie sir Roberta Laurence uważnie się rozejrzał i natychmiast zrozumiał, że rodzina gospodarza znajduje się w nieco trudnej sytuacji. Perskie dywany, wyśmienitej jakości, były już mocno wytarte. Tapeta spłowiała, a lustro nad kominkiem wymagało nowej ramy. Nic znaczącego, ale najwyraźniej sir Robert i jego żona uznali, że muszą przetrwać jeszcze jeden sezon z tym, co mają.

Tym lepiej. Chętniej zaakceptują jego kandydaturę na męża dla siostrzenicy. Sir Robert był cały w skowronkach. Zadał kilka ogólnych pytań dotyczących dochodów Laurence' a, dodał, że siostrzenica jest dobrą dziewczyną i zasługuje na porządny dom. I to było wszystko. Sir Robertowi albo brakowało energii, albo nie miał ochoty szczegółowo wypytywać kandydata na

męża Anny. Był przekonany, że Laurence jest dobrym człowiekiem i dziewczyna będzie z nim szczęśliwa.

- Tak, tak - kończył. - Wydaje mi się, że możemy dojść do porozumienia, co? Dam siostrzenicy tysiąc. I tak planowałem to zrobić. A ojciec zostawił jej pięćset. Nie jest tak całkowicie goła! I ładna z niej dziewczyna, Francuzka. *Petite*, to odpowiednie słowo.

- W takim razie... - Laurence sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść kwitów. - Możemy się tego pozbyć. - Przystawiał każdy po kolei do ognia świecy. - W rodzinie nie powinno być długów.

Przyglądał się twarzy sir Roberta. Malowało się na niej zawstydzenie, ale też ulga. Długi karciane to długi honorowe, a Laurence właśnie spalił kilka setek funtów. Był to szczodry gest, ale w ten sposób związywał ręce sir Roberta w sprawie ożenku.

- Miło z twojej strony, Redbourn. - Z zadowolenia głos aż mu zachrypnął.

- To specjalna chwila, czyż nie? Następnym razem nie będę taki ugodowy - zażartował uprzejmie Laurence

Na całe nieszczęście sir Robert mu nie uwierzył.

Rozległo się pukanie do drzwi i lokaj obwieścił przybycie lady Broxhead i pani Redbourn. Obydwaj panowie wstali. Wymieniono zwyczajowe uprzejmości. Laurence, napotykając wzrok Helen, uniósł brew. Odpowiedziała mrugnięciem oka.

- Ale, Redbourn - serdecznie zawołał sir Robert - nie widziałeś jeszcze mojej siostrzenicy! Nie wolno nam postępować tak pochopnie. To nie średniowiecze, żebyśmy łączyli ludzi, którzy nigdy się nie widzieli!

- Panna de Cardonnel jest Francuzką, sir Robercie - pośpiesznie wtrąciła lady Broxhead. - Francuzi uznają aranżowane małżeństwa. Ślub twojej siostry z wicehrabią także był aranżowany, czyż nie?

Laurence zorientował się, że lady Broxhead bardzo zależy na sfinalizowaniu małżeństwa. Trzeba będzie podziękować Helen za doskonale wykonaną robotę.

Siedziała cicho z boku, ale nie była taka obojętna, jak się wydawało. Nie wspominała o niczym Laurence'owi (dostała nauczkę i od tej chwili postanowiła, że już nigdy mu się nie zwierzy), ale ona także odrobiła lekcję. Kazała Peggy, swojej garderobianej, zaciągnąć języka na temat sir Roberta. Peggy dowiedziała się o romansie sir Roberta z pewną aktorką i o działaniu lady Broxhead, które zakończyło ten epizod. Helen znała aktorkę, o której była mowa; raczej hałaśliwa, bezczelna kobieta, lubiąca błyszczeć i robić wokół siebie dużo szumu.

Helen ukradkiem przyglądała się sir Robertowi. Wcale przystojny mężczyzna, pomyślała, tylko trochę staromodny. Zachował dobrą figurę. Zauważyła, że kiedy na nią patrzy, w jego oczach pojawia się błysk aprobaty. A więc jest wrażliwy na kobiecy urok.

Jakby wyczuwając spojrzenie, sir Robert odwrócił głowę i napotkał wzrok Helen. Uśmiechnęła się lekko, skromnie, ale oczy zasnuła jej uwodzicielska mgiełka.



### 3

Na czas wizyty Redbourna Julia została wysłana do matki chrzestnej, a Anna w towarzystwie Charlesa na Bond Street po nowy czepek dla lady Broxhead.

- I koniecznie sprawdź, czy wstążki pasują do mojego brązowego płaszcza, Anno - poinstruowała na pożegnanie lady Broxhead.

Anna posłusznie spełniła polecenia ciotki, trochę zdziwiona, dlaczego to ona, a nie Martha, pokojówka, ma się tym zająć. Wybrała czepek, potem kupiła nici do wyszywania, ale niestety nie udało jej się znaleźć w bibliotece Bell Circulating drugiego tomu *Psalmów* Fordyce'a, o który także prosiła ciotka. Wróciła nieco wcześniej, niż się jej spodziewano, i dzięki temu natknęła się na opuszczających dom Laurence'a i Helen. Podjechała dorożka i Anna zdążyła dostrzec tylko rąbek czarnej sukni Helen, ale to Laurence przykuł jej uwagę. Wysoki, przystojny dżentelmen. Jeszcze przez kilka sekund po zamknięciu drzwi domu stał na szczycie schodów. Potem nagle się obrócił, z całych sił splunął na drzwi, zbiegł po stopniach i wskoczył do dorożki.

Anna spojrzała na Charlesa, który stał dwa kroki za nią

z paczkami, ale widok przysłała mu furmanka z węglem, więc zdaje się, że niczego nie zauważył.

Weszli do domu. Anna kazała służącemu odnieść paczki do Marthy, a sama podeszła do marmurowego stoliczka, na którym stała porcelanowa waza z Sevres, przeznaczona do wrzucania kart wizytowych. Leżały w niej tylko dwie: Mr L. Redbourn, Handel Towarami, z adresem z Ludgate Street i Mrs L. Redbourn. Anna ze zdumieniem przyglądała się wizytówkom. Kupiec z City z żoną - a może matką - z wizytą u wujostwa? To mało prawdopodobne. Odwróciła się do pokojówki, która właśnie pojawiła się w drzwiach.

- Dżentelmen, który niedawno wyszedł - powiedziała - kto to był?

- Pan Redbourn, panienko Anno. Przyszedł z matką, żeby zobaczyć się z sir Robertem i lady Broxhead, tak. I nie dał nikomu napiwku - dodała cichutko.

- Dziękuję, Sarah.

Anna szła wolno na górę, ogarnięta niemiłym przeczuciem. Zapowiedź niebezpieczeństwa owiała ją jak lodowaty podmuch wiatru. Nie wiedziała dlaczego, ale przeczuwała, że wizyta nieznanym ma coś wspólnego z jej osobą. Prosty kupiec nie wchodziłby do tego domu frontowymi drzwiami i nie przyprowadzałby matki. To byli uprzywilejowani goście. I widzieli się z wujem i ciotką. Sir Robert nie uczestniczyłby w tej wizycie, gdyby dotyczyła spraw domowych. Z drugiej strony lady Broxhead nigdy się nie mieszała do interesów męża. Nie, z pewnością chodziło o sprawy rodzinne.

Pan L. Redbourn, Handel Towarami. Annie przyszła do głowy bardzo niesympatyczna myśl, mianowicie, że to ona jest tym towarem.

Lady Broxhead przemyślała wszystko kilkakrotnie i postanowiła kuć żelazo póki gorące. Trzeba za wszelką cenę przytrzymać pana Redbourn. Ślub córki ma się odbyć za kilka tygodni i zaraz po nim można będzie ogłosić zaręczyny siostrzenicy - może małe przyjęcie? - potem szybki, cichy ślub. Wypada około lipca. Socjeta w większości przeniesie się na wieś, ale to bez znaczenia. Pan Redbourn nie ma prawa oczekiwać nic więcej ponad skromne przyjęcie dla uczczenia uroczystości.

Zbliżała się druga po południu i obiad miał być podany w małym śniadaniowym saloniku. Julia nadal była u matki chrzestnej. Doskonała okazja porozmawiania z Anną.

- Och, Anno, kochanie! - zawołała lady Broxhead, wchodząc do pokoju. Siostrzenica akurat odkrawała plasterek pieczeni. - Właśnie ciebie chciałam spotkać.

- Uhm? - zdziwiła się Anna. - Czy zje ciocia kawałek szynki?

- Szynki? - powtórzyła lady Broxhead, nieco zbita z tropu.

- Nie, dziękuję.

- Znalazłam, ciociu, te nici, ale niestety nie udało mi się wypożyczyć książki, o którą prosiłaś - wyjaśniła Anna. Nie chciała dopuścić ciotki do głosu. Gdy usiadły, z niezadowoleniem stwierdziła, że ciotka nie je, tylko bawi się jedzeniem. Anna udawała, że niczego nie dostrzega.

- Sir Robert i ja mieliśmy dzisiaj szczególnych gości, którzy mogą odegrać w twoim życiu dość dużą rolę.

- Uhm - uprzejmie rzuciła Anna. Już dawno zauważyła, że: „uhm” to niezwykle użyteczna forma odpowiedzi.

Lady Broxhead kontynuowała:

- Pan Redbourn zachwycił się tobą i pragnie bliżej cię poznać. Udało ci się podbić serce niczego sobie młodzieńca. Sprytna dziewczyna - dodała ciotka z niezwykłą dla niej figlarnością.

Anna nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Ten pan musi być pozbawiony rozumu, ciociu Susan, bo nigdy w życiu go nie widziałam!

Lady Broxhead zrozumiała, że popełniła taktyczny błąd. Anna, w przeciwieństwie do Julii, nie miała głowy nabitej romantycznymi bzdurami.

- Mylisz się, Anno. Pan Redbourn to bardzo rozsądny człowiek, prawie dżentelmen. Posiada bardzo szanowaną firmę w City. Pragnie podnieść swój status - ambicja godna pochwały - i po ujrzeniu cię w parku, a także w operze, chciałby cię poznać. Kierują nim jak najbardziej uczciwe intencje. Jego dochód wynosi prawie tysiąc funtów rocznie, na co dziewczynie bez posagu nie wypada sarkać.

Anna przez chwilę nic nie mówiła. Instykt podpowiadał jej, by od razu i raz na zawsze odrzucić zaloty nieznanego jegomościa, ale zrozumiała, że w tej chwili to niemożliwe. Nie chciała przygnębiać ciotki ani wprowadzać do domu złej atmosfery tuż przed ślubem Julii. Wbiła wzrok w talerz.

- Czy sir Robert się zgadza? - zapytała w końcu.

- Tak, oczywiście. - Anna, dzięki Bogu, zachowuje się rozsądnie, ucieszyła się w duchu lady Broxhead. - Uważa, że to nader szczęśliwy układ, dla was obojga - dodała z wdziękiem.

- A czy sprawdzaliście tego pana Redbourn? - dociekała.

- Czy może polecał się jedynie osobiście?

Lady Broxhead poczerwieniała. Pomyślała, że siostrzenica ma bardzo nieprzyjemny zwyczaj wyciągania na światło dzienne właśnie tych spraw, o których nikt nie chce nawet słyszeć. Wątpiła, żeby sir Robert kiedykolwiek pofatygował się na Ludgate Street.

- To oczywiście, że twój wuj dokładnie sprawdził tego pana.

Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich sir Robert osobiście.

- Właśnie mówię Annie, jakie ma szczęście, sir Robercie  
- wyjaśniła żona.

- To ogromnie poprawny młody człowiek - zgodził się pan domu z wymuszoną wesołością. - A jaki przystojny. Wiem, że kobiety to lubią.

- A więc ma wasze błogosławieństwo? - podsumowała Anna. Pobladła i czuła się tak, jakby ściany pokoju obsuwały się na nią. Nagle znowu znalazła się w Carmes i szła lodowatymi korytarzami do celi matki. Jedzenie zmięło się w jej ustach w popiół. Dłonie zziębły.

- On ma pieniądze, ty pozycję - stwierdził sir Robert. - Czyż można sobie wyobrazić lepszy układ.

- Nie planowałam jeszcze małżeństwa - desperacko rzuciła Anna.

- No, no - pocieszył ją wuj. - Wszystkie dziewczęta chcą wyjść za męża. - Roześmiał się sztucznie.

Pod tą maską wesołości Anna dostrzegła niepokój. Ale dlaczego?

- Poza tym, Anno, w październiku osiągniesz już wymagany wiek - przypomniała ciotka. - Sir Robert przestanie być twoim opiekunem. Co wtedy uczynisz? Kobieta potrzebuje mężczyzny, który zajmie się jej sprawami. A szanowany przedsiębiorca to człowiek, na którym można polegać.

Anna chciała powiedzieć, że fakt, iż ktoś jest mężczyzną, nie jest zarazem probierzem finansowego sukcesu. Sam sir Robert znajdował się w tak krytycznej sytuacji, że w zasadzie nie powinien być jej opiekunem, ale ugryzła się w język. Myślała szybko. Mieli czerwiec. Od przekroczenia progu pełnoletności dzieliły ją cztery miesiące. Czy uda jej się odwlec wydarzenia do tego czasu? Co uczyniłby sir Robert, gdyby

uciekła do ciotki Marie? Doszłoby do skandalu, i choć nie dbała o siebie, to jednak nie chciała sprawiać kłopotu Marie ani nawet wujostwu, na to bowiem nie zasługiwali. W końcu robili dla niej, co mogli.

- No cóż, przyznaję, że jest to dla mnie pewne zaskoczenie - wydukała z trudem. - Potrzebuję trochę czasu, aby przemyśleć tę propozycję, jeśli się zgodzicie.

- Mądra dziewczyna - pochwalił sir Robert, pochylając się i klepiąc siostrzenicę po ramieniu. - Wiedziałem, że zachowasz się rozsądnie. Ciotka urządzi dla ciebie przyjęcie po odejściu Julii. Tak będzie najlepiej, co?

Anna zrozumiała, że już wcześniej wszystko zostało ustalone.

Tego wieczoru chodziła po pokoju tam i z powrotem, przeżywając katusze i nie mogąc podjąć decyzji. Udało jej się wymusić na wujostwie zgodę, że do czasu ślubu Julii nie zapadną żadne wiążące postanowienia.

Ale im dłużej się zastanawiała, tym bardziej dziwna wydawała jej się cała ta historia. Ten podejrzany Redbourn z pewnością trzyma wuja w szachu. Sir Robert starał się to ukryć, ale było oczywiste, że bardzo pragnie, żeby doszło do ślubu: miał w tym jakiś ukryty cel. Co do ciotki, Anna wiedziała, że bardzo nie chce, by siostrzenica z nimi mieszkała, ale z drugiej strony nie odnosiła wrażenia, że ciotka jej nie lubi. Naturalnie, ich stosunki zawsze ograniczały się wyłącznie do uprzejmości, jednak Anna zdawała sobie sprawę, że jest dla ciotki użyteczna.

Dlaczego tak nagle chce się jej pozbyć?

Z pewnością chodzi o pieniądze. Na Brook Street panowało lekkie zamieszanie. Służba dostała okrojoną pensję i wszyscy się spodziewali, że po ślubie dom zostanie zamknięty, a więk-

szość pracowników zwolniona. Sir Robert i lady Broxhead, nie tracąc twarzy, przeprowadzą się wtedy do upadłej posiadłości w Worcestershire. Jeśli nawet w czasie sezonu odwiedzą Londyn, naturalnie zatrzymają się u córki. Dom w mieście wynajmą. Trzydzieści gwinei tygodniowo to nie za wiele za wynajęcie domu w sezonie, jeżeli położony jest w dobrym punkcie.

Nie, pomyślała Anna, nie ma co zwracać się z prośbą do wuja lub ciotki. Pozostały jej tylko dwa wyjścia: może uciec do ciotki Marie, co skończy się skandalem i zniszczy radość ze ślubu Julii, albo może powiadomić tego nieznanego pana Redbourn, że nie przystaje na jego propozycję.

Im dłużej myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że druga opcja jest jedynym rozwiązaniem. Pojedzie na Ludgate Street - może w towarzystwie Charlesa - odszuka Redbourn i zakończy całą sprawę. Roztrząsała ten pomysł całe popołudnie. Nachodziło ją mnóstwo obiekcji: sama śmiałość przedsięwzięcia - dama nie powinna nawet pomyśleć o czymś podobnym; zakłopotanie, tłumaczenie, w jakim celu przyszła. Potem obruszyła się na siebie. Cóż jej przyjdzie z dywagacji o tym, co damie wypada, a co nie? Jeśli nie poczyni jakichś kroków, w końcu dojdzie do sfinalizowania tego odrażającego małżeństwa.

Jedną z przyczyn, dla których Anna złościła się na przeprowadzkę na Brook Street, było ograniczenie jej wolności. W Somers Town nie potrzebowała eskorty. Tam traktowano ją jak osobę rozsądną. Na Brook Street nauczyła się, że istnieją pewne miejsca, w których dama nigdy się nie pokazuje. Zakupy na Bond Street w godzinach popołudniowych nie wchodziły w grę - mogła wtedy natknąć się tam na osoby o podejrzanym reputacji. Nie wolno było wychodzić bez eskorty pokojówki

lub lokaja. I nigdy nie wolno jej było przechadzać się po James Street, gdzie mężczyźni wyglądają przez okna klubów i mogą narazić damę na obrazę.

Nie, nie pozwoli, by takie błahostki stanęły jej na drodze. Pojedzie do tego Redbourn na Ludgate Street i powie, co myśli o jego planach.

Przed wyjściem Anna zwróciła szczególną uwagę na swój strój. Z lekkim rozbawieniem uświadomiła sobie, że trzeba tak samo zadbać o dobór ubioru, wybierając się z misją odrzucenia propozycji małżeństwa, jak i przy odwrotnej sytuacji, kiedy pragnie się taką propozycję przyspieszyć. Jej kuzynka gustowała w dziewczęcych niebieskościach i różach, Anna zaś wolała raczej spokojniejsze kolory, toteż nosiła pelerynkę w tonacji ciepłego brązu, podkreślającego jej ciemne oczy. Wokół runda wysokiego słomianego kapelusika (dzieło hrabiny Saisseval) wiły się wdzięcznie dwa bladoporóżowe strusie pióra. Anna wyjęła torebkę i sprawdziła, czy w środku znajduje się jej karta wizytowa, a także ta, którą zostawił w wazie z Sevres pan Redbourn.

Poczuła się lepiej, prawdopodobnie dlatego, że mogła coś uczynić w sprawie tego niefortunnego małżeństwa. Postanowiła wziąć dorózkę. Charles zgodził się jej towarzyszyć i przyrzekł, że o ich eskapadzie nie piśnie nikomu ani słówka.

Dom przy Ludgate Street prezentował się skromniej, niż się spodziewała. Był wysoki i wąski, z atrakcyjnym georgiańskim portykiem i kamiennymi stopniami prowadzącymi do frontowych drzwi. Anna oczekiwała dużego sklepu i rzeczywistość trochę zbiła ją z tropu. Przez chwilę miała ochotę odwrócić się i uciec.

Jednak nie mogła tego uczynić.

- Nie wiem, jak długo to potrwa, Charles - zapowiedziała spokojnie, choć wcale nie czuła się pewnie. - Postaram się szybko to załatwić.



- Poczekam, panienko Anno. - Charles odprowadził ją pod drzwi i zastukał wielkopańską mosiężną kołatką. Pojawił się starszawy, zakurzony służący. Charles pokazał mu się w całej swej perukowej krasie i odszedł do dorożki dopiero wtedy, gdy Anna została wprowadzona do środka.

Służący wziął od Anny wizytówkę, po czym kazał jej iść za sobą. Uczyniła to, trochę zdziwiona, że nie czuje lęku. Redbourn widziała tylko przez ułamek chwili, jednak wrażenie, jakie odniosła, podziwiając jego wystudiowaną elegancję, nie pasowało jakoś do tego domu, dobrze utrzymanego, ale nie odnawianego chyba od stu lat. Dębowa boazeria, na przykład, pobłyskiwała polakierowaną powierzchnią, a nie, jak było w modzie, jasnozieloną lub niebieską farbą. W pokoju, do którego ją wprowadzono, zobaczyła drogi turecki dywan, windsorskie krzesła i wykwintny mahoniowy stół. Na kominku monotonnie tykał mosiężny zegar.

Czas mijał. Anna przechadzała się tam i z powrotem, próbując opanować zdenerwowanie. Chyba oszalała, że tu przyszła. Powiedzieć całkowicie nie znanemu młodemu mężczyźnie, którego ledwo co widziała, że za niego nie wyjdzie? Może powinna się wycofać? Może list...?

Drzwi się otworzyły. Wszedł mężczyzna, wysoki - miał około pięciu stóp wzrostu - o wiele mocniejszej budowy, niż oczekiwała, z szerokimi ramionami wyraźnie rysującymi się pod statecznym, szarym porannym surdudem. Nosił modne długie spodnie zamiast zapinanych pod kolanami, ale w tym człowieku nie czuło się nawet cienia dandysa. Kasztanowe włosy, o delikatnie rudawym odcieniu, miał krótko przycięte, a z wyrazistej, choć przeciętnej twarzy spoglądały na Annę ciemne oczy.

Patrzyła na nieznajomego ze zdumieniem. Para ciemnych

oczu wpatrywała się w nią z uwagą. Zaczerwieniła się. Tak bardzo się różnił od człowieka, którego obraz zapamiętała, od przelotnego widoku złośliwego osobnika plującego na drzwi domu wuja, że zupełnie straciła kontenans.

Mężczyzna trzymał jej kartę wizytową.

- Panna de Cardonnel?

Anna pominęła pytanie i od razu przeszła do rzeczy.

- Pan jesteś tym monsieur Redbournem, o którym mowa w mojej karcie? - Angielski całkowicie ją zawiódł.

Gospodarz zerknął na wizytówkę w dłoni Anny.

- Tak, to ja jestem monsieur Redbourn. - Uśmiechnął się rozbawiony i wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Czemu mam zawdzięczać ten zaszczyt?

Anna ze zdziwieniem stwierdziła, że uśmiech Redbourn'a rozgrzewa jej serce. Otrząsnęła się. Najwyraźniej zmysły ją zwodzą. Pewnie mylnie interpretuje jego zachowanie. Niewątpliwie jest zadowolony, że go odszukała. Czas skończyć z tym naiwnym przecuciem, że być może...

- Oczywiście, pan wie, kim jestem - rzuciła zaczepnie.

- Nie, nie wiem, panno de Cardonnel. - Uśmiech znikł, a zamiast niego pojawiło się lekkie zmarszczenie czoła. Mężczyzna uważnie przyglądał się nieznajomej.

- To na nic, panie Redbourn - zaczęła szorstko Anna. - Nie wiem, co takiego naopowiadał pan ciotce i wujowi i w co uwierzyli, ale ja mam więcej rozsądku niż oni. Jest pan we mnie tak samo zakochany, jak ja w przybyszu z księżycy. To beznadziejnie głupi pomysł!

- Ależ ja wcale nie jestem w pani zakochany.

- Ha! Przyznaje pan to! To małżeństwo nie dojdzie do skutku, rozumie pan? To prawda, że jestem córką wicehrabiego de Cardonnel, ale przekonałam się, że tutaj, w Anglii, francuskie

tytuły nie mają większego znaczenia. Mogłoby być inaczej, gdybym miała majątek, ale go nie posiadam. Marnuje pan czas, panie Redbourn. Tak więc proszę poinformować sir Roberta, że zmienił pan zdanie. Życzę miłego dnia, sir! - Anna podniosła parasol, skinęła chłodno głową i wymknęła się z pokoju.

Było słyszeć jej kroki, gdy zbiegała po schodach, a potem trzaśnięcie frontowych drzwi.

Luke pozostał na miejscu, wpatrując się uważnie w wizytówkę. Po chwili zastanowienia pociągnął za sznurek dzwonka. Pojawił się zakurzony służący.

- Walter, poproś moją siostrę, żeby tu przyszła, dobrze?

Tak jak wcześniej Anna, teraz i Luke, założywszy ręce na plecy, zaczął krążyć po pokoju. Otworzyły się drzwi.

- Luke! Co się stało?

- Usiądź, Hester. Jeśli się nie mylę, Laurence rzeczywiście jest w Londynie i próbuje swoich starych sztuczek. Wygląda na to, że używa mojej karty wizytowej dla niecznych celów.

Opowiedział pokrótce o niespodziewanej wizycie nieznajomej panny.

Hester była zaszokowana.

- Całkowicie obca kobieta przychodzi do ciebie i zarzuca ci, że chcesz się z nią ożenić?! - wykrzyknęła. - Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Jak ona wygląda?

- Chuda, blada i zdenerwowana. - Luke zdał sobie sprawę, że nie jest to do końca prawda. Dziewczyna, która jak burza wdarła się do jego życia, była wiotka jak gałązka i miała wielkie, pełne ekspresji, ciemne oczy, płonące ogniem. I było w niej coś jeszcze, coś, co sprawiło, że żałował, iż wyszła tak nagle.

Hester roześmiała się nerwowo.

- Nie dziwię się jej. Co będzie, kiedy się zorientuje, że Laurence to nie ty?

Luke ponownie spojrzął na kartę Anny, potem rzucił ją na stolik.

- Obawiam się, że się w nim zakocha - stwierdził nagle ochrypłym głosem.

- Ale Laurence nigdy nie ożeni się z dziewczyną, która nie ma pieniędzy - zauważyła Hester

- Nie mam pewności, ale bardzo prawdopodobne, że Laurence odkrył, iż ta panna ma jednak jakiś majątek.

- Co zrobimy? Nie możesz pozwolić, żeby bezbronna dziewczyna wyszła za takiego człowieka jak Laurence

- Z tego, co zauważyłem, pannie de Cardonnel daleko do bezbronności! - odparł.

Lady Broxhead uznała, że należy poinformować Julię o nowym, znaczącym wydarzeniu w życiu jej kuzynki. Wezwała córkę do buduaru i opanowanym tonem przekazała najświeższe wieści. Zarazem poinformowała, że zależy jej ogromnie, by córka zachęcała kuzynkę do tego wyjątkowo pozytywnego związku. Julia prawie zaniemówiła z podekscytowania.

- Och, mammo! To historia jak z bajki! - wykrzyknęła. - O rety, ależ ona ma..

- Julio! Nie mam pojęcia, skąd bierzesz te prostackie wyrażenia. Proszę, żebyś nie odzywała się w ten sposób w obecności pana Wellesborougha.

Julia natychmiast spowaźniała.

- Przepraszam, mammo. Ale przecież pan Wellesborough z pewnością spotka pana Redbourn. Staną się prawie rodziną!

- Nie, Julio - stanowczo zaprzeczyła matka. - Nie chcę,

żeby pan Wellesborough cokolwiek wiedział, póki sprawy pozostają na tak delikatnym etapie. Może po twoim miodowym miesiącu.

- Ależ do tego czasu miną całe wieki. - Dziewczyna posmutniała. Napotkała wzrok matki i skuliła się. Dlaczego musi tę nowinę trzymać w sekrecie? Jeśli ten Redbourn to taka dobra partia, dlaczego nie wolno jej go zobaczyć teraz? Nie warto było pytać o to matki. - Dobrze, nic nikomu nie powiem - przyrzekła.

Uwolniona od towarzystwa matki, Julia natychmiast pospieszyła do pokoju Anny i niecierpliwie zastukała do drzwi.

- To Julia. Mogę wejść?

Anna siedziała przy oknie, pogrążona w myślach. Choć próbowała, nie potrafiła przestać wspominać pana Redbourn. Jego szerokie ramiona, wyraz ciemnych oczu zrobiły na niej wrażenie... Potrząsnęła głową. Czyżby oszalała? Sam przyznał, że jej nie kocha. Nie zna go. Może ma okropny charakter. Nie powinna chcieć mieć z nim nic wspólnego. Postanowiła zacząć myśleć rozsądnie.

Od spotkania z Redbournem minęły dwa dni. Anna miała szczerą nadzieję, że było to ich ostatnie spotkanie. Wuj nie rozmawiał z nią, być może dlatego, iż czuł się nieco zakłopotany. Może Redbourn napisał do niego, a wuj nic jej o tym nie powiedział, obawiając się, że siostrzenica poczuje się obrażona lub przygnębiona. Już pierwsze słowa Julii obaliły tę teorię.

- Och, Anno! Mama właśnie wszystko mi powiedziała.

- Co ci powiedziała? - Serce Anny nagle się skurczyło.

- No, oczywiście, o panu Redbournie! Och, Anno, jakie to romantyczne! I mama twierdzi, że jest bardzo przystojny! - Usiadła na parapecie obok kuzynki i czule ją ucałowała.

A więc nie napisał, pomyślała Anna. Gdyby napisał, lady

Broxhead by o tym wiedziała. Może zamierza więcej się nie pojawić.

- Julio, czy zbytnio się nie pośpieszyłaś? - zapytała ze skwaszoną miną. - Jeszcze go nie widziałam ani on mnie. - Co zrobi, kiedy się spotkają? Czy bardzo krępujące będzie to spotkanie?

- Ale przecież on widział cię w parku, tak powiedziała mama! - zawołała Julia. - Jak możesz być taka opanowana, Anno? To najbardziej romantyczna historia, jaką słyszałam. - Sama poznała pana Wellesborougha w bardzo prozaicznych okolicznościach, na wieczorku wydanym przez jej matkę chrześną. Przyjaciółka matki przedstawiła jej korpulentnego, nieco spoconego młodego mężczyznę i jeśli nawet pan Wellesborough, zobaczywszy ją wcześniej w salonie, padł ofiarą jej uroku, to ani słowem się z tym nie zdradził. Powiedziała to Annie.

- Wolałabym spotkać swojego przyszłego męża w taki sposób, jak ty poznałaś pana Wellesborougha - stwierdziła stanowczo Anna. - Przynajmniej wszyscy go znają. A co wiemy o tym Redbournie? Tylko to, co sam nam powie. - I wbrew zdaniu ciotki, Anna wcale nie uważała, że jest przyzwoity.

- Ale mama powiedziała, że nawet tata jest nim zachwycony - zaprotestowała zszokowana Julia.

Z godnym podziwu wysiłkiem Anna powstrzymała odpowiedź cisnącą się jej na usta.

Następnego dnia z rana przy śniadaniu sir Robert obwieścił rodzinie, że otrzymał ujmujący list od pana Redbouma, który to na poniedziałek 15 czerwca wykupił łożę w teatrze Royal na *Zemstę* z Kemble'em w roli głównej. To ostatni występ aktora w tym sezonie. Redbourn zaprasza sir Roberta, lady

Broxhead i pannę de Cardonnel, by towarzyszyli jemu oraz jego matce.

Julia była zazdrosna i zrezygnowana.

- Ja także chcę go poznać! - zawołała.

- Innym razem, Julio - twardo sprzeciwiła się matka.

Anna czuła, że ogarnia ją wściekłość. Jasno powiedziała temu panu, że nie chce kontynuować znajomości, a oto rezultat! Próbuje zmusić ją do zmiany zdania. Ale po co? Przecież wie, że nie ma majątku i nie chce za niego wychodzić. W Londynie znajdują się z pewnością inne panny, i to z większym posagiem, które chętnie przyjmą jego zaloty.

Do wieczoru w teatrze gotowała się szczególnie starannie, czując, jak rośnie w niej odraza.

Hele n zaczynała się martwić. Oszukańcza gra ciągnęła się dłużej, niż oczekiwała. Już dwukrotnie widziała się z Broxheadami, a teraz musi wziąć wolne i iść do teatru, w którym pracuje, aby siedzieć i oglądać własną dublerkę. Nie tego się spodziewała i uważała, że sytuacja staje się niebezpieczna.

Wspomniała o tych wątpliwościach Peggy, garderobianej, z którą się przyjaźniła od czasu, gdy zaczęła pracować w teatrze, czyli od ponad dwudziestu lat. Peggy zna jej wszystkie tajemnice i z pewnością ją zrozumie.

- Nie podoba mi się to, Peggy - zwierzyła się. - A jeśli ktoś mnie rozpozna? Poza tym, co pomyśli Kemble? Nie chcę, żeby uznał mnie za osobę, na której nie można polegać. Och, Peggy, zależy mi na tej pracy. Nie chcę zarywać przedstawień! Co mam robić?

- Dzień, w którym poznałaś tego Laurence'a Redbourna, to był przeklęty dzień - oświadczyła przyjaciółka mało pocieszająco.

- Przestań! - zawołała Helen. - Gdybyś wiedziała, jak bardzo żałuję, że na niego spojrzałam.

Peggy nieco zmiękła.

- Już dawno nie opuściłaś żadnego przedstawienia - stwierdziła. - A twoją zastępczynią jest ta Maria Dodds, kompletna niezguła. Nie musisz się martwić, że zajmie twoje miejsce. Ale, Helen, przydałoby ci się coś bardziej trwałego. Co z tym sir Robertem? Są jakieś nadzieje?

Helen zastanowiła się.

- Możliwe. Patrzy na mnie w ten specyficzny sposób, wiesz, o czym mówię, Peg? Ale czego mogę dokonać jako cnotliwa wdowa?

- I przy Redbournie, który obserwuje każdy twój krok - dodała ponuro Peggy.

Helen zadrżała. Nie opowiedziała przyjaciółce o epizodzie z nożem, jednak nie zapomniała o nim.

Pan i pani Redbourn czekali na swoich gości w foyer teatru. Doszło do normalnych w takich okolicznościach formalnych procedur. Panowie się kłaniali, panie dygały. Anna, skonfrontowana z kimś całkowicie jej nie znanym, czuła jedynie zadowolenie, że w tym zamieszaniu nikt nie dostrzega jej rozczarowania. To jest Redbourn? Był wyższy od tamtego mężczyzny, mniej barczysty. Miał oczy niebieskie, a nie brązowe, i jaśniejsze włosy. Jednak teraz, kiedy ponownie go ujrzała, uznała, że bez wątplenia jest to ten sam osobnik, którego widziała przy Brook Street. Czy naprawdę nazywa się Redbourn? W jaki sposób udało mu się uzyskać kartę wizytową tamtego drugiego Redbourn? I, przede wszystkim, o co tu chodzi?

W łóżu musiała zająć miejsce obok Laurence'a, przez co



z pierwszego aktu nie usłyszała prawie ani jednego słowa. Uznała, że jeden z Redbournów jest oszustem. Nie wiedziała, które z kipiących w niej uczuć jest mocniejsze, zawstydzenie, iż oskarżyła o chęć ożenienia się z nią kogoś całkowicie niewinnego, czy lęk wynikający z braku orientacji w grze, jaką prowadził siedzący przy niej Redbourn.

Nagle przed jej oczami niczym błysk oślepiającego światła pojawił się obrazek z więzienia Carmes. Wtedy też musiała udawać. Wiedziała, tak jak wiedzieli jej rodzice, że szmaragd zostanie ukryty w specjalnej kieszonce za rewolucyjną kokardą; że jeśli ktoś go znajdzie, to oznacza to śmierć nie tylko dla rodziców i cioci Marie, ale także pożeganie się z jakimikolwiek nadziejami na wydostanie się z Paryża. Nikt jej wtedy tego nie tłumaczył, ale ona wiedziała.

Wreszcie nastąpił antrakt. Laurence zamówił dla wszystkich napoje orzeźwiające.

- Panno de Cardonnel, czy mogę zaproponować pani mały kieliszek wina?

- Dziękuję. - Anna wdzięcznie pochyliła głowę i czekała, co też on zrobi.

Przyniósł wino, przysunął bliżej krzesło - akurat na granicy między uprzejmością a natarczywością - i zaczął obsypywać komplementami jej urodę.

Anna pohamowała chęć odsunięcia się. Cały czas ukradkowo obserwowała towarzysza. Uznała, że jest niezaprzeczalnie przystojny, choć jego oczy są ciut za małe, ale figurę ma bez skazy; szczupły i bardzo elegancki w doskonale dopasowanym ciemnoniebieskim wieczorowym surducie, w płowych spodniach za kolana, białych rajtuzach i płaskich, czarnych wieczorowych lakierkach. Jeśli chodzi o wygląd, jest niezłe, pomyślała.

Sposób, w jaki z nią rozmawiał, to już oddzielna sprawa i Anna nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że Redbourn ją sonduje.

- Jak rozumiem, przyjechała pani z Francji jako dziecko, panno de Cardonnel? - zaczął. — To musiało być dość przerażające przeżycie. Czy przybyła pani do Anglii wraz z rodzicami?

- Moja matka umarła - wyjaśniła krótko. - Przyjechałam z ojcem.

- I obydwójce zamieszkaliście u wuja? - Ponieważ Anna nie odpowiedziała, dodał: - To szczęście, że mieliście w Anglii krewnych.

- Rzeczywiście. Sir Robert przyjął nas z otwartym sercem. - Czy to możliwe, żeby wyciągał od niej informacje? A może to tylko uprzejmość?

- Słyszałem smutne historie o ludziach, którzy przybyli do Anglii jedynie w tym, co mieli na grzbiecie. Mam nadzieję, że pani historia nie była aż tak drastyczna?

- Byłam wtedy siedmioletnim dzieckiem, panie Redbourn - odparła Anna. - Naprawdę bardzo mało pamiętam z tamtego okresu. - Teraz była już prawie pewna, że Redbourn próbuje coś z niej wyciągnąć. - Proszę mi wybaczyć, pragnęłabym porozmawiać z pana matką, jeśli wolno. Ciotka mówiła mi, że to ogromnie urocza osoba.

- Ależ naturalnie, co ze mnie za natręt. - Laurence cały zamienił się w przepraszający uśmiech, ale Anna wyczuła, że nie jest zadowolony. Zacisnął usta w wąską linię, przymrużył małe oczka.

Anna zdusiła uczucie niepokoju, po czym odwróciła lekko krzesło w stronę pani Redbourn.

Wdowa wyglądała na zachwyconą możliwością pogawędzenia z panną de Cardonnel. Po ostrzegawczym spojrzeniu Laurence'a Helen zorientowała się, że jego zaloty nie napotkały na

podatny grunt. Uniosła welon z nadzieją, że w panującym dokoła półmroku nikt jej nie rozpozna.

- Panno de Cardonnel, tak bardzo żałowałam, że nie spotkałam pani w czasie naszej wizyty u pani wujostwa. - Położyła z uczuciem dłoń na ramieniu Laurence' a. - Rozmowa w teatrze zawsze wydawała mi się bardzo utrudniona. Taki tu hałas.

- Tak - powiedziała Anna. - Czy często bywa pani w teatrze?

Do diaska, zakłęła Helen w duchu. Jednak szybko odzyskała równowagę.

- Kiedy żył mój mąż, tak. - Podniosła do oczu róg chusteczki. - Ale pani, panno de Cardonnel, czy mogę zapytać, jak ocenia pani grę pana Kemble' a? Osobiście uważam, że Zaiga nie należy do jego najlepszych ról. A może woli pani Don Alonzo w jego wykonaniu? - Helen zdawała sobie sprawę, że mówi za wiele.

- Moim zdaniem, głos pana Kemble'a jest zbyt słaby do melodramatu. Wolę występ jego brata - odpowiedziała Anna z uśmiechem. - Ale z ostatecznym osądem wstrzymam się do końca.

Ta kobieta się boi, myślała. Widziała to w oczach wdowy, które od czasu do czasu z niepokojem zwracała w stronę syna. Dłonie spokojnie ułożyła na kolanach, bawiąc się wachlarzem, ale miała ściśnięte gardło. Anna widywała w życiu ludzi, którzy się boją i którzy nie chcą tego po sobie pokazać: matka; madame de Custine, współwięźniarka matki; ciocia Marie, kiedy otwierała drzwi domu w Paryżu, obawiając się agentów rewolucyjnej policji.

Sir Robert, do tej pory gawędzący z żoną, pochylił się w ich stronę.

- Wspaniały wieczór, prawda? - zwrócił się do Anny. - Lubię od czasu do czasu nieco blichtru. - Machnął dłonią w stronę publiczności i tysiąca oliwnych lampek i świec,

oświetlających audytorium. W rzeczywistości przechrapał cały pierwszy akt, ale czuł, że musi z siebie coś dać, aby przekonać siostrzenicę do przyszłego narzeczonego. Poza tym pani Redbourn wydała mu się kobietą ogromnie atrakcyjną.

Helen zerknęła na Laurence'a, rozmawiającego teraz z lady Broxhead.

- Uważam, że to dzięki miłemu towarzystwu ten wieczór jest tak udany, sir Robercie - powiedziała i uśmiechnęła się, pokazując dołeczki. - Zgodzi się pan ze mną?

Anna przysłuchiwała się ich rozmowie tylko jednym uchem. Przyglądając się ukradkiem nowej znajomej, ze zdumieniem stwierdziła, że wdowa jest umalowana. Czy to możliwe? Damy się nie malują, no, może lekkie muśnięcie pudrem w gorące dni. A jednak na górnych powiekach pani Redbourn dostrzegła ślady czernidła, a pod brodą smugę źle rozartego różu.

Nie, musi się mylić. Fakt, że nie pała sympatią do Redbourn, nie powinien wpływać na stosunek do jego matki, która wydaje się miłą osobą.

Jeśli jest jego matką.

Nagle teatr wydał jej się miejscem jednej wielkiej iluzji. I to nie tylko na scenie. Iluzji, do której sama będzie musiała się przyłączyć.

„Jesteś de Cardonnel - powiedziała matka w czasie ich ostatniej rozmowy. - Potrafisz poradzić sobie z motłochem”.

Mieszkając w Somers Town, Anna poznała wielu prostych ludzi i nauczyła się nie oceniać nikogo po pochodzeniu. Jeden człowiek jest dobry, inny zły, jak to w życiu. Teraz nagle pojęła, o co chodziło matce. Laurence Redbourn, choć udaje kogoś innego, jest właśnie takim złym człowiekiem; towarzysząca mu kobieta najprawdopodobniej tylko odgrywajego matkę, a jej nie pozostało nic innego niż udawać, że dała się zwieść ich grze.

Musi dalej przyjmować z uśmiechem pochwały Redbourn, tym samym zyskując czas na zastanowienie się.

Pomyślała o drugim Redbournie, o jego ciepłych oczach i pojawiających się w nich ognikach rozbawienia, kiedy na nią patrzył. Zaczerwieniła się

Siedząca za nią lady Broxhead, ukrywszy twarz za wachlarzem, szepnęła do Redbourn:

- Moja siostrzenica bardzo wdzięcznie się rumieni. Zdaje się, że mamy partię!

Sezon zbliżał się ku końcowi i miejskie domy z wolna pustoszały, strasząc pozarzucanymi na meble i kandelabry lnianymi pokrowcami. Na Brook Street Broxheadowie dokonywali ostatnich przygotowań do ślubu Julii, do którego zostało niecałe dwa tygodnie. Gościnne sypialnie zawalone były prezentami, a Julia i Anna albo odpowiadały na listy, albo przesiadywały u krawcowej na przymiarkach - obie miały zamówione nowe kreacje - lub pomagały pokojówkom haftować monogramy na nowej pościeli Julii.

Z jakiegoś powodu Annie ciągle brakowało czasu na odwiedziny u cioci Marie i nie potrafiła opędzić się od myśli, że jest to celowe działanie ciotki Susan.

Julia wreszcie poznała pana Redbourn i nie posiadała się z zachwytu.

- Szkoda, że mój narzeczony nie jest taki przystojny jak twój! - wykrzyknęła pewnego poranka, obrębiając wraz z Anną powłoczki na poduszki.

- On nie jest moim narzeczonym - ze złością poprawiła ją kuzynka.

- Anno! - wykrzyknęła Julia, odkładając szycie i wybałuszając oczy ze zdumienia. - Zupełnie cię nie rozumiem! Ten człowiek oszalał na twoim punkcie. Jest przystojny, dość majątny i ogromnie czarujący. Czego więcej byś chciała?

Uczciwości, pomyślała Anna.

- Nie chcę za niego wychodzić - powiedziała na głos.

- Obawiam się, że tak się stanie - rozsądnie zauważyła Julia. - Kiedy mama coś postanowi, zazwyczaj tak się dzieje.

- Nie w moim przypadku - odparowała Anna, ale wcale nie była spokojna. Rodzina zaakceptowała Redbourn'a i ich przyszły związek, o czym świadczyło uczestnictwo Laurence'a w różnych rodzinnych wydarzeniach. Lady Broxhead wysłuchiwała sprzeciwów Anny z cierpliwym uśmiechem.

- Ależ dziecko, możesz chyba być dla niego miła i uprzejma jeszcze przez następny tydzień. Sir Robert i ja rozumiemy twoje skrupuły. Tylko dlaczego nie miałabyś nieco lepiej poznać pana Redbourn'a? Nie ma w tym przecież nic złego.

Przekonywano Annę, że zachowuje się nierozsądnie. Codzienne wizyty Laurence'a wskazywały na to, że został bezapelacyjnie zaakceptowany przez rodzinę Broxheadów. Nawet lady Clermont aprobowała ten związek i powiedziała to Annie, kiedy wraz z Julią i lady Broxhead złożyły jej wizytę na Berkeley Square.

- Lady Broxhead opowiadała mi o pewnym młodym człowieku, który się tobą zainteresował. Panno de Cardonnel - zaczęła na swój wyniosły sposób, nakazując Annie zająć stojące obok niej krzesło.

- Prawie go nie znam, lady Clermont - broniła się Anna.

- Wiem tylko, że jest handlowcem z City.

Arystokratka na znak zrozumienia dotknęła ramienia Anny.

- Moja droga panno de Cardonnel. Dobrze znałam twojego ojca i możesz być pewna, że mam na względzie wyłącznie

twoje dobro. Bądźmy praktyczni. Gdybyś nadal żyła w Paryżu i wszystko wyglądało jak niegdyś, nikt nawet nie pomyślałby o tym młodzieńcu. Jednak musimy żyć w realnym świecie. Nie posiadasz majątku, a twój wuj i ciotka też nie są bogaci. Co innego ci pozostaje?

- Praca - odparła Anna. - Wielu imigrantów znajduje się w sytuacji o wiele gorszej niż moja. Także pochodzą z arystokracji. Madame de Gontaut i madame de Saisseval, obydwie utrzymują się z pracy własnych rąk.

- Och, martwisz się o swój status - rzuciła lady Clermont, kiwając głową, jakby wszystko już pojmowała. - Musisz zrozumieć, że my, tu w Anglii, inaczej traktujemy te sprawy. Popatrz, nawet ten pan Brummell, o którym tyle się mówi. Jego dziad był prostym pokojowcem! Mogłabym ci wymienić wielu arystokratów, których rodowód jest jeszcze skromniejszy.

Anna nie przejmowała się pozycją, ale w obliczu niezaprzeczalnej aprobaty lady Clermont dla osoby pana Redbourn nie śmiała przedstawić jej swoich obaw. Jak miała powiedzieć, że podejrzewa, iż Redbourn trzyma wuja w szachu? Że sir Robert używa jej jako karty przetargowej? To by była z jej strony czarna niewdzięczność.

Sądząc po czynionych jej uwagach, towarzystwo podzielało opinię ciotki i aprobowало związek, który ta promowała.

Jednak im częściej Anna spotykała Laurence'a, tym mniej mu wierzyła. Na pytania dotyczące okresu jej życia przed zamieszkaniem z Broxheadami udzielała niejasnych odpowiedzi i zauważała, że Redbourn czynił to samo, kiedy pytała o jego przeszłość.

Zdołał się dowiedzieć, oczywiście od Julii, że miały wspólną guwernantkę.

- Ale czy to nie było zbyt uciążliwe, skoro mieszkała pani

z ojcem, panno de Cordonnell, a zakładam, iż tak było? Mam nadzieję, że nie musiała pani codziennie zbyt daleko chodzić?

- Lubiłam lekcje z kuzynką - odparła wymijająco Anna. - Ale co z panem, panie Redbourn? Jaka szkołę pan ukończył? Może jedną z tych w City, o których słyszałam?

Teraz z kolei Laurence zrobił unik.

- Moje szkolne lata to nudny okres, panno de Cardonnell - odrzekł, ściskając ją za ramię.

Szli przez park, a za nimi dyskretnie podążał Charles. Anna odsunęła rękę.

Laurence roześmiał się krótko, po czym rzucił z kpina:

- Jaka wstydliva.

Jak on śmie, oburzyła się w duchu Anna. Jak śmie podejrzewać, że podobają jej się te uściski i insynuacje? Zauważyła, że kiedy tylko próbuje ostudzić jego zaloty, on bierze to za zachętę.

- Bardzo rozboleła mnie głowa - poinformowała chłodno. Obróciła się i wycofała do Charlesa.

- Nie możesz pani odmówić mi przyjemności odprowadzenia cię na Brook Street - zapowiedział Laurence.

Chwycił ramię Anny. W jego oczach pojawił się wyraz, który już wcześniej widziała. Żelazne postanowienie, że postawi na swoim, a także okrucieństwo. Położyła rękę na jego ramieniu, tak lekko, jak tylko mogła. Nagle poczuła uszczypnięcie. Nie jakieś tam żartobliwe, ale prawdziwie bolesne. Krzyknęła.

- Jestem bardzo stanowczym człowiekiem - ciągnął Laurence, jakby nic się nie stało. - Przypuszczam, że nie chce pani sprawić zawodu drogiemu wujowi i ciotce. Co za szkoda, że sir Robert gra. To prowadzi czasami do bardzo niemiłych konsekwencji.

- Rozumiem - bezbarwnie odparła Anna.



## 4

Do soboty desperacja Anny sięgnęła zenitu. Postanowiła, że pójdzie do ciotki Marie, nie oglądając się na lady Broxhead. Zaczynała podejrzewać, że Laurence Redbourn jest o wiele bardziej bezwzględny, niż początkowo zakładała. Powinna uprzedzić ciotkę, że prawdopodobnie będzie zmuszona znowu z nią zamieszkać. A może warto by złożyć powtórny wizytę na Ludgate Street? Pomysł wydał jej się tak odstręczający, że natychmiast naszyły ją mdłości. Spotkać się z Redbournem, któremu zarzuciła, że chce się z nią ożenić? Wolałaby umrzeć.

Przez całe śniadanie nie odchodziła myślami od tego tematu. Prawie nie zauważyła pojawienia się Charlesa. Niósł przed sobą srebrną tacę ze stertą listów, które rozdał domownikom. Większość do lady Broxhead od organizacji charytatywnych, jeden do Julii i jeden do Anny. Obracała go w dłoniach z zaciekawieniem. Rzadko dostawała pocztę, a jeśli nawet przychodziły do niej jakieś zaproszenia, to zazwyczaj dołączano je do zaproszeń przesyłanych ciotce lub kuzynce.

- Charles. - Julia podniosła wzrok na służącego. - Poproszę o więcej kawy.

- Oczywiście, panienko Julio.

Anna podważyła paznokciem brzeg koperty i otworzyła ją. Pismo stanowcze i zupełnie jej nie znane.

*Droga Panno de Cardonnel!*

*Uprzejmie proszę o odwiedzenia nas tak szybko, jak to tylko możliwe. Posiadam informacje dotyczące Pani osoby. Będzie nam towarzyszyła moja siostra.*

*Zpoważaniem  
Luke Redbourn*

Zanim Anna zrozumiała treść listu, musiała go kilkakrotnie przeczytać. To, zdaje się, od tego drugiego Redbourn, którego poznała. Na nagłówku widniał znany jej adres. Pierwszy Redbourn ma na imię Laurence. Czy Redbourn z listu zamieścił w nim swoje imię, żeby wiedziała, o kogo chodzi, czy to tylko przypadek?

Wspomniął też o obecności siostry. To miły gest, który z pewnością miał ją uspokoić. Ale czy to będzie prawdziwa siostra? Anna poznała już jednego Redbourn z podejrzaną matką, dlaczego miałyby uwierzyć drugiemu? Dom przy Ludgate Street opuściła w takim wzburzeniu, że teraz ledwo co przypominała sobie postać wysokiego mężczyzny, sprawiającego wrażenie dość silnego.

Rosło w niej uczucie wstydu. List Luke'a Redbourn napisany był bardzo uprzejmie i nie było w nim słowa o ich ostatnim nieszczęśliwym spotkaniu. Nie ufała Laurence'owi od pierwszej chwili, gdy go ujrzała; instynkt podpowiadał jej, że Luke'owi Redbournowi można wierzyć. Postanowiła, że go odwiedzi.

- Od kogo jest ten list, Julio? - zapytała lady Broxhead. Kiedy sama była młoda, nie wolno jej było osobiście otwierać

korespondencji. Wprawdzie pozwalała na to córce, niemniej czuła się uprawniona poznać szczegóły.

- Od Theresy Tottenham, mamó. Chce, żebym przyszła na jeden z tych nudnych muzycznych wieczorków.

- Panna Tottenham? - powtórzyła lady Broxhead. - Zdaje się, że pani Tottenham przyjaźni się z matką pana Wellesborougha. Oczywiście pójdiesz.

Julia spojrzała na Annę i skrzywiła się.

- Anno, a twój list? - pytała dalej lady Broxhead. - Wygląda na to, że zawiera bardzo absorbujące wieści. - Może uroczy pan Redbourn postanowił listownie poprosić siostrzenicę o rękę, pomyślała.

Anna szybko przekalkulowała w duchu, co powinna powiedzieć.

- To od księżnej de Gontaut, ciciu Susan. Prosi, bym ją odwiedziła. - Księżna bardzo słabo mówiła po angielsku, więc Anna wątpiła, żeby Julia czy lady Broxhead miały ochotę się z nią spotkać.

- Och. - Lady Broxhead była wyraźnie zawiedziona. - Madame de Gontaut? Gdzie ona mieszka? - Przypominała sobie, że na jakimś odludziu, zdaje się że w Hampstead.

- W City, ciciu Susan. - W rzeczywistości madame de Gontaut wynajmowała dwa ponure pokoje z widokiem na stary cmentarz, ale Anna miała nadzieję, że ciotka o tym nie pamięta.

- City? Cóż, zdaje się, że mogę ci dać dziś rano powóz. - Lady Broxhead powiedziała to z niechęcią, ale była raczej zadowolona. Moja siostrzenica odwiedza tę biedaczkę księżną de Gontaut, powie przyjaciółkom, kiedy spotka się z nimi po południu.

Anna podziękowała z wdzięcznością.

Kiedy opuściła pokój, lady Broxhead zwróciła się do córki.

- Jak to będzie wspaniale, kiedy już obydwie założycie własne domy.

- Obawiam się, że Anna nie bardzo przepada za panem Redbournem - rzekła Julia powątpiewającym tonem.

- Moja droga, powiedz mi, jakie to ma znaczenie?

Siedząc w powozie wolno sunącym na Ludgate Street, Anna próbowała przypomnieć sobie dokładniej wygląd pana Redbourn, ale na próżno. Drzwi otworzył ten sam zakurzony służący i ponownie poprowadził gościa na piętro, jednak tym razem do przyjemnego pokoju na tyłach domu z widokiem na mały ogród. Okno było otwarte i Anna dostrzegła kilka krzewów pnącej róży. W pokoju zastała gospodarza i nie znaną jej damę. W chwili, gdy zobaczyła Luke'a, natychmiast go sobie przypomniała. Stwierdziła ze zdumieniem, że ma miłą, poczciwą twarz. Wokół oczu tworzyły się wesołe zmarszczki, a jego uśmiech był po prostu uroczy. Teraz też się uśmiechał.

Podszedł do Anny i potrząsnął jej dłonią.

- Dziękuję, że przybyła pani tak szybko, panno de Cardonnel - powiedział. - Czy pozwoli pani przedstawić sobie moją siostrę, pannę Redbourn? Hester, to panna de Cardonnel.

Unosząc wzrok na gospodarza, Anna zastanawiała się, czy żywi do niej żal za ich ostatnie fatalne spotkanie.

Spojrzała na chudą, zmęczoną kobietę, która lewą dłoń opierała ciężko na lasce. Ma podobną karnację jak brat, zauważyła Anna, i podobny nos. Sądząc po wyglądzie, nie można wątpić, że jest spokrewniona z gospodarzem.

- Ja... ja chciałam przeprosić - zaczęła Anna, przy czym jej policzki oblał ciemny rumieniec - za moją ostatnią wizytę. Ja...

Luke uśmiechnął się.

- Proszę... - Uniósł dłoń. - Niepotrzebnie się pani tłumaczy. Czuję się zakłopotany.

Anna zerknęła na mężczyznę, ale odwróciła wzrok, nie mogąc znieść widoku jego rozbawionych oczu.

- Ale... - zaczęła znowu.

- Pomyliła się pani. A nasz brat, Laurence, zapewne ukradł moje karty wizytowe. Nie sądzę, żeby w czymkolwiek pani zawiniła.

- Pański brat? - Anna przyglądała się Luke'owi, starając się dostrzec podobieństwo. Laurence był wysoki, jasny i gibki, miał niebieskie oczy. Z pewnością był przystojniejszy od brata. Luke był od niego niższy, ciemny i dobrze zbudowany. Rysy miał mocniejsze, bardziej męskie.

- Jak widzę, nadal ma pani wątpliwości - rzucił. - Niech mi wolno będzie zapytać, czy spotkała już pani mojego brata?

- Tak - krótko odpowiedziała Anna.

- Ach. - Uśmiech na twarzy mężczyzny przybladł.

- Panno de Cardonnel - wtrąciła się Hester. - Nie zechciałyby pani usiąść? Jestem pewna, że jeśli usiadziemy wygodnie, lepiej nam się będzie rozmawiało. Proszę pozwolić mojemu bratu odebrać swój płaszcz i kapelusz. Luke, zadzwoń po napoje. Czego się pani napije, panno de Cardonnel? Herbata, kawa, a może wino?

- Poproszę o kawę.

Podczas gdy Redbournowie zajęli się wydawaniem poleceń, Anna się rozejrzała. Pokój był czysty i wygodnie urządzony, bez zbytniego przepychu. Boazeria na wysoki połysk, staroświeckie meble. Koło okna chiński wazon z pięknymi, słodko pachnącymi różami. Na małym stoliczku stosik książek. Na kominku dwa porcelanowe psy, a między nimi lustro. Przed krzesłem panny Redbourn leżał zwinięty w kłębek czarno-szary kot.

Anna powoli się uspokajała. Pokój, jak i jego właściciele, sprawiał wrażenie bezpretensjonalnego i przyjaznego.

- Ponieważ poznała już pani naszego brata - zaczął Luke uprzejmie, choć dość bezosobowo - pozwolę sobie zapytać, czy nie zmieniła pani zdania co do małżeństwa? - Uznał, że panna de Cardonnel mogła ulec urokowi Laurence'a, podobnie jak niegdyś Caroline, a wtedy ani on, ani Hester nie mieli po co dalej uczestniczyć w całej sprawie.

- Zmieniłam zdanie? - powtórzyła zaskoczona Anna.

Hester spojrzała na gościa. Dziewczyna była tak ładna, jak przypuszczała. W sercu Hester nadal pozostawało ciepłe miejsce przeznaczone dla Laurence'a. A jeśli brat rzeczywiście szczerze pokochał pannę de Cardonnel? Była nadzieja, że miłość go zmieni.

- Wybacz, moja droga, że zapytam wprost - powiedziała, pochylając się do Anny. - Czy kochasz Laurence'a?

- Czy kocham Laurence'a? - zawołała dziewczyna. - Oczywiście, że nie! - Nagle przypomniała sobie, że przecież rozmawia z siostrą Redbourn. - Ja... ja przepraszam, panno Redbourn. Nie powinnam tak się wyrażać o pani bracie.

Luke spojrzał na nią z zastanowieniem.

- Przyjmuję tę wiadomość z ulgą - odezwał się, choć w jego głosie pobrzmiewało lekkie powątpiewanie. Do pokoju weszła pokojówka z kawą na tacy, którą postawiła na stoliku obok Hester. Kiedy odeszła, a gospodyni rozlała kawę do filiżanek, Luke wrócił do rozmowy. - Przedyskutowaliśmy to z siostrą i doszliśmy do wniosku, że powinniśmy mówić z panią otwarcie. Jednak w grę wchodzi bolesne rodzinne sprawy, więc prosilibyśmy o dyskrecję.

- Naturalnie.

Luke pokrótce i bez rozczulania się przedstawił Annie życiorys Laurence'a.

- Nie mieliśmy pojęcia, że wrócił do Anglii, panno de Cardonnel. Szczerze mówiąc, nie wiemy, o co mu chodzi, ale proszę mi wierzyć, że o nic dobrego.

- Był takim pięknym małym chłopczykiem - smutno do-rzuciła Hester. - Być może w tym problem.

- Był bardzo zepsutym chłopczykiem! - wybuchnął Luke.  
- Jednak to teraz nieistotne. Mamy nadzieję, panno de Cardonnel, że będzie pani tak uprzejma i powie nam, co wie, a może wtedy dotrzemy wspólnie do sedna.

Anna opowiedziała swoją historię.

- Nie wiem, dlaczego właśnie mnie sobie upatryzył - dodała na koniec.

- Moja droga... - zaczęła Hester.

- Nie, nie powiedziałam tego, żeby wymusić na państwu komplementy - przerwała jej Anna. - Mówię prawdę, tak jak ona wygląda. Wnioskując z tego, co od państwa usłyszałam, Laurence kłamie, twierdząc, że pragnie tego małżeństwa ze względu na pozycję społeczną, a nie może mu chodzić o pieniądze, bo ich nie posiadamy. Jestem całkowicie zależna od hojności wuja. Przynależę, że w posagu podaruje mi tysiąc funtów, kiedy wyjdę za mąż, ale skoro jego finanse są... - Opuściła wymownie ręce i wzruszyła ramionami.

- Kim jest ta dama, którą Laurence nazywa swoją matką?  
- zastanawiała się głośno Hester - Musi pani wiedzieć, panno de Cardonnel, że nasza matka umarła przed ośmiu laty.

- Czy jest pani pewna, że nie posiada pani żadnego majątku? Może należy się coś pani po osiągnięciu dojrzałości? - dociekał Luke. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na filiżankę z kawą.

- Tylko pięćset funtów po ojcu, chyba że odnajdzie się szmaragd.

Luke spojrział na nią z zainteresowaniem.

Opowiedziała pokrótce historię kamienia.

- Ojciec się ukrywał, mama była w więzieniu. Kiedy dotarliśmy do Anglii i mogliśmy się zgłosić po klejnot, ojciec Ignace zniknął bez śladu.

- Jak cenny jest ten kamień? - zapytała Hester, przysłuchująca się gościowi z zafascynowaniem. Jej świat był taki uporządkowany i spokojny, że opowieści o więzieniu, ukrywaniu się, skradzionych klejnotach brzmiały jak baśń Szeherazady.

- Sam w sobie niewiele - poinformowała Anna. - Pewnie kilka setek. Miał kosztowną indyjską oprawę, ale nie aż tak, żeby skusił się na nią państwa brat.

- Jest pani pewna, że Laurence się w pani nie zakochał? - upewniała się Hester, trochę żałośnie. - Zawsze uważałam, że małżeństwo może mieć na niego zbawienny wpływ.

- Pani brat na pewno nic do mnie nie czuje, choćby nawet udawał, że jest inaczej - upierała się Anna. Chciała dodać, że interesuje go jedynie własna osoba, ale zrezygnowała, obawiając się, że zrobiłaby przykrość gospodarzom.

Luke cały czas coś notował, ale przy ostatnich słowach Anny podniósł głowę.

- Panno de Cardonnel, wyznam, że jestem zaskoczony. Podobnie jak pani nie wierzę, że szmaragd, nawet jeśli Laurence wie o jego istnieniu, czy też niepewne tysiąc funtów od wuja oraz pani własne pięćset funtów tłumaczą nagłe pragnienie brata poślubienia pani.

Anna uniosła brwi.

Luke uśmiechnął się.

- Już wspomniała pani, że nie przysłała tu po komplementy - przypomniał.

Anna także się roześmiała, a Luke patrząc na nią, poczuł, że jakiś mały węzeł tuż pod sercem zaczyna się rozluźniać.



- Laurence włożył trochę pracy i pieniędzy w tę sprawę - ciągnął. - Znalazł odpowiednią osobę do odegrania roli matki. Była pani jego gościem w teatrze i w parku. To jasne, że w nagrodę spodziewa się znacznych finansowych korzyści.

- Być może powinniśmy porozmawiać z sir Robertem Broxheadem? - niepokoila się Hester - Nie podoba mi się to zamieszanie wokół panny de Cardonnel.

- Wuj bardzo popiera ten związek - poinformowała Anna.  
- Nie mam pojęcia, z jakiego powodu. Wygląda na to, że... ale nie, to niemożliwe.

- Nic nie jest niemożliwe, gdy w grę wchodzi Laurence - oświadczył Luke. Pełne wahania słowa otuchy wskazywałyby na to, że dziewczyna myśli o szantażu, a przecież nie mógł tego wykluczyć. Pomyślał przez chwilę. - Kiedy ma się odbyć ślub?

- Jeszcze nie zostałam oficjalnie poproszona o rękę! - odparła Anna z rozdrażnieniem. Redbournowie wybuchnęli śmiechem, po chwili także i Anna do nich dołączyła. - Moja kuzynka, Julia, wychodzi za mąż za dwa tygodnie. Sądzę, że przed tym terminem do niczego nie dojdzie.

- Panno de Cardonnel, czy mogę prosić panią o cierpliwość? - zapytał Luke. - Będę potrzebował nieco czasu, żeby sprawdzić, co knuje Laurence. Raz już podszył się pod moje nazwisko, podpisując nim swoje rachunki, pragnę więc położyć kres jego matactwom dla dobra nas wszystkich. A potem, za pani zgodą, odwiedzę sir Roberta i przedstawię mu wszystkie fakty.

- Ale czy to nie stawia panny de Cardonnel w dwuznaczej sytuacji? - zapytała Hester - Jestem przekonana, że winniśmy bezzwłocznie się udać do sir Roberta.

Anna wyprostowała się.

- Naturalnie, że najpierw musi pan się dowiedzieć, o co chodzi - powiedziała. - Nie dam się zastraszyć komuś takiemu jak Laurence Redbourn!

- Bravo! - zawołał Luke - Jeśli jednak sytuacja zacznie się stawać niebezpieczna, proszę bez skrępowania poinformować sir Roberta o wszystkim, co pani wie na temat Laurence'a, a ja, oczywiście, panią poprę. - Sięgnął do sznurka dzwonka. Pojawił się zakurzony odźwierny.

- Walter, odprowadź pannę de Cardonnel do powozu, proszę.

Po wyjściu gościa Hester powiedziała z lekkim przekąsem:

- Nie mówięś mi, Luke, że jest taka ładna. - W oczach starej panny migotały ciepłe błyski, których nie było tam od czasu zaręczyn brata z Caroline.

Luke wpatrywał się w stojący na stole wazon z różami. Dotknął palcem różowego pąka. Milczał.

Pozostałe do ślubu dni minęły w typowym przedślubnym rozgardiaszu i nikt, a już najmniej lady Broxhead, nie miał zbyt wiele czasu na rozmowy. Dla Anny była to korzystna sytuacja, ponieważ mogła spokojnie pomyśleć. Zdecydowała, że Luke i Hester Redbournowie to mili ludzie. Bez względu na to, kim jest ich brat, tę dwójkę charakteryzowała prostota i szczerść. Może to niezbyt romantyczne postaci i z pewnością nie usatysfakcjonowałyby Julii, ale Anna nauczyła się cenić zwykłą ludzką uczciwość.

Laurence pokazał się tylko raz.

- Nie chcę sprawiać kłopotu swoją obecnością - poinformował lady Broxhead z uśmiechem. - Wiem, że ma pani wystarczająco dużo zajęć.

- Jest pan bardzo wyrozumiały, panie Redbourn. Zapewniam, że zaraz po ślubie przyjmimy pana z radością. Prawda, Anno?

- Jestem przekonana, że pan Redbourn doskonale wie, jakie jest moje stanowisko - odparła. Prawie nie patrzyła na gościa i bardzo szybko wyszła, wymawiając się bólem głowy.

Laurence rzucił jej kłujące spojrzenie. Mała dziwka, pomyślał. Kiedy już się pobiorą, da jej kilka lekcji. Laurence nie przykładał dużej wagi do grzeczności wobec kobiet, a wręcz przekonał się, że lekka i stała dawka fizycznej przemocy pomaga utrzymać je w ryzach.

Anna nie przestawała rozmyślać nad przyszłością. Na dodatek Julia cierpiała na przedślubne rozdrażnienie i przy każdym najmniejszym problemie wybuchała płaczem.

- Wiem, że powinnam się cieszyć ze ślubu z panem Wellesboroughem - łkała. - Tylko tak bardzo bym chciała, żeby był trochę inny. Bardziej, no, przystojny, tak jak twój Redbourn.

Anna z trudem panowała nad emocjami.

- Pan Wellesborough jest bardzo miły i dobry, Julio. Poza tym wyraźnie widać, że za tobą przepada, czego wyrazem, między innymi, są jego hojne ślubne prezenty.

- Wiem. - Julia pochlipywała.

- Lubię go - dodała Anna, podając kuzynce chusteczkę. - Przynajmniej wiadomo, czego się można po nim spodziewać. Daje poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

Julia głośno wytarła nos.

- Jestem głupia - powiedziała. - Wiem, że mam szczęście, naprawdę. Zresztą ja także nawet go lubię.

- No widzisz - rzuciła Anna. Zawsze uważała, że małżeństwa z miłości są niepraktyczne i skazane na rozpad. Julia nie rozumie, że miłosne uniesienia powinny pozostać na stronach gotyckich powieści pani Radcliff, natomiast prawdziwe szczęście leży w poślubieniu statecznego i zrównoważonego Wellesborougha.

Co do niej, to nigdy jeszcze nie była zakochana i nie sądziła, że kiedykolwiek to nastąpi. Anna czuła się dumna z faktu, że podobne naiwne myślenie nie leży po prostu w jej naturze. Z pewnym poczuciem wyższości uważała, że jest to część jej francuskiego dziedzictwa - umiejętność trzeźwego patrzenia na życie. A jednak, choć tego nie pojmowała, gdzieś w podświadomości czaiła się myśl, że gubi jakiś istotny element: coś, co zmusiło ojca do zabrania Marie Bonnieux ze sobą do Londynu, coś, co dało mu siłę do zignorowania cichego potępienia ze strony innych imigrantów i kazało żyć z nią otwarcie, zamiast ją ukrywać.

Wicehrabia nigdy nie rozmawiał z córką na ten temat, prawdopodobnie hamowany poczuciem lojalności wobec matki Anny. Nawet po jego śmierci Marie nigdy nie wspominała o ich związku. Panowała cicha zgoda, że ten temat jest zakazany. Anna bardzo wcześnie się nauczyła, że o miłości się nie rozmawia.

Redbourn, dzięki Bogu, nie pojawiał się i Anna czuła się coraz spokojniejsza. Udało jej się nawet w niedzielę przed ślubem znaleźć nieco czasu na krótka wizytę u madame Bonnieux. Zamiast do kościoła poszła prosto do swojego starego domu przy Phoenix Street.

- Anno, *cherie*. - Marie objęła ją czule. - Obiad jest już gotowy. Wejdz.

Dziewczyna zdjęła płaszcz i kapelusik, starannie zawiesiła na haku za drzwiami kuchennymi i z wdzięcznością opadła na windsorskie krzesło. Z glinianego garnka podgrzewającego się na piecu dochodziły ją smakowite zapachy.

- Nie widziałam cię od tygodni - z naganą zagała Marie.

- Wiem. Chciałam przyjść, ale jakoś cały czas miałam tyle zajęć, a i ciotka Susan utrudniała mi przyjście tutaj, jak tylko

mogła. Ona to potrafi. - Anna rozejrzała się. Na parapecie dostrzegła nową doniczkę z bazylią, reszta pozostała nie zmieniła. - Wielki Boże! Ależ ten pies urósł!

Hercules kręcił się koło stołu, z radości szaleńczo wymachując ogonem. W końcu uspokoił się na tyle, że dysząc ciężko, przysiadł u stóp Anny. Podrapała go za uchem.

Miała tyle do nadrobienia. Z uczuciem ulgi rozpoczęła opowieść o niejakim panu Redbournie, wdzięczna za zainteresowanie Marie. Jednak z jakiegoś powodu, którego sama nie rozumiała, nie potrafiła otwarcie opowiedzieć o Luke'u. Zdawała sobie sprawę, że przedstawia go tak, jakby był co najmniej dwadzieścia lat starszy. Nie miała jednak czasu na zastanowienie się nad tym.

- Nie podoba mi się to, Anno - podsumowała jej sprawozdanie Marie. - Brzmi to bardzo podejrzanie i wołałabym, żebyś się w to nie mieszała. Sądzę, że powinnaś powiedzieć wszystko sir Robertowi.

- Co mam mu powiedzieć? - zaperzyła się dziewczyna. - Lepiej, żeby się nie wydało, iż byłam u tamtych Redbournów. Doskonale wiem, że takie zachowanie nie przystoi damie.

- Sir Robert sam powinien był ich odwiedzić - odparowała Marie. - Nie wypełnił jak należało obowiązków opiekuna.

- Może robię z igły widły. - Anna zawahała się. To pewne, że jej historia bardziej pasowałaby do romantycznych powieści, którymi tak się zaczytywała Julia. Tutaj, w kuchni cioci Marie, z bielonymi ścianami i miedzianymi garnkami zwisającymi z kołków na ścianie, cała ta historia wydała jej się nierealna. - Pan Redbourn nie poprosił jeszcze o moją rękę. Może nigdy tego nie uczyni? Bóg mi świadkiem, że go do niczego nie zachęcałam. A jeśli się oświadczy, odmówię, i to będzie koniec

farsy. Może dojść do niemiłych scen, ale nie wyobrażam sobie, żeby trwały w nieskończoność.

Marie westchnęła.

- Przykro mi, że plan twojego ojca nie powiódł się jak należy. Tak bardzo pragnął, byś odzyskała przynależne ci miejsce w towarzystwie, a szczerze wierzył, że czyniąc sir Roberta twoim opiekunem, właśnie to osiągnie.

- Nie sądzę, żeby papa dobrze mnie rozumiał - smutno stwierdziła Anna. - Towarzystwo, którego tak dla mnie pragnął, to ludzie, którzy go otaczali przez większość życia. Ale ja miałam tylko siedem lat, kiedy ten świat zniknął. Tak naprawdę nigdy do niego nie należałam.

- Tamte stare czasy też nie były takie dobre - dodała Marie. - Miałam szczęście, że twój ojciec zabrał mnie ze sobą. Inne kobiety skończyły w ryszotoku. - Markiz de Sade, właściciel sąsiedniego chateau Lacoste, regularnie domagał się usług okolicznych dziewcząt, które miały szczęście, jeśli wracały do domu tylko z kilkoma siniakami.

- Jeśli gdziekolwiek jest moje miejsce, to właśnie tutaj - oświadczyła Anna. - Pragnę być pożyteczna, a nie służyć za ozdobę domu bogatego mężczyzny. - Nagle pomyślała o życiu panny Redbourn w domu przy Ludgate Street. Czy jest tam tylko ozdobą?

Uroczystości ślubne przeszły bez większych wstrząsów, wszystko potoczyło się tak, jak było zaplanowane. Julia otarła łzy i przemieniła się w młodą narzeczoną, piękną, ale z wymaganą dozą panińskiej kokieterii. Anna, jako jedyna drużka, z gracją wykonała swoje zadanie. Nigdy wcześniej nie brała udziału w angielskim ślubie i ze zdumieniem oraz zmieszaniem

przekonała się, że ceremonia jest bardzo wzruszająca. Na Boga, czyżby zmieniała się w taką romantyczkę jak Julia? Sama myśl o tym, że stanęłaby przed ołtarzem z Laurence'em, wzbudzała w niej dreszcze. O imionach innych kandydatów, które błąkały się gdzieś w głębi umysłu, nie chciała nawet myśleć.

Po skończonym ślubnym śniadaniu Anna poszła z Julią na górę do jej sypialni, pomóc kuzynce przebrać się w podróżny kostium, po czym w ustalonym czasie szczęśliwa młoda para wyruszyła na miodowy miesiąc nad morze.

Już następnego dnia pojawił się Laurence z prośbą o widzenie z sir Robertem. W trakcie wizyty oficjalnie poprosił o rękę Anny. Wezwano ją na dół do biblioteki.

Schodząc po schodach i stukając do drzwi, czuła się samotna jak nigdy dotąd. Mieszkała w domu opiekuna, całą odzież, jaką posiadała, zawdzięczała jego hojności, a poza ciotką Marie nie miała żywej duszy, która by do niej należała albo o nią dbała.

Weszła do biblioteki ze zwyczajną sobie spokojną godnością, z nadzieją, że nikt nie zauważy jej roztrzęsionych kolan. Lady Broxhead siedziała przy oknie; dłonie pobożnie złożyła na podółku. Sir Robert i pan Redbourn wstali.

- Och, moja droga Anno. - Sir Robert zbliżył się do siostrzenicy i wziął ją za rękę. - Pan Redbourn uczynił ci honor i poprosił o twoją rękę.

- Och?

Laurence zrobił krok do przodu.

- Panno de Cardonnel - zaczął gładko. - Pani wuj - proszę go o wybaczenie, ponieważ ośmielę się mu sprzeciwić - pomylił się. To mnie spotka zaszczyt, wielki zaszczyt, jeśli zgodzi się pani zostać moją żoną.

- Pięknie powiedziane, doprawdy - rzucił sir Robert. - Sądzę, że mogę odpowiedzieć w imieniu siostrzenicy.

- Wolałabym mówić sama za siebie, wuju - przerwała mu Anna. Odwróciła się do Laurence'a. - Dziękuję panu, panie Redbourn, za pańską cenną propozycję, ale zmuszona jestem odmówić. Nie wierzę, by to małżeństwo przyniosło szczęście któremukolwiek z nas. - Ukłoniła się przy ostatnim słowie i odwróciła z zamiarem odejścia.

- Anno! - Lady Broxhead pobladła ze złości; wstała. - Chwileczkę, proszę! Sir Robert jest twoim opiekunem. Nie wolno ci się sprzeciwiać jego decyzjom. - Odwróciła się do Laurence'a. - Panie Redbourn, muszę przeprosić pana w imieniu mojej siostrzenicy. Całkiem postradała zmysły.

Laurence uśmiechnął się zimno.

- Być może panna de Cardonnel żywi co do mnie jakieś szczególne obiekcje? - zaczął jedwabistym głosem. - Pragnąłbym się dowiedzieć, co to może być, bym mógł usunąć przeszkodę.

- Ech! Jakie tam obiekcje? - wtrącił się sir Robert. - To tylko zawstyżenie.

- Twój ojciec, Anno, z pewnością by pragnął, żebyś była nam posłuszna - ostrzegła lady Broxhead.

Dziewczyna wyprostowała się. Nie pójdzie tak prosto, jak sądziła.

- Wątpię, by ojciec chciał, żebym wychodziła za oszusta!

- Jak śmiesz?! - krzyknęła lady Broxhead, a na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy. - Natychmiast przeproś pana Redbourn.

- Skąd te podejrzenia, panno de Cardonnel? - zapytał Redbourn. Nadal zachowywał swobodną postawę, ale na jego szyi pojawiła się naprężona żyła. - Z pewnością ma pani jakiś dowód potwierdzający to szokujące oskarżenie?

Anna wbiła paznokcie w roztrzęsione dłonie.



- Spotkałam pańskiego brata, pana Luke'a Redbourn - wyznała.

Laurence wahał się trochę zbyt długo.

- Nie mam brata - stwierdził. - Jestem jedynakiem.

- Och - rzuciła uprzejmie Anna - to dziwne, ponieważ odwiedziłam pańskiego brata i siostrę, zamieszkujących pod adresem widniejącym na pańskiej karcie. - Odwróciła się do sir Roberta. - Wuju, ojciec, ustanawiając cię moim opiekunem, czynił to z wiarą, że będziesz dbał o moje dobro. Gdyby był tu teraz z nami, chciałby wiedzieć, dlaczego sam nie odwiedziłeś tego pana w jego domu?

Sir Robert padł ciężko na najbliższe krzesło. Laurence podszedł do Anny, złapał ją za podbródek i gwałtownie go podniósł, tak żeby musiała na niego spojrzeć.

- Za bardzo się wtrącasz - wysyczał słodkim głosem, a Anna poczuła dreszcze na karku. - Jednak jeśli nie chcesz zrujnować wuja, wyjdiesz za mnie, zrozumiałaś?

- Zrujnować? - wyszeptwała.

- Pamiętasz, co powiedziałem: nie rzucam gróźb na wiatr.

- Ale dlaczego chce się pan ze mną ożenić? - zapytała z desperacją w głosie Anna.

- Miłość, moja droga. Cóż innego? - Podniósł głowę i zaśmiał się; skamieniałe postaci sir Roberta i lady Broxhead wyglądały w tej chwili nieomal komicznie. - Wrócę - zapowiedział - tak więc nie mówię żegnaj, tylko *au revoir*.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Anna odwróciła się do skurczonego na krześle wuja. Miał poszarzałą twarzą i przekrzywioną perukę.

- Jak on może cię zrujnować, wuju? - zapytała ostro.

Sir Robert jęknął.

- Jestem mu winien dziesięć tysięcy funtów, Anno. I wątpię,

żebym kiedykolwiek był w stanie zwrócić mu te pieniądze. Przyrzekł, że jeśli za niego wyjdiesz, anuluję dług.

Lady Broxhead opadła na krzesło.

- Przysięgałeś! - krzyknęła dziko. - Zarzekałeś się, że z tym już koniec! Nigdy więcej hazardu!

- Cicho bądź, kobieto! - zgromił ją sir Robert, nagle rozwścieczony ponad swoją wytrzymałość. - Ten dom z tymi twoimi akcjami charytatywnymi i pomocą dla biednych przypomina grób. Nie było tu nigdy nawet cienia zabawy przez tę twoją metodystyczną religię.

- Sądzisz, że zgodzę się na twoje odrażające zabawy tutaj?

- Jestem panem tego domu, czy nie? - warknął sir Robert.

- Panem! - Głos lady Broxhead przeszedł w pisk. - Jesteś egoistycznym, głupim osłem, tym jesteś, ty...

Anna, wstrząśnięta, cicho opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi.

Hele n siedziała w wynajętym pokoju przy Henrietta Street, w pobliżu Covent Garden i patrzyła na leżący przed nią mały stos monet. Pięć funtów, dwa szylingi i dziesięć pensów; wszystko, co posiadała. Odkąd Laurence znowu pojawił się w jej życiu, nie mogła nic zaoszczędzić. Choć przyrzekł, że zwróci jej koszta, jakoś pieniądze się nie pojawiały, a jeśli nawet, to nigdy nie pokrywały wydatków. Zapłaciła czynsz, bo tego nigdy nie pozwoliła sobie zaniedbać, ale pozostał pożegnalny prezent dla Fanny, która się przenosiła do miłego domku w Chelsea, podarku od kochanka - szczęściara - i jeszcze powinna była sprawić sobie nowe buty. Stare były już bardzo zużyte.

Rozejrzała się po pokoju i westchnęła. Nie jest taki najgorszy, pomyślała, mały, z plamą grzyba w jednym rogu i oknami

dzwoniącymi przy każdym powiewie wiatru, ale i tak lepszy od innych, w których mieszkała. Właścicielka nie żałowała węgla w zimie i materace były dość wygodne. Zrobiła, co mogła, żeby nadać pokojowi bardziej domową atmosferę, wieszając na ścianach kilka reprodukcji i zarzucając stary szal na drewnianą skrzynkę, służącą za nocny stolik.

Niemniej zbliżała się już do czterdziestki, no dobrze, przekroczyła czterdziestkę, i nie miała gdzie stąd pójść. Przekręciła lekko krzesło, żeby popatrzeć na siebie w upstrzonym plamami starości lustrze, wiszącym na ścianie obok okna. Jeszcze nie było z nią tak źle. Miała dobrą figurę, a włosy nadal nie straciły barwy ciemnego orzecha. Ale nie młodziła i ile by sobie nie odejmowała, pan Kemble i tak doskonale wiedział, w jakim jest wieku. Wielki przełom nigdy nie nadszedł i musiała się pogodzić z faktem, że już nigdy nie nadejdzie.

Nagle z dołu doszły ją czyjeś głosy. O Boże, nie! To pewnie Laurence. Szybko zebrała pieniądze ze stolika i wyspała do jednego z kapci, które pospiesznie wepchnęła pod łóżko. Raz już widziała, jak Laurence wziął portmonetkę należącą do jednej z jej koleżanek, z którą dzieliła przebieralnię, i przesypał zawartość do swojej kieszeni. Zrobił to tak zwinnie, że Helen początkowo sądziła, iż jej się przywidziało. Dopiero później, kiedy koleżanka podniosła alarm, przekonała się, że jednak miała rację. Redbourn był złodziejem. Wołała teraz nie ryzykować.

Usłyszała pukanie, a za chwilę w pokoju pojawił się Laurence. Na jego twarzy malowała się taka wściekłość, aż Helen złapała się za gardło. Walnął za sobą drzwiami.

- Ty głupia mała dziwko!

- Dlaczego? Co się stało, Laurence? - zawołała cienkim głosem.

- Dlaczego? Nie mówiłem ci, żebyś zatrzymała karty?  
- Karty?  
- Karty wizytowe. Nie mówiłem, żebyś nie pozwoliła odzwrotnemu ich zabrać.

- Nie - zaprzeczyła Helen. - Nic mi nie mówiłeś o wizytówkach. - Była przekonana, że dał jej wizytówki, ale nic specjalnego na ich temat nie mówił. O co mu teraz chodzi? - Co... co miałam zrobić?

- Zrobić? Wystarczyło podać nasze nazwisko.

- Ależ, Laurence, to by nie przeszło. Damy nigdy tego nie robia. - Helen nadal nie rozumiała, w czym rzecz. - Co się stało?

- Ta przekłeta dziwka de Cardonnel wzięła kartę i spotkała się z moim bratem. Boże! - Redbourn zaczął krążyć po pokoju. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że okaże się taka sprytna.

Helen wreszcie wszystko zrozumiała. Jeśli panna de Cardonnel odwiedziła brata Laurence'a, to znaczy, że gra jest skończona. Cokolwiek się teraz wydarzy, do małżeństwa nie dojdzie. Niespodziewanie oblała ją fala radości. Nie podobało jej się oszukiwanie niewinnej dziewczyny, ale teraz już po wszystkim. Zamknęła oczy, napawając się chwilową ulgą.

Laurence wpatrywał się w nią dzikim spojrzeniem.

- Na Boga! - wrzasnął. - Zrobiłaś to specjalnie. Może myślałaś, że uda ci się poderwać tego sir Roberta, o tak, obserwowałem cię.

- Nie! Nie!

- Zdradziłaś mnie, ty zdiro, i zapłacisz mi za to. - Jego pięść bez ostrzeżenia zwała Helen z nóg. Upadła ciężko na podłogę. Starła się ochraniać twarz, ale Laurence kopał silnie, gdzie popadło. Krzyki zaalarmowały właścicielkę pensjonatu, która sapiąc wbiegła do pokoju.

- Panno Clarkson! Czy wszystko w porządku?  
- Przez twoją głupotę ta dziewczyna mi odmówiła. - Laurence ostatni raz wymierzył kopniaka w nieruchome ciało Helen. - Będę musiał wymyślić coś innego. - Pochylił się i przekręcił w swoją stronę zmasakrowaną twarz. - Ciszka, słyszysz? Jeśli nie chcesz dostać gorzej. Przepchnął się obok właścicielki, która właśnie dotarła do pokoju, i wyszedł.

Pół godziny później Helen była już opatrzona. Na stole stała miska pełna czerwonej wody. Helen spojrzała do lustra na pokiereszowaną twarz i na czerwoną pręgę, idącą od oka do podbródka. Miała rozcięte usta, z rany na policzku ciekła strużka krwi. Oprócz tego złamane trzy żebra, a lewą stronę ciała całą w siniakach. No tak, pomyślała. W tym stanie nie może pracować. Minie trzy, cztery tygodnie, zanim żebra się zrosną, a zresztą wtedy też jeszcze nie będzie mogła wrócić do baletu, nawet jeśli pan Kemble zatrzyma dla niej miejsce. Pieniądzy starczy jej tylko na zapłacenie czynszu za następny miesiąc, a potem co?

Och, gdybyż nie wyjawiała Laurence'owi swoich wstydliwych tajemnic z przeszłości. Gdyby tylko został w Ameryce. Gdyby nigdy nie usłyszał o pieniądzach panny de Cardonnel i nie zmusił jej, Helen, by została jego współniczką. W sumie lepiej by się stało, gdyby jej tajemnice wyszły na jaw, niż żeby wydarzyło się to wszystko.

Stopniowo Helen zaczynała sobie uświadamiać, jak jest zła. Laurence nie powiedział jej słowa na temat kart wizytowych, tego była pewna. Wściekł się, bo jego plany runęły, i przyszedł do niej, żeby się wyładować. Dlaczego w ogóle pozwoliła mu się szantażować? Mogła po prostu zignorować jego pogroźki. Wtedy on pewnie nic nikomu by nie po-

wiedział, sądząc, że jej na tym nie zależy. Strach nie jest dobrym doradcą. Zdała sobie sprawę, że w obecnej chwili pragnie tylko jednego: wsadzić pręt w szprychy kół Laurence'a. Czy to możliwe? Czy istnieje sposób, w który mogłaby go powstrzymać?

## 5

W chwili, gdy Anna zamknęła za sobą drzwi biblioteki i uciekła po schodach do swojego pokoju, zrozumiała, że nie może zostać dłużej na Brook Street. Lady Broxhead nigdy nie wybaczy siostrzenicy, że ta oglądała scenę jej poniżenia, a sir Robert będzie na nią patrzył, jak na przyczynę swojej ruiny. Gdyby została, to tak jakby się zgodziła przyjąć propozycję Laurence'a Redbourn'a. Nagle poczuła, że olbrzymi ciężar spadł jej z serca. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej doskwierał, aż do tej chwili, w której postanowiła, że musi odejść.

Usiadła na łóżku i spróbowała się uspokoić, bo cała drżała. Och, papo! - załkała w duchu. Dlaczego cię tu nie ma? To było straszne, straszne! Z wzdrygnięciem przypomniała sobie słowa spływające z ust Laurence'a. Kryło się za nimi zimne okrucieństwo, które ją przerażało. Nie można oczekiwać litości od tego człowieka. Redbourn idzie po trupach. Jedyne pocieszenie, choć niewielkie, to fakt, że ciotka i wuj wreszcie się przekonali, kim naprawdę jest kandydat na jej męża.

Pierwszy impuls kazał jej uciekać natychmiast, ale zdusiła go. Jeśli to w ogóle możliwe, należałoby w sposób cywilizowany

pożegnać się z wujostwem. Powinna podziękować sir Robertowi za jego uprzejmość i przynajmniej spróbować obłaskawić ciotkę.

Otarła łzy i stanowczo wydmuchała nos. W rogu pokoju stało biurko, przy którym teraz zasiadła i napisała dwa liściki. Jeden do Marie Bonnieux, a w nim po prostu, że przy Brook Street sprawy stanęły na głowie i że następnego dnia wraca do domu. Drugi do Luke'a i Hester Redbournów. Opisała całe zajście, po chwili wahania dodając informację, że Laurence szantażował wuja. Wyjaśniła, że w takim układzie jest zmuszona przenieść się do Somers Town, do ciotki Marie. Wyraziła nadzieję, że w tak skromnych warunkach przestanie wreszcie stanowić obiekt zainteresowania ich brata. List brzmiał dość optymistycznie, ale Annę nadal trapiły obawy. Przypuszczała, że teraz już Laurence pozostawi ją w spokoju, jednak gdyby stało się inaczej, to czy będzie bezpieczna z ciotką Marie, w otoczeniu francuskich przyjaciół? Ale tu, na Brook Street, tym bardziej nie mogła nikomu zaufać. Czy Laurence zdążył już zainstalować w domu swoich szpiegów? Sir Robert nigdy nie zaglądał na Phoenix Street, ale przecież zna adres. Czy wyjawi go Redbournowi, a tym samym zagrozi bezpieczeństwu ciotki Marie?

Otworzyła drzwi i stanęła na szczycie schodów. Z pokoju lady Broxhead doszły ją zdławione łkania, a zaraz po nich uspokajający głos Marthy. Anna, cichutko stąpając, zeszła na dół. Drzwi do biblioteki stały otworem, ale w pokoju panowała cisza.

- Czy szuka pani sir Roberta, panienko Anno? - To był Charles.

- Tak. Nie. Czy wyszedł? - zapytała.

- Tak, panienko. Do swojego klubu. - Charles słyszał



kłótnię, jak zresztą cała służba. - Kazał mi mówić, że nikogo nie ma w domu.

To dobrze, pomyślała Anna, zwłaszcza że lady Broxhead jeszcze nie przeszedł atak hysterii.

- Czy mógłbyś zawieźć ten list, Charles, jak tylko zapiszę ci adres? - Przeszła do biblioteki. Dopisała w liściku do Redbournów prośbę o przesłanie listu do Marie pod jej adres przy Phoenix Street. Złożyła oba listy, zakleiła w jednej kopercie i napisała na niej adres przy Ludgate Street. Oddała kopertę służącemu i poczekała, aż wyjdzie z domu.

No, pomyślała, teraz jestem bezpieczna.

Później Charles, lubiący ploteczki, szepnął słówko o liście Anny pomywaczce, zuchwałej brunetce, która wpadła mu w oko. Ta znowu opowiedziała o liściku młodzieńcowi zajmującemu się od niedawna dostawą warzyw na Brook Street. Bardzo go zawsze interesowało, co się dzieje w domu. Pomywaczka nigdy nie słyszała o szpiegach. No i jak się można było spodziewać, wkrótce i Laurence poznał najświeższe wieści.

Anna zjadła kolację w samotności. Nakazała przynieść ze strychu swoją walizkę, po czym resztę tego okropnie nieszczęsnego wieczoru spędziła na pakowaniu. Dzięki Bogu, że Julia jest już mężatką, myślała. Wellesborougowie uciekaliby od skandalu, przez co mogłoby dojść do odroczenia ślubu. Na szczęście Julia odziedziczyła pieniądze po swojej ciotce, po której też dostała imię, tak więc jej posag nie zależał od finansowych zasobów sir Roberta. Anna postanowiła napisać do kuzynki, kiedy już znajdzie się u ciotki Marie - i raczej pewne, że Julia będzie wściekła, dowiedziawszy się, iż ominęły ją tak fascynujące wydarzenia! Anna przez krótką chwilę uśmiechała się, ale zaraz wróciła do pakowania.

Następnego poranka, po bezsennej, koszarnej nocy, przełamła się i poszła zapukać do drzwi ciotki.

Otworzyła je Martha.

- Słucham, panienko? - Nie było to zachęcające przywitanie.
- Pragnę porozmawiać z lady Broxhead.

Martha zeszywniała.

- Zapytam panią. - Zamknęła drzwi.

Anna westchnęła. To oczywiste, że lady Broxhead zdążyła już wyreżyserować wersję wypadków i że Annie dostała się rola niewdzięcznej siostrzenicy.

Drzwi znowu się otworzyły. Służąca machnęła głową w stronę Anny.

- Pani prosi.

Lady Broxhead siedziała w łóżku, z szalem na plecach, Biblią na pościeli i buteleczką z solami trzeźwiącymi przy łokciu. Wymowa akcesoriów była oczywista; ciotka była uzbrojona zarówno duchowo, jak i medycznie. Annę czekała ciężka przeprawa.

- To wszystko, Martho.

Pokojówka, obrzuciwszy Annę gniewnym spojrzeniem, opuściła sypialnię.

- Muszę się pożegnać, ciociu Susan - zaczęła dziewczyna.
- Ale nie mogłam odejść, nie dziękując za twoją gościnność.

- I gdzie tu wdzięczność? - sarknęła lady Broxhead. - Gdybyś tu nie zamieszkała, sir Robert nigdy by nie poznał tego Redbourn.

Anna zamrugała.

- Jesteś nam to dłużna i powinnaś za niego wyjść. - Na policzkach lady Broxhead zakwitły dwa szkarłatne koła wściekłości.

- Przepraszam - cicho szepnęła Anna. - Nie mogę wyjść za pana Redbourn, ale nie chciałam odejść bez...

Lady Broxhead wyprostowała się; jej nocny czepek zsunął się na jeden bok.

- Słowa! Słowa! - zawołała. - Jaki pożytek z tych prze-prosin, skoro sir Robert znajdzie się w więzieniu King's Bench, jeśli postawisz na swoim?! - Mówiła coraz głośniej.

- Lepiej już pójdę - stwierdziła Anna. - Do widzenia, ciociu Susan.

- Krwiopijczyni! - skrzeknęła lady Broxhead. - Cierń, posłanniczka szatana!

Anna wyszła. Martha stała zaraz za drzwiami, z założonymi ramionami, z wyrazem krańcowej dezaprobaty na twarzy.

- Pani zaczyna cytować Biblię - mruknęła Anna. - Lepiej do niej idź.

Nie miała po co dłużej tu zostawać. Sir Robert wyszedł poprzedniego wieczoru do klubu i do tej pory nie wrócił. Będzie musiała do niego napisać. Po raz ostatni poszła do swojego pokoju po kapelusz, rękawiczki i płaszcz. Portmonetka leżała w kieszeni płaszcza. Rozejrzała się po pokoju. Tutaj miała wykwinny dywan, dopasowane do niego krzesła, łóżko z baldachimem i marmurową umywalkę. Ale to nie jest i nigdy nie był jej dom. Dzisiaj, dzięki Bogu, wróci do cioci Marie.

Zeszła na dół i ustaliła z Charlesem, że jeszcze tego samego popołudnia odeśle jej bagaże na Phoenix Street. Służący wyszedł wezwać dorożkę. Anna czekała w holu. Dom był cichy. Służba, która wkrótce także stąd odejdzie, trzymała się swoich rewirów i już teraz dom sprawiał wrażenie zaniedbanego. Lekko zwiędnięte kwiaty na stoliku, zakurzona waza z Sevres.

Wrócił Charles.

- Dorożka czeka, panienko Anno.

Anna podziękowała mu, obdarowała półkoronówką (tylko

na tyle było ją stać), poprawiła przed lustrem kapelusik i opuściła dom.

- Phoenix Street, Somers Town - powiedziała do woźnicy.

Ten dotknął rąbka czapki i machnął batem. Dziewczyna zapadła się w poduszki siedzenia i zamknęła oczy. Była przygnębiona. Co się stanie z wujem? Czy naprawdę mogą go uwięzić za długi? Co innego mogłaby zrobić? To nie jej wina, że wuj jest hazardzistą, mimo to dręczyły ją niejasne wyrzuty sumienia. Potrzebuje ciotki Marie, która pomoże jej wrócić do rzeczywistości.

Dopiero gdy dorożka minęła róg i stanęła w miejscu, Anna zdała sobie sprawę, że nie jest w Somers Town. Zdziwiona, wyjrzała przez zabrudzone okienko. Znajdowali się na wąskiej, brudnej uliczce, przez której środek płynął otwarty cuchnący rynsztok. Stojące przy niej domy były w stanie rozsypki, miały powybijane okna i spękane mury. Nad ulicą zwieszały się sznurki z suszącym się praniem.

Gdzie ona jest?

Otwarto drzwi.

- Witam! - rozległ się zniechęcony znajomy głos. - Nasz czarujący gość.

Anna otworzyła usta do krzyku. Natychmiast zamknęła się na nich ręka w rękawiczce, a uderzenie w tył głowy odebrało dziewczynie świadomość. Jako ostatnie zapamiętała tryumfująco zimne, niebieskie oczy Laurence'a, patrzące na nią z kpina.

Więć o nieszczęściu Helen dotarła do teatru. Dostała kilka liścików, jakieś kwiaty i dziesięć szylingów od pana Kemble'a. Przesyłał wyrazy współczucia, ale o jej przyszłości w teatrze

nie wspomniał słowem. Dobrze, że przynajmniej dał jej pieniądze i nie odrzucił wprost możliwości jej powrotu. Przyszła też Peggy.

- Ojej, wyglądasz jak tęcza! - zawołała od wejścia.

Helen próbowała się uśmiechnąć.

- Mogło być gorzej. Mogłam stracić kilka zębów.

- I trzy złamane żebra - ponuro zauważyła Peggy. - Kto wie, czy będziesz w stanie jeszcze kiedyś tańczyć.

- Jeśli nie, zapytam pana Kemble'a, czy nie znalazłoby się dla mnie miejsce w szwalni. - Helen próbowała zachować optymizm.

- Hm - mruknęła Peggy. - Nie szyjesz najlepiej, sama o tym wiesz.

- Przestań. - Oczy Helen wypełniły łzy.

- Przepraszam, kochanie. Mówię rzeczy, których nie myślę. Jestem pewna, że pan Kemble coś ci znajdzie. Och, ten Redbourn. Należy mu się stryczek i im szybciej, tym lepiej.

- Nie wiem, co jeszcze zrobi.

- Nie sądzę, żeby chciał znowu się tu pokazać - powątpiewała Peggy. - Po pierwsze, właścicielka by go nie wpuściła.

- Myślałam o panience de Cardonnel. Wspominał coś o innych sposobach.

- Co możesz zrobić? - zastanowiła się głośno Peggy. - Nic.

- Mogłabym napisać do jego brata - zasugerowała Helen.

- Co? I przyznasz się, że udawałaś jego matkę? - obruszyła się przyjaciółka. - Pomyśl rozsądnie, Helen. Chcesz skończyć w więzieniu?

- Szczerze mówiąc, Peggy, nic mnie to nie obchodzi. I tak nie stać mnie na to, żeby tu mieszkać.

- Tylko nie proś, żebym cię odwiedzała w więzieniu - burknęła Peggy, - Sądziłam, że masz więcej rozumu.

Zaraz po otrzymaniu listu od Anny Luke posłał Waltera z wiadomością do madame Bonnieux.

- Masz mi potem przekazać pełny raport - nakazał. - Sklep, okolica, wszystko, co uznasz za interesujące. Przeczuję kłopoty.

- Nie wygląda to za dobrze - przyznał Walter. - Panicz Laurence nie przebiera w środkach, kiedy ktoś mu się sprzeciwia.

- Panna de Cardonnel ma talent do popadania w tarapaty.

- Trudno ją za to winić - odrzekł służący. - Ostatni raz, gdy widział Annę, obdarowała go szylingiem, chociaż nie wyglądało na to, żeby sama narzekała na nadmiar gotówki. Pięknie mu też podziękowała i choć wtedy tylko coś odburknął, to przecież nie był nieczuły na niewieści urok. Ani też jego pan, jak się domyślał, widząc zaniepokojenie Luke'a Redbourn'a, choć starał się je ukryć pod maską poirytowania.

- Muszę przypilnować interesów - rzucił Luke i odszedł na górę pokazać list siostrze.

- Teraz już koniecznie trzeba się udać do sir Roberta - osądziła Hester.

- Wiem. Zrobię to jutro.

- Co to za człowiek, który popycha własną siostrzenicę do takiego małżeństwa tylko po to, żeby ochronić własną skórę? - Hester, zazwyczaj opanowana, teraz tak kipiała ze złości, że Luke przyglądał się jej ze zdziwieniem. Jej przyjaciółka, panna Minerva Leatherbarrow, czytała kiedyś na głos urywki z *Obrony Praw Kobiet* Mary Wollstonecraft i choć Hester zaskoczyły i zaalarmowały konkluzje panny Wollstonecraft, niemniej jej umysł na tyle się otworzył na te sprawy, że rozumiała niesprawiedliwość sytuacji, w jakiej znalazła się Anna.

Następny dzień Luke spędził na poszukiwaniu sir Roberta. Zjawił się przy Brook Street pół godziny po tym, jak Anna

wsiadła do dorożki, ale powiedziano mu, że sir Robert wyszedł, a lady Broxhead nie przyjmuje. Mała sumka pomogła mu się dowiedzieć, że pana domu najszybciej odnajdzie w klubie White'a. Luke zatrzymał dorożkę i pojechał na St James tylko po to, by usłyszeć od portiera, że sir Robert udał się właśnie do kawiarni przy St James. Dołożył kolejną sumkę i portier ochotczo podał mu dokładny adres kawiarni.

Luke zaczynał się już irytować. Żeby odnaleźć sir Roberta, musiał odwołać ważne spotkanie. Nigdy nie darzył szczególnym szacunkiem dżentelmenów, którzy zamiast zająć się uczciwą pracą, marnują życie na poszukiwanie podejrzanych rozrywek.

W końcu dopadł go we wskazanej kawiarni. Siedział w rogu sali na piętrze, przy nim na podłodze stała na pół opróżniona butelka brandy.

Jest pijany, z niesmakiem pomyślał Luke. Wątpił, czy w takim stanie sir Robert jest zdolny do jakiegokolwiek rozmowy.

Ale nie docenił możliwości wuja Anny. Okazało się, że ma mocną głowę. Wprawdzie lekko przekręcał słowa i trochę potrwało, zanim odszyfrował wizytówkę Luke'a, niemniej wiedział, z kim ma do czynienia.

- Jeśli przyszedł pan po pieniądze, to ich nie mam - oświadczył.

Luke przyciągnął krzesło, usiadł i zdjął kapelusz. Stwierdził, że podłodze, zasypanej śmieciami, przydałaby się szczotka. Rozejrzał się, po czym położył kapelusz na kolanie.

- Nie przyszedłem po pieniądze. - Dziesięć tysięcy funtów, jak napisała panna de Cardonnel. Czy ten człowiek jest szalony, żeby grać o takie sumy?

- Naprawdę? - Sir Robert uważniej popatrzył na gościa. - Nie jest pan podobny do tego pańskiego przekłętego brata.

- Nie - zgodził się Luke

- Dziewczyna i tak za niego nie wyjdzie, tak powiedziała, a ja jestem zrujnowany.

- To nie jest odpowiedni mąż dla niej - zauważył Luke

- Dlaczego nie? - zapytał zaczepnie sir Robert. - Przystojny. I twierdzi, że dobrze zarabia.

- To nieprawda - zaprzeczył Luke. - Żyje z oszustw. Nie ma grosza przy duszy.

- Tak? Ale mówił... - Sir Robert spróbował potrząsnąć głową, żeby się pozbyć alkoholowego zamroczenia. Wolałby, żeby namolny młody człowiek poszedł sobie i zostawił go w spokoju.

Luke ruchem dłoni wezwał kelnera.

- Kawę proszę. Mocną.

- Natychmiast, sir.

- Anna to dobra dziewczyna, naprawdę - stwierdził sir Robert. - Lubię ją. Nie pozwoli staremu wujowi zgnić w więzieniu.

A więc ma na imię Anna, pomyślał Luke. Proste i wytworne imię. Pasuje do niej. Tak, podoba mu się. Ta dziewczyna jest odważna. Nie każda zdobyłaby się na odrzucenie Laurence'a.

- Trudno oczekiwać, że panna de Cardonnel zgodzi się wyjść za szubrawca, żeby naprawić pańskie błędy. - Luke nie przebierał w słowach.

- Dlaczego nie? - Sir Robert wyprostował się. - Czy nie dawałem jej ojcu stu funtów rocznie? Czy jej nie wykształciłem i nie przyjąłem do siebie po śmierci ojca? - Odwrócił się gwałtownie do rozmówcy. - Mówi pan tak jak moja żona. Ona też zawsze moralizuje na każdy temat. Mówię panu, to mnie doprowadza do szaleństwa. Ciągłe udziela się w tych akcjach charytatywnych. Dom jest jak grób. Nie pozwala mi grać w wista z przyjaciółmi. Co mam robić?



Nadszedł kelner z kawą na tacy. Spojrzał na sir Roberta i natychmiast się zorientował, że nie jest w stanie sam się obsłużyć. Postawił tacę na małym stoliku obok Luke'a. Ten rozlał kawę do filiżanek i podał jedną sir Robertowi, który wpatrywał się w towarzysza spođe łba.

- Jest pan żonaty?

- Nie.

- W takim razie nic pan nie wie. Proszę posłuchać mojej rady. Niech się pan nie żeni z pruderyjną panną, nawet jeśli będzie miała duży posąg.

- Nie zamierzam się żenić - sztywno odpowiedział Luke

- A, o to chodzi, co? - Sir Robert zrobił się weselszy. - Odrząciła pana, co?

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o mnie. - Luke chciał uzyskać jakieś informacje na temat miejsca zamieszkania Laurence'a albo chociaż dowiedzieć się czegoś o jego „matce”, ale to było niemożliwe. Sir Robert był w stanie pokazać mu jedynie jego własną wizytówkę i robić jakieś bezsensowne uwagi.

- Ale to piękna kobieta - dodał - ta pani Redbourn. Lubisz blondynki?

Luke poddał się. Do domu wrócił w nie najlepszym nastroju.

- Cały dzień stracony - powiedział do Hester. - A ten przekłety jegomość, kiedy go już odnalazłem, i tak nie nadawał się do rozmowy.

- Mogłeś się spotkać z lady Broxhead - zasugerowała Hester Potrząsała głową.

- Owa dama nikogo nie przyjmuje. - W dodatku, dopóki nie wyjął z kieszeni pieniędzy, lokaj traktował go ogromnie arogancko. Luke nie znosił, kiedy tak się z nim obchodzono.

- Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy - stwierdziła siostra. - To nie twoja wina, że nikt cię nie chciał wysłuchać.

- Tak czy inaczej mam nadzieję, że panna de Cardonnel będzie już teraz bezpieczna w domu madame Bonnieux - odparł.

Zerknął na zegar stojący na kominku. Dochodziła szósta. Już tak bywało, przed wyjazdem Laurence'a do Ameryki, że całe dnie spędzał na sprawach związanych z bratem. Wtedy chodziło o zmniejszenie szkód wynikłych z defraudacji pieniędzy chlebodawcy Laurence'a. Teraz, siedem lat później, brat nadal potrafił zmusić Luke'a, by tańczył do jego muzyki. Postanowił, że tym razem nie zapomni jednak o własnych interesach. Zszedł na dół do biura i zamienił kilka słów z pracownikami. Czekają na niego sporo listów, więc od razu się nimi zajął.

- *Artemis* właśnie przybił do londyńskiego doku, sir.

- Dobrze. Co z tłuszczem?

- Dwadzieścia beczek w magazynie, sir.

- Chcę, żebyś z rana się tam przeszedł, John. Teraz już możecie iść do domu. Zastów okiennice, dobrze?

- Tak, sir.

Luke i Hester spokojnie zjedli kolację. Zazwyczaj to ona przyrządzała jedzenie, zdrowo, ale bez fantazji. Tego wieczoru na kolację było pieczone mięso, szpinak i ziemniaki, na deser zaś pudding chlebowy. Luke jadł, nie zważając na to, co wkłada do ust. Nabrał łyżkę puddingu, po czym odsunął go na bok.

Właśnie wtedy rozległo się niecierpliwie pukanie do drzwi. Luke uniósł głowę i spojrzał przez stół na siostrę.

- Wygląda na to, że mamy gości.

Po chwili w pokoju pojawiła się zdyszana od wspinania się po schodach pulchna kobieta.

- *Excusez-moi, monsieur, mademoiselle* - zaczęła. Dłonie wyraźnie jej drżały. - Jestem madame Bonnieux. Moja podopieczna nie pojawiła się w domu!

Kiedy Anna odzyskała przytomność, stwierdziła, że leży na sienniku w brudnym pokoiku na poddaszu. Bolała ją głowa, czuła mdłości, wirowało jej przed oczami; kiedy próbowała je otworzyć, czuła potworne pieczenie. Co się wydarzyło? Gdzie jest? Jej płaszcz i kapelusz wisały na gwoździu wystającym ze ściany. Świat nadal wirował, ale mdłości powoli ustępowały. Ostrożnie otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie.

Pokój był pusty - leżał w nim tylko siennik i stała brudna, popękana miednica. Ze ścian zwieszały się płaty tapety; pajęczyny tak gęste, że nie można było nic przez nie zobaczyć, upiększały rogi pokoju. Obok siennika, na podłodze, stał dzbanek z wodą. Anna powoli usiadła, podczołgała się do miednicy i zwymiotowała. Wypiła łyk wody i od razu poczuła się lepiej. Wróciła jej pamięć. Została porwana przez Laurence i łatwo zgadnąć, w jakim celu.

Ale gdzie ją przywiózł? Podeszła do okna. Szyby były popękane i poupychane gazetami, tak brudne, że niewiele przez nie widziała. Naprzeciwko dostrzegła takie samo poddasze, a w dole wąską uliczkę slumsów. W powozie tak ją pochłonięły własne myśli, że nie patrzyła, dokąd jada, ale wiedziała, że ruszyli we właściwym kierunku. Przypominała sobie mgliście, że na Hanover Square skręcali w Oxford Street.

Usłyszała skrzypienie schodów i zaraz potem zgrzyt przekręcanego klucza. Położyła się na łóżku i jęknęła.

Wszedł Laurence, zatraskując za sobą głośno drzwi. Anna myślała, że głowa jej pęknie.

- A więc już oprzytomniałaś?

- *Pardon?* - odezwała się. - *Je regrette, monsieur, mais je ne suis pas bien du tout. Je suis malade.*

- Mów po angielsku, do cholery. Nie rozumiem tej twojej przeklętej francuszczyzny

- *Platt-il?*

- Posłuchaj, dziwko! - Laurence usiadł na łóżku i zmusił ją, by na niego spojrzała. - Zostaniesz tu dotąd, aż się zgodzisz za mnie wyjść, rozumiałaś? Jeśli nie, to i tak cię posiadę. - Włożył rękę pomiędzy jej nogi. Dziewczyna zbladła.

Laurence wydawał się usatysfakcjonowany

- Widzę, że mnie rozumiałaś. No więc jak, co wybierasz? Jestem gotowy. - Wstał i zaczął rozpinąć spodnie.

- Zaraz zwymiotuję! - krzyknęła Anna. - Natychmiast! - Błyskawicznie złapała miednicę. Kiedy się czołgała z powrotem do łóżka, była sina.

- Przeklęta dziwka! - Laurence nie miał ochoty utylić się w wymiocinach. Zapiął spodnie. - Główka boli, co? Trzeba było ze mną współpracować, moja droga. Teraz cię zostawię, żebyś odespała. Ale z rana czekam na odpowiedź. - Wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Anna wstała, przepłukała usta i poprawiła ubranie. Głowa nadal ją bolała, ale czuła się o wiele lepiej, a drugi atak nudności był wynikiem raczej strachu niż bólu.

Cienie padające przez okno zaczęły się wydłużać. Musiało być późne popołudnie. Znowu podeszła do okna, przekreśliła klamkę i używając całej siły, otworzyła okno. Zobaczyła wąski parapet, a zaraz nad nim dach. Ostrożnie wysunęła głowę. Po lewej stronie biegła rynna, za nią prawy róg następnego domu. Dach, na tyle, na ile mogła zobaczyć, rozchodził się we wszystkich kierunkach.

Zamyśliła się. Jako dziecko, w wieku około pięciu lat, odkryła, podobnie jak wcześniej całe pokolenia Cardonnelów, przednią zabawę na dachu ich prowansalskiego *chateau*, usianego wieżyczkami i występami. Na poddaszu znajdowały się

małe drzwiczki, przez które Anna wydostawała się na dach. Nie miała lęku wysokości i nie bała się, że spadnie.

Teraz pomyślała, że gdyby tylko zdołała się dostać na dach następnego domu, to miałyby dość duże szanse na ucieczkę. Dawno minęło czternaście lat, odkąd bawiła się na dachu *chateau* i powtórzenie tej zabawy w obecnych warunkach to zupełnie inna sprawa, jednak nic innego jej nie pozostawało.

Wiedziała, że powinna poczekać do zmierzchu. Drobna kobieta w płaszczu i modnym kapeluszu błakająca się po dachach to raczej dziwaczny widok. Poszła obejrzeć płaszcz. Niezbyt wygodny, ale za to ciemny, dzięki czemu mniej się będzie rzucał w oczy. Musi też włożyć kapelusik. Żadna szanująca się kobieta nie porusza się po mieście bez nakrycia głowy. Sprawdziła kieszeń. Była pusta. Laurence zabrał portmonetkę.

Przez chwilę stała przy oknie i przyglądała się zaczepom rynny, zastanawiając się, czy są na tyle silne, żeby wytrzymać jej ciężar. Potem zamknęła okno, usiadła na sienniku i czekała.

Luke słuchał madame Bonnieux z niepokojem. Jeśli Laurence porwał pannę de Cardonnel, a na to wyglądało, to należało się obawiać o jej bezpieczeństwo. A przecież nie mieli nawet pojęcia, gdzie brat mieszka. Pewnego razu po jego odwiedzinach na Brook Street Walter próbował go śledzić, ale Laurence mu umknął. Chyba nie wiedział, że jest śledzony, jednak najwyraźniej młodszy pan Redbourn nie podejmował najmniejszego ryzyka.

Madame Bonnieux dostała kieliszek brandy i usłyszała życzliwe słowa pocieszenia.

- Myślę, że trzeba go szukać w okolicy Bow Street Runners

- rzucił Luke. - Sprawdzę to z samego rana. Podejrzewam, że Laurence mieszka na St Giles's Rookery. Gdzie indziej mógłby tak dobrze się ukryć, a zarazem mieć blisko do West Endu?

Hester poklepała dłoń Marie.

- Proszę się nie martwić, madame. Brat zrobi wszystko, co w jego mocy.

Biedna madame Bonnieux huśtała się w tył i w przód.

- Jest dla mnie jak córka. - Siapała nosem. - Opiekowałam się nią, od kiedy skończyła siedem lat. Pamiętam noc, w którą się urodziła. Jej *bonne* przyprowadziła ją do mnie, kiedy żołnierze aresztowali jej matkę i zniszczyli dom. Biedactwo. Doskonale pamiętam tę drobinę o dużych czarnych oczach, dygoczącą z zimna w białej jedwabnej sukience. To było bardzo dobre dziecko. Mimo młodego wieku miała głowę na karku. Pewnie, że widziała w dzieciństwie za dużo, ale co na to poradzić? To były takie lata. Czasy terroru.

Luke przez cały czas chodził po pokoju; teraz usiadł obok gościa.

- Musi pani wrócić do domu, madame - stwierdził. - Podopieczna może tam przyjść. Walter panią odwiezie. Odnajdę mojego brata, proszę się nie martwić, a wraz z nim pannę de Cardonnel.

Marie zdobyła się na słaby uśmiech.

- Jest pan bardzo dobry, monsieur.

Luke mówił z przekonaniem, ale myślał mniej optymistycznie. Laurence dobrze się ukrył. Walter niczego się o nim nie wywiedziało. Jeżeli los im nie pomoże, szanse na odnalezienie panny de Cardonnel całej i zdrowej wydawały się nikłe.

Słońce zachodziło powoli, lecz w końcu Anna zdecydowała, że już czas. Z nadejściem zmroku ulica w dole zrobiła się mniej zatłoczona. Wprawdzie nadal jeszcze dochodziły do pokoju pokrzykiwania bawiących się i bijących dzieci, wrzaski kobiet, stojących na progach i kłócących się z sąsiadkami, ale cienie się wydłużały, a twarze stawały mniej wyraźne. Anna ponownie otworzyła okno. Przemyślała już, jak się wydostanie na dach. Ściana była popękana, z wyrwami, na których mogła oprzeć stopę. Jeśli zdoła przejść niecały jard, będzie w stanie wspiąć się na dach. Potem zobaczy. Włożyła płaszcz, kapelusz związała ściśle pod brodą. Rzuciwszy ostatnie uważne spojrzenie za siebie, wdrapała się na okno i odwróciła twarzą do ściany. Wystawiła nogę

Przeżyła chwilę paniki, nie mogąc wyczuć wyrwy w murze, ale po sekundzie ją znalazła. Wsunęła się tak daleko, jak tylko mogła, i wyciągnęła dłoń do rynny; bardziej rozchwiana, niż się spodziewała, ale mimo wszystko wydawała się wystarczająco mocno osadzona. Teraz albo nigdy. Anna oderwała drugą stopę od parapetu. Nastąpiła omdlewająca chwila, gdy przeczesywała powietrze nogą, szukając oparcia, ale w końcu się na nie natknęła. Guz na głowie pulsował, pot zalewał oczy.

Powoli przybliżała się do narożnej ściany, stopami wyszukując wyrwy. Teraz już oburącz trzymała się brzegu dachu. Zaczęła się podciągać, odpychając się stopami od rynny. Zdołała oprzeć jeden łokieć na występie, gdy rynna zaczęła trzeszczeć. Wtedy Anna straciła równowagę. Szukając ratunku, wierzgnęła szaleńczo nogami. W ostatniej chwili oparła je o żelazny hak wystający ze ściany. Drżąc, wciągnęła się na występ, po czym natychmiast padła na płask. Serce waliło jej jak oszalałe.

Dała sobie chwilę na uspokojenie, ale zaraz musiała ruszać dalej. Występ dachu był wąski i wcale nie wyglądał na mocny. Wskoczyła ostrożnie na górę i rozejrzała się. Dachy rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Dzień szybko się kończył, ale nadal rozpoznawała potężną sylwetkę sklepienia katedry św. Pawła. Odwróciła się i zbadała wzrokiem horyzont. Na zachodzie widziała na niebie różowawą poświatę, na północy dostrzegła wiatraki na Primrose Hill.

Teraz już z grubsza wiedziała, gdzie jest. To musi być St Giles, okolica, przed którą ją ostrzegano. Część tego terenu, jak opowiadał ojciec, jest biedna, ale porządna, jednak tylko część. Papa miał rację, pomyślała smutno. Tak czy inaczej, teraz już wiedziała, w którą stronę ma się kierować. Stąpając ostrożnie i kryjąc się w cieniu kominów, przedzierała się do Somers Town, tam, gdzie na horyzoncie rysowały się sylwetki wiatraków.

Luke spędził bezsenność. Cały czas się zastanawiał, co ma robić dalej, a następnego dnia przy śniadaniu przekonał się, że Hester także niewiele spała. Żadne też nie zjadło porządnego śniadania. Luke zrezygnował z codziennego bekonu i grzybów, Hester tylko nadgryzła tost.

- Biedna dziewczyna - powiedziała. - Nie mogę przestać o niej myśleć. Jest taka drobniotka. Nie ma szans z Laurence'em.

- Przestań - nakazał Luke. Szarpała nim okropna wściekłość. Gdyby teraz dostał brata w swoje ręce, nie zawahałby się przed zamordowaniem go.

Wszedł Walter z pocztą; Luke przejrzał ją tylko pobieżnie. Większość listów dotyczyła firmy, ale jeden najwyraźniej nie należał do tej kategorii. Pismo było drobne i kobiece, z dużymi



kleksami, wskazującymi na podenerwowanie osoby piszącej. Złamał pieczęć.

*27 Henrietta Street*

*Drogi Mr Redbourn!*

*Jestem tą nieszczęśliwą kobietą, którą pech pchnął na drogę niecnych knowań Pańskiego brata. Wykorzystał mnie brutalnie i teraz, wylizując się z ran, myślę o zemście. Niestety! To ja udawałam Pańską matkę. Jeśli potrafi Pan wybaczyć skruszonemu sercu, to może będę w stanie Panu pomóc.*

*Z poważaniem*

*H. Clarkson*

Luke obejrzał dobrze list, po czym oddał go siostrze. Teraz wreszcie mógł działać!

- Bardzo melodramatyczna osoba - zauważyła Hester. W rzeczywistości w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ogarniało ją coraz mocniejsze wrażenie, że sama bierze udział w melodramacie. Nie podobało jej się to uczucie.

- Tak, ale może wie, gdzie mieszka Laurence - stwierdził Luke. Wstał i krzyknął na służącego, żeby mu przyniósł płaszcz i kapelusz.

- Będiesz... będziesz na siebie uważał, prawda? - Hester wyglądała na prawdziwie zaniepokojoną. - To może być pułapka.

- Bardzo prawdopodobne - zgodził się. - Ale co mi pozostaje? Proszę, lepiej to zachowaj. - Podał siostrze list, pospiesznie cmoknął ją policzek i wybiegł z domu.

Kiedy dotarł pod numer 27 przy Henrietta Street, z ulgą stwierdził, że okolica wygląda na względnie porządną. Schody przed wejściem były świeżo wyszorowane, mosiężna kołatka

wypolerowana. Kiedy zapukał, pojawiła się szacowna starsza pani w wykrochmalonym czepeczku i czystym fartuszk.

Luke uniósł kapelusz.

- Dzień dobry, madame. Przyszedłem odwiedzić pannę Clarkson. Myślę, że mnie oczekuje. - Pokazał wizytówkę. Właścicielka pensjonatu popatrzyła na nią powątpiewająco, potem powróciła wzrokiem do nieznanego. - Podobno panna Clarkson miała niefortunną przygodę z moim niesławnym bratem.

- To pana brat? — Staruszka nadal nie wyglądała na przekonaną.

- Może woli pani, żebym poczekał tutaj, aż pani zapyta pannę Clarkson?

To, zdaje się, wreszcie przekonało właścicielkę.

- Nie, proszę poczekać w środku. - Wprowadziła gościa do porządnego pokoju, najprawdopodobniej jadalni dla gości pensjonatu.

Po krótkim czasie Luke został poprowadzony na górę do tylnego saloniku, gdzie dołączyła do niego Helen.

Pomimo sporej warstwy leczniczej maści, szramy ciągle były bardzo wyraźne, a jedno oko, nadal na wpół przymknięte, straszło szkarłatnymi krwiakami. Helen szła wolno, jakby każdy krok sprawiał jej ból. Luke wstał i podał jej krzesło.

- Dziękuję za list, panno Clarkson - powiedział, kiedy już wymienili grzeczności. - Proszę nic nie mówić o przeszłości, to już nieistotne. Będę wdzięczny, jeśli poda mi pani jakiegokolwiek informację o bracie. Myśleliśmy, że nadal jest w Ameryce.

Helen opowiedziała swoją historię. Choć mówiła charakterystycznym dla niej melodramatycznym stylem, Luke słuchał jej z natężoną uwagą. Bajeczkę o ogromnym spadku uznałby za wyssaną z palca, gdyby sam nie był przekonany, że panna

de Cardonnel musi gdzieś mieć pieniądze. Nieuczciwy urzędnik i spory majątek w spadku jasno tłumaczyły zainteresowanie Laurence'a tą dziewczyną. Wersja aktorki pasowała do tego, czego do tej pory się dowiedział. W końcu Helen, z zawstydzoną miną, opowiedziała o szantażu.

- Widziałam pannę de Cardonnel tylko raz - dodała na koniec. - Jednak nie mogę znieść myśli, że może ją spotkać krzywda. Laurence mówił coś o tym, że poradzi sobie z nią w inny sposób. Aż mi to zmroziło krew w żyłach! Postanowiłam więc zaryzykować i napisałam.

- Mamy podstawy podejrzewać, że ją porwał - poinformował sucho Luke.

Hester uniosła obie dłonie, jakby w obronie przed ciosem.

- On... on jest agresywny.

- Widzę - zauważył Luke. - Może potrafi pani powiedzieć, gdzie mieszka?

- Pod siódmką, Charles Street, koło Drury Lane.

Tym razem to Luke pobladł.

- Dobry Boże!

- To dość szacowna okolica - osądziła Helen. - Jeśli nie jest się zbyt wymagającym.

Luke rozejrzał się. Znajdował się w porządnym domu, a panna Clarkson była z pewnością wiarygodnym wynajemcą, cokolwiek łączyło ją z Laurence'em.

- Co z pani pracą, panno Clarkson? Jak rozumiem, jest pani zatrudniona w teatrze.

- Tak, w Royal Opera House. - Próbowwała się uśmiechnąć.

- Ale minie co najmniej miesiąc, zanim będę mogła tam wrócić, jeśli pan Kemble w ogóle przyjmie mnie z powrotem.

- Odwróciła wzrok. Pisała list z nadzieją, że uda jej się przekonać pana Redbourn'a do wspomnienia jej jakąś sumką,

żeby mogła związać koniec z końcem. Teraz, kiedy już tu był i traktował ją tak grzecznie, ani słowem nie wspominając o jej oszustwie, wstydziła się wychodzić z podobną prośbą.

Luke zauważył, że jego rozmówczyni przestała bawić się w melodramę.

- Panno Clarkson, jestem bardzo wdzięczny za informacje. Nie miałem pojęcia, co dalej robić. Za pani sprawą wiem teraz, gdzie szukać brata. W ramach podziękowań proszę, by pozwoliła pani zdjąć sobie z barków część niepokojów. - Helen otworzyła usta. - Nie, nalegam. Pani sytuacja jest bardzo ciężka, poza tym doznała pani krzywdy z rąk członka mojej rodziny.

- Jest pan bardzo uprzejmy - wyszeptła.

Luke wyjął z kieszeni portfel i odliczył dziesięć gwinei.

- Mam nadzieję, że się pani przydadzą.

Właścicielka pensjonatu, zżerana przez ciekawość, krążyła po korytarzu. Widząc, że gość schodzi na dół, rzuciła się w stronę poręczy, energicznie machając miotełką do kurzu. Luke zerknął na nią z rozbawieniem.

- Czy pan Redbourn nadal się tu pojawia? - zapytał.

- Oczywiście, że nie! Wie, że bym go nie wpuściła. Nie po tym, co zrobił pannie Clarkson. Trzy złamane zebra i pokiereszowana twarz. A to dobra dziewczyna, ciężko pracująca. Nigdy się nie opóźnia z czynszem i zawsze powie człowiekowi coś miłego.

- Jeśli pan Redbourn dowie się o mojej wizycie - zaczął ostrzegawczo Luke - to panna Clarkson może mieć kłopoty.

- Ode mnie niczego się nie dowie, zapewniam, sir.

- Dziękuję. - Luke wepchnął koronę w dłoń staruszki. - Wiedziałem, że można na pani polegać. - Dotknął kapelusza i wyszedł.

No, to dopiero porządny dżentelmen, pomyślała staruszka.

Cała korona! Zaraz po południu pojedzie do Newton i jeszcze raz obejrzy pewien kapelus.

Po wyjściu od Anny Laurence udał się do kawiarni Smyrna w Pall Mall. Reklama głosiła, że jest to miejsce, gdzie „dżentelmeni spotykają się, by pograć w bilard”, ale w rzeczywistości można tam było spokojnie zagrać w karty i napić się dobrego alkoholu. Portmonetka Anny wsparła go jedynie kilkoma szylingami, za mało jak dla niego. Na szczęście jego elegancka postać ściągnęła pełne podziwu spojrzenie znużonego dżentelmena ze wsi, który przybył do Londynu na ślub siostrzenicy. Dżentelmen ów po kilku drinkach przystał na propozycję przyjacielskiej partyjki pikieta z nowym znajomym; opuścił lokal biedniejszy o dwadzieścia gwinei.

Laurence przeznaczył część wygranej na ładną młodziutką prostytutkę, którą spotkał przy Haymarket. Na Charles Street wrócił około północy. Tylko przez chwilę myślał o więźniu na poddaszu - to znaczy o tym, że skoro Anna od rana nic nie jadła, zapewne następnego dnia będzie mu bardziej posłuszna. Wpadło mu na myśl, żeby do niej pójść, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Zresztą prostytutka zaspokoiła już po części jego potrzeby.

W domu przy Charles Street wynajął górne piętro z dwoma pokojami. Anna zajęła mniejszy. Drugiego Laurence używał jako toalety i przystani, jeśli akurat takowej potrzebował. Nie było tu wiele mebli, miał jednak wszystko, czego pragnął: dość wygodne łóżko, stare wysokie lustro, kilka krzeseł, stół i dębową szafę, w której trzymał ubrania. Pokój całkiem mu się podobał. Tani i praktyczny. Nigdy zbyt nie zależało mu na wygodach w domu. Wolał publiczne miejsca: lśnienie kandelabrow w dro-

gich jaskiniach hazardu, bogate brokaty i zdobienia w domach publicznych przy King Street.

Obudził się dopiero po jedenastej. Otworzył drzwi i krzyknął do pokojówki, żeby kupiła mu butelkę portera i pieczeń. Przyrzekł sobie, że odwiedzi pannę de Cardonnel zaraz po śniadaniu. Pewnie jest w opłakanym stanie - uśmiechnął się - i niewątpliwie będzie bardziej rozsądna.

Nie słyszał kroków na schodach.

Luke rzucił jedno szybkie spojrzenie na drzwi i natychmiast wydedukował, że jeśli Anna jest za jednymi z nich, to z pewnością za tymi zamkniętymi. Zgrzyt klucza w zamku wzbudził podejrzenie Laurence'a. Wyszedł na korytarz akurat w chwili, gdy Luke popychał drzwi.

- To ty?

Obydwaj mężczyźni wpadli do pokoju. Był pusty. Okno huštało się na zawiasach. Na ulicy nic nie zobaczyli i tylko rynna zwisała pod dziwnym kątem.

- Jak mnie znalazłeś? - Laurence był biały z wściekłości.

- Walter trzyma ucho blisko ziemi - obojętnie odparł starszy brat.

- Nikomu nie mówiłem, że tu jestem.

Luke wzruszył ramionami.

- Nie zmieniłeś się za bardzo, więc masz niezłą reputację.

- Ta dziwka uciekła. - Laurence kopnął wściekle w dzbanek.

- Jeśli masz z tym coś wspólnego... ostrzegam, trzymaj się z daleka od moich spraw.

- Nie mam z tym nic wspólnego - zaprzeczył Luke. - I z wielką ochotą nie będę się wtrącał do twoich spraw, jeśli ty nie będziesz wtrącał się do moich. - Mówiąc to, opuścił

pokój i otworzył drzwi drugiego. Zlustrował szybko pomieszczenie i ruszył prosto do dębowej szafy. W rogu znalazł kupkę swoich wizytówek. - To, jak sądzę, należy do mnie.

Usta Laurence'a zeszywniały od furii. Był nieco wyższy od brata i miał przy sobie nóż. Przesunął dłoń do paska.

- Nie rób tego, bracie - rzucił Luke, dostrzegając ruch ręki.
- Walter wie, gdzie jestem, a szkoda kończyć życie przed czasem. Rozumiem, że mogę już przestać wypłacać ci pensję?
  - Te marne sześćdziesiąt funciaków!
  - Jak sobie życzysz - niewzruszenie odparł Luke. Nie oglądając się za siebie, odwrócił się i wyszedł.

## 6

Piąta rano, a madame Bonnieux już była na nogach. Spała źle, czujna na najmniejszy szmer. Anna się nie pojawiła. Mimo całej sytuacji Marie nie mogła zapomnieć o klientach, których musiała uszczęśliwić z rana świeżutkimi bułeczkami. Już kilkakrotnie po śmierci wicehrabiego myślała o wzięciu na stałe dziewczyny do pomocy, jednak zniechęcona nieudanymi próbami, poprzestała na Francois, synu rejenta, imigranta. Chłopak przychodził codziennie o piątej rano, rozpałał w piecach, a potem rozwoził towar do klientów.

Marie ubierała się niespiesznie. Przez niepokój i zmęczenie była niezręczna i ciągle coś wypadło jej z rąk. W końcu była gotowa. Zeszła powoli na dół, by rozpocząć następny długi i beznadziejny dzień. Układając ciasto na blasze, usłyszała pukanie.

Zastanowiło ją nagłe szczekanie Herculesa, więc, wytarłszy dłonie w fartuch, poszła na piętro.

Szczupła, mała postać, okropnie brudna, chwiała się w drzwiach.

- Anna! - Nie zważając na ręce utyłane w mące i cieście,



Marie przyciągnęła dziewczynę do siebie. - Och, Anno, tak się martwiłam!

- Już dobrze. Już dobrze. Nic mi nie jest! - powtarzała Anna z płaczem, tuląc się do Marie.

- A oto i Francois. - Marie patrzyła na ulicę, po której zbliżała się zwinna postać pomocnika. - Zejdź na dół, Francois. Zaraz do ciebie przyjdę. - Zamknęła drzwi.

Piętnaście minut później Anna siedziała przy stole kuchennym, przed nią stał kubek z kawą i świeża tartinka, którą zdażyła już do połowy zjeść. Wcześniej umyła twarz i ręce, ale cała reszta pozostała brudna. Podobnie jak podarty płaszcz i pończochy. Ale najważniejsze, że dotarła do domu.

- Dach! - wykrzyknęła Marie. - Dzięki Bogu, że o tym nie wiedziałam.

- Z pewnością nie byłam pierwszą osobą korzystającą z tego dachu - stwierdziła Anna. - W jednym miejscu natknęłam się na kładkę przełożoną nad wąskim prześwitem, a w innym, obok kładki, ktoś przerzucił linę, służącą za poręcz.

Marie wdrygnęła się.

- Ale jak zeszaś?

- Kiedy dotarłam do High Holborn, zrozumiałam, że nie da się dalej tak iść. Był tam do połowy spalony dom. W tym miejscu postanowiłam zejść. - Zadrzała, niechętnie wracając pamięcią do tamtych chwil. Było to dość niebezpieczne zejście, bo dom znajdował się w opłakanym stanie, nawet jak na standardy St Giles, ale udało jej się dzięki rusztowaniu. Anna czekała na nadejście dnia na pobliskim dachu, bezpiecznie schowana między dwoma kominami. Nawet trochę się zdrzemnęła. Kiedy tylko mogła coś dojrzeć, zaczęła schodzić. Spalony dom miał poczerniałe, okopcone cegły. Raz o mało nie spadła, bo oparła się o kłamkę okna, która się oderwała, ale szczęśliwie

chwyciła się małego drzewka wyrastającego ze szczeliny w murze. Stanawszy na stałym gruncie, ruszyła w stronę Southampton Street do Bloomsbury Square. Dochodziła wtedy czwarta trzydzieści i zaczynało świtać. Ulice były jeszcze puste i Anna spieszyła się, jak tylko mogła. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jest brudna, ma podarty płaszcz i wymięty kapelusz. Parę razy chowała się w bocznych uliczkach, by uniknąć spotkania z jakimś pijaczkiem czy strażnikiem, ale nic więcej się nie wydarzyło.

Marie patrzyła na podopieczną z ulgą, lecz również z wielkim przejęciem. Dziewczyna była blada z wyczerpania i wygłodniała, z tyłu na głowie miała guz wielkości jajka. No i cała twarz w brudzie. Marie wstała; zdjęła z haka wielką cynową wannę, a potem poszła napełnić wodą największy czajnik i kilka garnków. Położyła na stole resztę bagietek.

- Jedz, *petite*. Kiedy woda się zagrzeje, wykąpiesz się, a potem opatrzę ci głowę i pójdziesz do łóżka. Twoje bagaże przyjechały wczoraj. Francois wniósł je na górę. Przygotuję ci łóżko.

- Ale...

- Żadnych ale. Pomożesz mi po południu, jeśli będziesz miała siły. Napiszę słówko do monsieur Redbourn i zawiadomię go, że jesteś bezpieczna. Potem muszę wracać do pracy.

Po powrocie do domu Luke zastał siostrę w stanie najwyższego podekscytowania. Nadeszła krótka wiadomość od madame Bonnieux, że siostrzenica pojawiła się w domu, cała i zdrowa.

- Ciekawa jestem, jak ona tego dokonała? - zastanawiała się Hester

Luke opowiedział jej o pustym pokoju na poddaszu i huśtającym się oknie. Trudno to sobie wyobrazić, ale najwyraźniej panna de Cardonnel jakimś cudem dostała się na dach. Hester, wiedząc już, że Anna jest bezpieczna, emocjonowała się dramatycznymi wydarzeniami.

- Obawiam się, że mamy następny kłopot - powiadomił siostrę Luke. - Czy Laurence wie, gdzie mieszka panna de Cardonnel? Na Phoenix Street grozi jej nawet większe niebezpieczeństwo niż na Brook Street. Te kobiety mieszkają tam same, nie licząc psa, o którym mówił mi Walter. Nie podoba mi się to.

- Ale co możemy zrobić? - rozsądnie zapytała Hester. - Nie jest z nami spokrewniona. Nie mamy prawa się wtrącać.

- Nie zamierzam wtrącać się do spraw panny de Cardonnel - odparł z irytacją Luke. - Zamierzam pokrzyżować plany Laurence'a. - Przesunął dłonią po włosach. W czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin doznał tylu wrażeń, w tym gniew, strach, niepokój, że czuł się całkowicie wyczerpany. Od odejścia Caroline w jego życiu nie było takiego zamieszania. I znowu w centrum zainteresowania stoi młodszy brat. Luke westchnął.

- Będę musiał przejąć sprawy w swoje ręce.

- Dlaczego? Co chcesz zrobić? - Hester była zaniepokojona.

- To oczywiście, że chodzi o jakiś spadek, jeżeli wierzyć opowieści panny Clarkson. Zresztą pasuje ona do tego, co już wiemy. Gdybym tylko wiedział, gdzie szukać?

- Ale jak chcesz to sprawdzić? Nie masz nawet pojęcia, po kim jest ten spadek.

- Zacznę, od szmaragdu.

- Przecież panna de Cardonnel mówiła, że jest bez większej wartości.

- Zgadza się, ale jakąś ma. I zaginał w dość niecodziennych

okolicznościach. Odwiedzę pannę de Cardonnel, kiedy tylko wypocznie.

- Uważaj, Luke. Laurence może cię obserwować. Jeśli jeszcze nie wie, gdzie Anna mieszka, chyba lepiej, żeby tak zostało.

- Do diabła! - krzyknął brat. - Do diabła z nim! Mówię ci, Hester, kiedy wszedłem do tego pokoju na poddaszu i zobaczyłem otwarte okno, myślałem, że padnę trupem. Ta biedna dziewczyna musiała być prawdziwie zdesperowana. Mogła się zabić! Laurence martwił się tylko o siebie. „Ta dziwka uciekła”, powiedział.

- Będziesz musiał użyć tylnego wyjścia - praktycznie poradziła Hester. Z małego ogródka na tyłach domu przez bramkę wychodziło się na HoIIiday Yard, a stamtąd wąską uliczką na Shoemaker Lane. Można było spokojnie wyjść bez zwracania na siebie uwagi kogoś obserwującego dom, na przykład z kawiarenki przy Ludgate Street znajdującej się naprzeciwko.

- Od momentu poznania panny de Cardonnel nasze życie z pewnością przestało być nudne - zażartował Luke, uśmiechając się po raz pierwszy tego dnia.

Następnego ranka Anna i Marie Bonnieux, obie szczęśliwe, wspólnie przygotowywały lukier do czekoladowych ekierek. Anna nie spała najlepiej. Nie mogła wygodnie się ułożyć, a myślami nieustannie wracała do scen ucieczki. Czuła się jak zwierzątko w klatce, jednak to wrażenie minęło przy lukrowaniu ciasteczek, co okazało się bardzo wyciszającym zajęciem. Zabrzmiął dzwonek sklepu, jak już kilkakrotnie tego dnia, więc Marie poszła obsłużyć klienta.

- Och, monsieur Redbourn! - wykrzyknęła. Anna zamarła

na sekundę. - Jak miło pana widzieć! I jak uprzejmie z pana strony, że nas pan odwiedził! Anno, mamy gościa.

Dziewczyna weszła do sklepu z uśmiechem na ustach.

- *C'est monsieur Luc* - powiedziała radośnie. Nagle poczuła się spokojna. Spotkali się tylko dwa razy, ale widok Luke'a sprawił jej ogromną przyjemność.

- Panno de Cardonnel. - Luke skłonił się i zapytał o obrażenia. Przekonawszy się, że nie są poważne, uśmiechnął się i dodał: - To dla mnie zaszczyt być nazywanym „monsieur Luc”.

Anna zaczerwieniła się.

- Proszę mi wybaczyć, monsieur. Nazwisko Redbourn nie kojarzy mi się najlepiej.

- Proszę do kuchni, monsieur - zaproponowała madame Bonnieux. - Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, że lukrujemy ekierki? Tam będziemy mieli spokój. - Krzątała się po kuchni, proponując gościowi wino, a Anna poczęstowała Luke'a ciastkiem i zabrała się za dekorowanie wypieków.

- Dziękuję - powiedział. - Wspaniałe. Teraz rozumiem, dlaczego Walter tak chętnie dostarcza tu listy! - Po raz pierwszy od wielu dni doznał poczucia spokoju. Luke i Hester spędzali w dzieciństwie wakacje u babki w małej wiosce blisko Berkhamsted. Nagle znalazł się właśnie tam, w kuchni babki, poważny mały chłopczyk z dzbankiem pełnym kijanek, które przyszedł pokazać babci, wiedząc, że w kuchni grzeje się już woda na herbatę i kończy się piec ciasto z owocami. Coś z tamtego ciepła i bezpieczeństwa odnalazł właśnie tutaj.

W milczeniu wysłuchał opowiadania Anny. Potem streścił jej przebieg spotkania z Helen i opowiedział, jak odnalazł mieszkanie brata i pusty pokój na poddaszu z huśtającym się oknem.

- Bałem się, że się pani zabiła - wyznał.

- Były jeden lub dwa niebezpieczne momenty - przyznała Anna. - Ale jestem przyzwyczajona do wysokości. Jako mała dziewczynka łąziłam po dachu naszego domu w Prowansji. Był pełen wieżyczek i poskręcanych kominów, a więc sam pan widzi, że mam doświadczenie.

Śmiała się łobuzersko, ale uśmiech na twarzy Luke'a nieco pobladł. Uświadomił sobie, że Anna ma zupełnie inne wspomnienia z dzieciństwa niż on. Ta kuchnia, choć taka przytulna, jej z pewnością wydaje się bardzo uboga i skromna.

- Czy coś się stało, monsieur? - zapytała Marie, patrząc z troską na gościa.

- Nie, nic, zapewniam. - Luke pozbierał się w sobie. - Próbowałem połączyć ze sobą wszystko, co wiemy o tajemniczym spadku, o którym mówiła mi panna Clarkson. Jak rozumiem, jakiś nieznany osobnik pozostawił pani dużą sumę - na tyle dużą, by skusił się na nią mój brat - a usłyszy pani o niej dopiero po skończeniu dwudziestu jeden lat.

- Czy jeśli przed tą datą wyjdę za mąż, pieniądze staną się własnością męża?

- Tak, zgodnie z angielskim prawem, chyba że wcześniej zastrzeże sobie pani zmianę tego przepisu.

- Moja kuzynka Julia w przedmałżeńskiej umowie ma zapisane, że jej posag pozostanie jej własnością - zauważyła Anna.

- Tyle że mój brat z pewnością nie miał na myśli podobnego układu. Jednak na tym moja znajomość prawa się kończy. Z drugiej strony wiemy, że zaginał pani rodzinny klejnot i to w dość podejrzanych okolicznościach. Może to nielogiczne, co powiem, ale wydaje mi się, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane.

Anna patrzyła na niego sceptycznie.

- Nie sądzę, żeby ojciec Ignace był bogaty.

- Nie wiemy, jak wielu innym rodzinom pomógł uciec - sucho zauważyła Marie. - Mógł się dorobić sporego majątku, jeśli w tamtych czasach miał dostęp do amerykańskich paszportów.

- Czy wolno mi spytać, kiedy kończy pani dwadzieścia jeden lat, panno de Cardonnel?

- Czwartego października. Ale dlaczego ktoś obcy miałby mi coś zostawiać?

- Możemy po prostu poczekać do pani urodzin i wtedy wszystkiego się dowiemy, ale to ryzykowne - stwierdził Luke

- Co pan proponuje? - zapytała Anna.

- Miałem nadzieję, panno de Cardonnel, że pojedzie pani ze mną do jubilera, Rundella i Bridge'a. Możemy przynajmniej poznać ich opinię o szmaragdzie. To najlepsi jubilerzy w Londynie. Jeśli ktokolwiek słyszał o tym kamieniu, to z pewnością oni.

- To dobry pomysł. Kiedy chciałby się pan tam wybrać? Teraz?

- Jeśli to pani nie sprawi kłopotu i jeśli czuje się pani na siłach. - Anna, zerknąwszy na madame Bonnieux, skinęła głową na znak zgody. - Proszę wziąć jakieś dokumenty dotyczące szmaragdu - poradził Luke. - Być może będzie pani musiała udowodnić, że jest jego właścicielką. - Kiedy Anna poszła na piętro przygotować się do drogi, Luke zwrócił się do madame Bonnieux: - Osobiście odwiozę siostrzenicę z powrotem.

- Boję się, że pana brat znajdzie ją tutaj - wyznała Marie.

- Ja także. Myślę, że należałoby sprawdzić zamki.

Kobieta uśmiechnęła się ponuro.

- Nie mamy zamków, nie licząc zamka na drzwiach sklepowych. Tylko rygle. Ale jest Hercules.

- Herkules? - powtórzył ze zdziwieniem Luke.

- Pies. - Marie dostrzegła powątpiewanie we wzroku gościa.

- Wiem, że jest zbyt przyjacielski, ale przynajmniej szczeka.

Weszła Anna z dokumentami. Luke, podając jej ramię, zauważył, że nadal jest dość blada. Ucieszył się, że kazał dorożce czekać. Panna de Cardonnel nie miała siły na piesze przechadzki. Pomógł jej wsiąść. Po chwili woźnica zawrócił konia z powrotem do City. Sklep Rundella i Bridge'a znajdował się przy Ludgate Hill.

- Powiniennem być poprosić pani ciotkę, żeby nam towarzyszyła jako przyzwoitka - zmartwił się Luke.

- Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego dziewczęta same nie mogą dbać o swoją reputację - obruszyła się Anna.

- Na Brook Street najbardziej mnie irytowała właśnie ciągła obecność przyzwoitki. Można by pomyśleć, że kobiety to idiotki!

- To dla pani ochrony - wyjaśnił łagodnie Luke.

- Ha! Wspaniała ochrona! - Jak do tej pory opieka ciotki i wuja przysporzyła jej jedynie kłopotów w postaci Laurence'a Redbourn.

- Mógłbym żywić co do pani nieuczciwe zamiary.

- Sądziłam, że już przy pierwszym spotkaniu ustaliliśmy, że nie ma pan co do mnie żadnych zamiarów!

Roześmiał się. Na policzki wypłynęły mu dwa słabe rumieńce, ale powiedział tylko:

- Dlaczego wasz pies tak dziwnie się nazywa?

Anna roześmiała się.

- Herkules? Mamy nadzieję, że będzie tak silny i wojowniczy jak jego imiennik.



- Będziecie panie musiały oduczyć go łaszenia się do każdego nieznajomego i lizania wszystkich po rękach - poradził Luke, nadal się uśmiechając.

Jak przystało na najlepszych jubilerów w stolicy, Rundell i Bridge posiadali okazały sklep, z eleganckim odźwiernym, który otworzył przed gośćmi drzwiczki dorożki i pomógł Annie wysiąść. W środku sklepu krążyło mnóstwo czarno odzianych asystentów. Jeden z nich podszedł do Luke'a i Anny.

- Jestem Mr Redbourn. Zapowiadałem się wcześniej - poinformował Luke. - Myślę, że pan Bridge mnie oczekuje.

- Pójdę sprawdzić, sir.

Już po kilku minutach zostali wprowadzeni do biura właściciela. Luke przedstawił Annę.

- Mr Redbourn, po porannej rozmowie z panem przejrzałem nasze akta. Wynika z nich, że w dziewięćdziesiątym czwartym roku odwiedził nas wicehrabia de Cardonnel. Niestety, nie mogliśmy mu wtedy udzielić pomocy.

- Czy od tamtej pory słyszał pan coś o szmaragdzie? - Anna patrzyła na Bridge'a z zaciekawieniem.

Skinął głową.

- Jakies trzy lata temu zostaliśmy poproszeni o wycenę związaną ze spadkiem. - Zamilkł na chwilę. - Czy mogłaby pani opisać ten szmaragd, panno de Cardonnel?

Uczyniła to, o co prosił.

- Miałam tylko siedem lat, kiedy go widziałam - dodała na koniec. - Pamięć może mnie zawodzić.

- Nie, nie, opisała go pani bardzo dokładnie. To rzeczywiście piękny okaz. W normalnych okolicznościach nawet przez myśl by mi nie przeszło złamanie zawodowej tajemnicy, ale w tym wypadku, po zobaczeniu pani zaświadczenia i listu z banku Child, wyraźnie widzę, że mamy do czynienia z biżuterią, która

została albo skradziona, albo, delikatnie mówiąc, zmieniła właściciela bez jego wiedzy. Prawnikiem, który się do nas zwrócił z prośbą o wycenę, był pan Hargreaves z Gray Inn. Nazwisko klienta, jeśli dobrze pamiętam, brzmiało Mr Henry Ignatius.

Anna i Luke wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Dziękuję, że poświęcił nam pan tyle czasu - rzucił Luke, podnosząc się. - Bardzo nam pan pomógł.

Kiedy ponownie znaleźli się w dorożce, powiedział:

- Czy chce pani teraz wrócić do domu, panno de Cardonnel, czy może od razu odwiedzimy tego Hargreavesa? Jakoś nie mogę się oprzeć przekonaniu, że pan Ignatius i ojciec Ignace to jedna i ta sama osoba.

- Ja też tak sądzę. Oczywiście wybieram wizytę.

W kancelarii prawniczej potraktowano petentów o wiele mniej uprzejmie niż u jubilera. Anna i Luke musieli czekać pół godziny w zakurzonej przedpokoju, a kiedy pan Hargreaves wreszcie się pojawił, zachowywał się podejrzliwie i z rezerwą. W końcu uważnie obejrzał zaświadczenie Anny, studiując podpis ojca Ignace'a przez szkło powiększające. Wreszcie spojrzął na gości.

- Skąd mam wiedzieć, że jest pani panną de Cardonnel? - zapytał.

- Dlaczego miałabym kłamać? - Anna czuła się obrażona.

Jest niewysoka i drobna, pomyślał Luke, patrząc na towarzyszkę, ale w tej chwili jest arystokratką w każdym calu.

- Z wielu powodów.

- Nie wiem, czy słyszał pan o księdzu Carronie de la Carriere? - zapytała dziewczyna po chwili namysłu. - Zorganizował wiele akcji dobroczynnych na rzecz imigrantów i jest poważany także przez angielską społeczność. - Pan

Hargreaves tylko skinął głową, ale nic nie powiedział, więc Anna ciągnęła. - Ksiądz znał mojego ojca i zna mnie. Uczęszczałam do jego akademii dla młodych panien. Jestem pewna, że zaświadczy o mojej tożsamości.

- Hm. Zanim w ogóle zajmę się tą sprawą, muszę otrzymać pisemne oświadczenie od tego księdza. Poza tym muszę się skonsultować z panną le Vivier.

Anna nie wiedziała, kim jest panna le Vivier. Nie znała tego nazwiska.

- Dostarczę panu to zaświadczenie. Życzę dobrego dnia. - Wstała i odwróciła się do wyjścia.

Wsiadała do dorożki z naburmuszoną miną.

- To oburzające - stwierdziła. - Trudno to spotkanie nazwać przyjemnym.

- Hargreaves strzegł tylko interesu klienta.

- Trochę się z tym spóźnił - sarknęła - skoro któryś z jego pracowników wyjawiał informacje pana bratu.

- Gdybyśmy odnaleźli pannę le Vivier, może udałoby się nam załatwić wszystko bez udziału tego podejrzliwego prawnika.

- Zaraz po mszy odwiedzę madame de Gontaut - po krótkim namyśle zapowiedziała Anna. - Ona zna wszystkich.

Nastroje u Broxheadów były dalekie od sympatycznych. Lady Broxhead obnosiła się z obrażoną miną, choć niby to pobożnie wybaczyła mężowi, a on jak zawsze nie mógł tego znieść. Dziwnym trafem plotka, że Broxhead jest bez grosza, rozeszła się błyskawicznie po mieście i natychmiast zewsząd zaczęły napływać upomnienia o pieniądze; między innymi bardzo poważna suma za świece. Dostawca żywności odgrażał

się, że traci już cierpliwość; nie płacono mu rzetelnie już od kilku lat. No i oczywiście na pierwszym miejscu pozostawał dług na dziesięć tysięcy funtów.

Lady Broxhead sprzedawała kolczyki z brylantami, po matce, i z uzyskanych pieniędzy spłaciła najpilniejsze długi. Następnie ostentacyjnie położyła pokwitowanie zapłaty na biurku męża.

- Och, moja pani, takie piękne kolczyki - użalała się nad nią Martha. - Och, ta wstrętna francuska dziewczka.

- Pan daje i Pan odbiera - świątobliwie powtarzała lady Broxhead.

Sir Robert natomiast przekonał się, że w tych dniach nie jest mile widziany nawet w swoim klubie White'a. Plotka, że Broxheadowie mają kłopoty, dotarła już także tutaj. Większość członków klubu współczuła sir Robertowi, niemniej dług karciany to dług honorowy.

- Wiesz - szeptał przy kieliszku brandy pan Torkington do lorda Zennora. - Słyszałem, że lady B. sprzedała kolczyki z brylantami i zapłaciła dostawcom. Tam do licha, po co im płacić? Ja nigdy tego nie robię.

Lord Zennor potrząsnął głową.

- Słyszałem, że jest ewangeliczką - mruknął. - Rzekłbym, że to jedna z tych przeklętych abolicjonistek. - Lord Zennor mówił ze złością, ponieważ ustawa o zniesieniu handlu niewolnikami przeszła tego roku w parlamencie i obawiał się o swoją plantację trzciny cukrowej na Jamajce.

- Stuprocentowo - zgodził się Trokington. - To nie wina Broxheada, oczywiście. Musimy być uczciwi.

- Powinien lepiej pilnować żony - sprzeciwił się lord Zennor. - Ale zgadzam się, że biedaczysko kiepsko ostatnio wygląda.

Skończyli brandy.

- Co powiesz na partyjkę pikieta? - zaproponował Trokington. - Dziesięć szylingów za punkt, powiedzmy.

Przeszli do stołu pokrytego zielonym sukniem.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Sir Robert wrócił do kawiarenki przy St James topić smutki w alkoholu, kiedy w sali pojawiła się znajoma postać. Laurence. W każdym calu prezentował się jak dżentelmen. Wykrochmalony, nieskazitelnie biały kołnierzyk, świetnie dopasowany surdut, lśniące buty. Ukłonił się kilku znajomym, z innymi przeprowadził krótkie rozmowy, po czym wreszcie usiadł naprzeciwko sir Roberta.

Ten stęknął.

- Aż tak źle, co? - Laurence roześmiał się. - No, mój drogi, znasz zasady tak samo dobrze jak ja.

- Potrzebuję czasu. - Sir Robert nienawidził siebie za to, co mówi, i nienawidził Redbourn za to, że postawił go w takiej sytuacji.

- Nie mam go zbyt wiele - rzucił młody mężczyzna. - Albo twoja siostrzenica wyjdzie za mnie przed końcem czerwca, albo płacisz. Zostało ci jakieś trzy tygodnie.

- Ona się wyprowadziła! Wróciła do domu i nie mamy z nią żadnego kontaktu.

Jeśli tej dziwce coś się stanie, nadzieja na fortunę przepadnie.

- Gdzie ona mieszka? Do diabła, jesteś jej opiekunem!

Sir Robert potrząsnął głową.

- Nie pamiętam. Nigdy tam nie byłem. Gdzieś w Somers Town.

- Somers Town? - z zastanowieniem powtórzył Laurence. Widział, że nic więcej nie wydobędzie od swojego rozmówcy.

- Koniec czerwca - przypomniał i odszedł.

Tego wieczoru sir Robert zatrzymał dorożkę i udał się na Ludgate Street. Luke przyjął go w małym pokoju, w którym po raz pierwszy zobaczył Annę. Sir Robert był zdecydowanie bardziej roztrzęsiony niż przy ich ostatnim spotkaniu, a Luke

nie umiał zdecydować, czy to wynik przepicia, czy może jakiejś choroby. Pociągnął za sznurek dzwonka i zamienił kilka słów z Walterem. Zanim gość się obejrzał, już siedział przy buchającym ciepłym kominku, a na stoliku przed nim stała filiżanka kawy i talerz kanapek z wołowiną.

- Dziękuję panu, Redbourn. To bardzo uprzejme z pana strony. - Żona przestała się do niego odzywać i jeśli chciał coś zjeść, musiał sam prosić służbę o przygotowanie posiłku.

Luke usiadł naprzeciwko

- Domyślam się, że znowu ma pan jakieś kłopoty z moim bratem.

- Złapał mnie w kawiarni i domagał się pieniędzy. Albo mu zapłacę, albo moja siostrzenica musi wyjść za niego do końca czerwca.

Laurence ma nóż na gardle, pomyślał Luke.

- Zawsze mi się wydawało, że Anna mnie lubi - ciągnął sir Robert. - Jest moją podopieczną, powinna mnie słuchać i wyjść za tego, kogo jej wskażę.

- Czy wie pan o tym, że Laurence ją porwał? - niespodziewanie zapytał Luke.

- Porwał? - Sir Robert wyprostował się. Twarz mu się rozjaśniła. - Teraz będzie musiała za niego wyjść. W przeciwnym razie straci reputację.

Luke z trudem nad sobą panował.

- A może pana zainteresuje, że pobił aktorkę, która udawała jego matkę.

- Co? Tę ładniutką panią Redbourn? - Sir Robert wyraźnie się przejął.

- Naprawdę nazywa się Helen Clarkson - poinformował Luke, uważnie przyglądając się gościowi. - Mieszka pod numerem dwudziestym siódmym przy Henrietta Street. Miała

szczęście, że skończyło się na trzech złamanych żebrach i rozlicznych ranach.

Sir Robert zdawał się nie pojmować, jak duże niebezpieczeństwo groziło pannie de Cardonnel. Może szybciej to sobie uświadomi, kiedy na własne oczy zobaczy pannę Clarkson.

- Musiałem tu przyjść - stwierdził sir Robert po chwili milczenia. - Ufałem mu, w tym cały problem. Żona nieustannie narzekała, że musimy pozbyć się siostrzenicy. Trafił się Redbourn. Wydawał się idealnym kandydatem. Powmienem był go sprawdzić.

- To by wszystkim zaoszczędziło wielu kłopotów - z naganą wtrącił Luke.

- Powiedziałem mu, że Anna mieszka teraz w Somers Town - wyznał żałośnie sir Robert. - Nie zastanowiłem się.

Gospodarz wzruszył ramionami.

- I tak by ją wyśledził. Francuscy imigranci skupiają się w jednej okolicy w Londynie. Wystarczy trochę popytać.

Gość dokończył kanapki i odstawił filiżankę po kawie.

- Nigdy nie żeń się z kobietą opętaną misją, drogi chłopcze - poradził na koniec. - Zniszczy ci życie. Przypuszczam, że w tej sytuacji zamkniemy dom w mieście i wyjedziemy z Londynu. Albo to, albo więzienie King's Bench.

- Mamy czas do końca miesiąca - pocieszył go Luke. - Wątpię, żeby brat, mimo gróźb, posunął się do czegoś poważnego.

- Tak pan myśli? Nie znoszę wsi - wyznał sir Robert. - Tyle tam owiec. Wolę miasto. Zawsze wolałem. - Wstał. - Mówił pan, że gdzie mieszka ta panna Clarkson?

Anna dowiedziała się, że panna le Vivier mieszka w Queen's Gardens, tuż przy Brompton Row w Knightsbridge. Okolica

nie cieszyła się popularnością wśród imigrantów i księżna de Gontaut wyraziła zdziwienie, iż mademoiselle le Vivier właśnie tam się osiedliła.

- Przypominam sobie, że to raczej dziwna osoba - dodała.  
- Zawsze trzymała się na uboczu. Zdaje się, że do Anglii przybyła z wujem, bodajże księdzem. Ale tak naprawdę to nie miałam okazji jej poznać.

Anna listownie przekazała te informacje Luke'owi, po czym ustalili, że on sam odwiedzi pannę le Vivier jako przyjaciel rodziny i już na miejscu spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej. Anna natomiast miała się spotkać z księdzem Carronem i poprosić go o pomoc.

- Będziesz ostrożny, prawda? - niepokoila się Hester

- Naturalnie. Ale nie przypuszczam, żeby odwiedziny u damy w średnim wieku, zamieszkałej w Knightsbridge, cymkolwiek mi groziły.

- Tak czy inaczej - przestrzegła Hester - ostatnie kilka dni minęło podejrzenie spokojne.

- Zaczyna ci się podobać awanturnicze życie, co? - rzucił z rozbawieniem Luke. Trochę się spieszył. Poinstruował pracowników, co mają robić tego dnia, podpisał jakieś dokumenty i spróbował się umówić na spotkania z kilkoma kolegami z innych ubezpieczalni. Z tego wszystkiego zapomniał, że powinien wyjść tylnymi drzwiami, a Hester spostrzegła to dopiero, kiedy usłyszała trzask drzwi frontowych.

Laurence siedział w kawiarence naprzeciwko domu brata. Widział, jak Luke wychodzi i zatrzymuje dorożkę. Wstał, rzucił szylinga na stół i pospiesznie wyszedł.

Hester uznała, że jest przewrażliwiona. Z postanowieniem,



że musi przestać się niepokoić, sięgnęła po gazetę. Leniwie przesuwając wzrokiem po rubryce towarzyskiej, natknęła się na informację, przy której zapomniała o całym świecie. Pod nekrologami przeczytała:

*3 czerwca zmarł na atak serca William Simpson, urzędnik państwowy z londyńskiego City. W nieutulonym żalu pozostawił Żonę i dwie córki.*

O mój Boże, pomyślała Hester, Caroline jest wdową. Dopiero teraz zaczną się prawdziwe kłopoty. Po zerwaniu zaręczyn z Luke'em Caroline miała nadzieję, że Laurence się z nią ożeni. Jednak młodszy Redbourn odmówił jej bez ogródek, a wtedy Caroline zamieniła się w fontannę łez i przez moment wydawało się, że się zupełnie załamała. W jej krótkim, pozbawionym zmartwień życiu nic nie przygotowało jej na podobną sytuację. Napisała do Luke'a kilka patetycznych, upstrzonych błędami ortograficznymi listów, błagając go o wybaczenie. Nie odpowiedział.

Potem napisała do Hester. Panna Redbourn potraktowała ją uprzejmie, ale stanowczo. Odpisała, że nie ma prawa ingerować w prywatne sprawy brata. W rzeczywistości była bardzo zadowolona z takiego rozwoju wypadków. Choć przygnębiała ją rozpacz Luke'a, to nie pragnęła dla niego takiej żony. Zawsze uważała, że Caroline nie jest warta jej brata.

Sześć miesięcy później Caroline wyszła za Williama Simpsona, mężczyznę prawie trzydzieści lat od niej starszego, bogatego i wystarczająco pozbawionego rozsądku, żeby do reszty zepsuć młodą żonę. Jedynym uczuciem Hester była wielka ulga.

Teraz Simpson nie żyje, a Caroline jest wdową. Hester miała

nadzieję, że dziewczyna nie zechce powrócić do Luke'a. Jej zdrada bardzo go zraniła, skoro do tej pory żadna inna kobieta nie zajęła jej miejsca. Możliwe, że w jego sercu nadal tli się jakieś uczucie do niej.

Hester zepchnęła kota z kolan i poszła napisać do wdowy oschłe kondolencje.

Podczas gdy Anna przepytowała madame Gontaut, Luke zasięgał języka wśród kolegów po fachu. Jadąc dorożką, wolno toczącą się w stronę Knightsbridge, rozmyślał nad tym, czego się dowiedział. Zgodnie z uzyskanymi danymi, Henry Ignatius przyjechał do Anglii z początkiem wybuchu rewolucji francuskiej, posługując się amerykańskim paszportem. Nie osiedlił się w Londynie, jak reszta imigrantów, tylko ruszył na północ, gdzie po zainwestowaniu w budowę kanałów, a później w przemysł ciężki, dorobił się fortuny. Szanowano go za to, że miał głowę do interesów.

- Do Londynu zaglądał rzadko - dodał informator. - Zakotwiczył się na północy. Gdzieś w okolicy Ironbridge, jak sądzę.

Wszystko to raczej nie pasowało do osoby kleryka imigranta i Luke zaczynał już wątpić, czy chodzi o tego samego człowieka, kiedy informator dodał:

- Plotka niosła, że był kaznodzieją, księdzem, czy kimś takim. Moim zdaniem, to mało prawdopodobne. Choć rzeczywiście cechowała go pewna surowość w obejściu... być może stąd te plotki. Zawsze na przykład pościł w piątki.

- Dziwne - oględnie rzucił Luke.

Nie miał pojęcia, jak powinien rozmawiać z panną le Vivier. Może powie, że przybywa przekazać uszanowania od siostrze-

nicy jednego ze swoich kolegów po fachu. Czy mógł mieć kiedykolwiek do czynienia z panem Ignatusem przy okazji spraw zawodowych? Wątpił, żeby panna le Vivier orientowała się w tym.

Queens Garden okazało się rzędem skromnych domków z wyszorowanymi frontowymi schodami i wypolerowanymi klamkami. Otworzyła mu schludna, niewysoka pokojówka; odebrała od niego wizytówkę.

Kilka minut później wprowadzono go do niewielkiego saloniku ze ścianami pomalowanymi na zielono. Powitała go drobna kobieta. Panna le Viveir wyglądała jak miniaturka. Miała około pięćdziesięciu lat, siwe włosy porządnie związane pod czepeczkiem; ubrana była w staromodną niebieską suknię w biały wzorek. Jasnoniebieskie oczy patrzyły na gościa nieco podejrzliwie.

- Pan Redbourn? - Jej angielski był bez zarzutu.

Luke natychmiast zdał sobie sprawę, że gospodyni jest zbyt inteligentna, żeby dać się zwieść wykrętnym tłumaczeniom. Musi powiedzieć prawdę - a przynajmniej jej część. Spróbował w skrócie zreferować swoją historię.

- Przybyłem tu jako przyjaciel rodziny panny de Cardonnel - zaczął. - Zastrzegam się, że mogę podążać mylnym tropem, więc gdyby się okazało, iż tak jest, z góry proszę o wybaczenie, że zabieram pani czas.

- Proszę, niech pan usiądzie, panie Redbourn - zaproponowała panna le Vivier. - Na siedząco będzie się panu podążało tym tropem o wiele wygodniej.

Luke uśmiechnął się.

- Zastanawiałem się, madame, czy pani wuj, pan Ignatius, nie nazywał się niegdyś Ignace?

- A gdyby tak było? - Panna le Vivier nie zdradzała oznak najmniejszego zdenerwowania.

- W takim razie to on pomagał panie de Cardonnel i jej rodzinie w otrzymaniu paszportów i w ucieczce z Francji w dziewięćdziesiątym trzecim roku.

- Aha - rzuciła panna le Vivier.

Luke zorientował się, że dama nie zamierza mu więcej pomóc.

- W tamtych czasach panna de Cardonnel była jeszcze dzieckiem, a jej ojciec, niestety, już nie żyje. Jeśli pani wuj i ojciec Ignace to ta sama osoba, w takim razie panna de Cardonnel pragnie przekazać mu podziękowania za pomoc w tamtych trudnych czasach.

- I to wszystko? Czy panna de Cardonnel znajduje się w finansowych tarapatach?

- Nie, madame - odparł chłodno Luke. To okropne, że starsza pani pomyślała, iż Anna zwraca się do niej z prośbą o pieniądze, zwłaszcza że ten Ignatius nie oddał szmaragdu prawowitemu właścicielowi. - Pannie de Cardonnel niczego nie brakuje. Mieszka z madame Bonnieux w Somers Town, gdzie wspólnie prowadzą niezłe prosperującą ciastkarnię.

- Panna de Cardonnel nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, o ile się nie mylę?

- Ukończy je w październiku.

- Mój wuj był skrytym człowiekiem - poinformowała gospodyni. Najwyraźniej przekonała się do Luke'a i zrezygnowała z rezerwy. - Rzadko go widywałam i bardzo niewiele mi mówił. Jednakże mogę potwierdzić, że ojciec Ignace to on, ale, jak to się przytrafiło wielu innym księżom, wydarzenia w Paryżu zachwiały jego wiarą.

- To były tragiczne czasy, to prawda. - Luke także potrafił mówić oględnie. Jeśli nawet w jego głosie pobrzmiwał sceptycyzm, to panna le Vivier nie pokazała po sobie, że cokolwiek zauważyła.

- Niemniej nazwisko de Cardonnel jest mi znane. Wuj wspominał coś o pewnym zobowiązaniu. O co chodziło, nie wiem. Pozostawił pannie de Cardonnel niewielki spadek, który ma jej zostać przekazany, kiedy ukończy dwadzieścia jeden lat. - Gospodyni patrzyła na gościa otwarcie i uprzejmie. Było oczywiste, że pan Hargreaves nie rozmawiał z nią o szmaragdzie.

- To bardzo miłe z jego strony. - Luke nieco się pogubił. Postanowił, że zanim powie coś więcej, najpierw przedyskutuje to z Anną. To ona musi zdecydować, czy chce dalej prowadzić tę sprawę. - Jestem szczęśliwy, że udało mi się ustalić tożsamość dobroczyńcy mojej młodej przyjaciółki - powiedział i wstał. - Byłoby mi bardzo miło, gdyby wyraziła pani zgodę na to, by panna de Cardonnel panią odwiedziła, byście mogły się poznać.

- Będę zachwycona. - Dama pociągnęła za dzwonek. - Miło mi było pana poznać. Mary, proszę odprowadzić pana Redbourna.

Luke ukłonił się i wyszedł. Wsiadł do oczekującej go dorożki.

- Ludgate Street.

Woźnica dotknął czapki.

Luke wracał do City pogrążony w rozmyślaniach. Panna le Vivier wywarła na nim jak najlepsze wrażenie. Jej lekka rezerwa nie wydała mu się czymś nieuprzejmym, a wręcz przeciwnie, czuł, że tej kobiecie można zaufać. To naturalne, że chciała zachować ostrożność, ale gdy zdecydowała się na otwartość, mówiła jasno i rzeczowo. Przyszło mu do głowy, że Anna także ją polubi. Uświadomił sobie, że myśli z nadzieją o tym, iż któregoś dnia panna de Cardonnel pozwoli mu zawieść się na Knightsbridge. Jednak nadal pozostawało wiele pytań, na które brakowało odpowiedzi. Informator z City

twierdził, że pan Ignatius był bardzo szczodrym i dość bogatym człowiekiem. Panna Le Vivier żyła w skromnych warunkach. Co więc jej wuj uczynił z resztą pieniędzy?

Dorożka, tocząca się Sloane Lane, skręciła w Knightsbridge. Gdy zwolniła przy Hyde Parku, nagle rozległ się huk wystrzału. Koń zarżał i dziko wierzgnął. Luke rzucił się na podłogę. Dwie kule rozbiły okno powozu, roztrzaskując je na kawałki.

Rozległy się okrzyki, potem następny wystrzał i zapadła cisza. Woźnica jakoś uspokoił konia. Luke podniósł się. Z jednej ręki, zranionej przez rozpryskujące się szkło, płynęła obficie krew. Ktoś gwałtownie otworzył drzwiczki.

- Jest pan cały?

Luke, oszołomiony, podniósł wzrok. Mężczyzna, najwyraźniej strażnik, odwrócił się i zawołał do kolegi.

- Mam tu rannego.

Natychmiast przygalopowała reszta strażników w szkarłatnych kurtkach.

- Zabierzcie go do szpitala - poradził jeden. Dorożka stała niemal na wprost szpitala St George.

- Chcesz go dobić? Ja lepiej się nim zajmę. - Mężczyzna odwrócił się do Luke'a, który sięgał po chusteczkę, by zatamować krwawienie. - Pułkownik Blackburn, Straż Miejska. Wracaliśmy właśnie do koszar, kiedy usłyszeliśmy strzały. Proszę mi pokazać obrażenia. - Pomógł Luke'owi wysiąść z powozu, zdjął z niego płaszcz i obejrzał go całego. - Kilka skaleczeń i zadrapań. Nie licząc ręki, nic poważnego.

- Może jednak szpital - zasugerował Luke.

- Nonsens, człowieku. Proszę. - Wyciągnął butelkę brandy, połowę wlał Luke'owi w gardło, resztą przemył ranę, którą następnie ostrożnie przewiązał czystą chusteczką. - Czy woźnica wie, dokąd pan jedzie?

Luke, lekko skołowany, zdołał tylko skinać głową.

- Dobrze. Hej tam, Thorn, jedź z panem. Dopilnuj, żeby dotarł na miejsce. Jones, weź konia Thorn. To zadziwiające, bandyci! I to w biały dzień!. - Zasalutował, wskoczył na konia i odjechał.

- Jacy tam bandyci? - wymamrotał Luke.

- A więc wróg osobisty? - zainteresował się Thorn. - Następnym razem niech pan nie wybiera pstrego konia. Łatwo go dostrzec. I niech pan wsiada w drugą dorożkę, nie w pierwszą.

- Wiodę bardzo spokojny żywot. - Luke parsknął śmiechem.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy oglądanie konia ani powozu.

- Tego się na ogół nie robi, to prawda - zgodził się Thorn.

- Ale w wojsku człowiek szybko się uczy. Nie popełnia się dwa razy tego samego błędu.

- Nie jestem typem bohatera - rzucił Luke. Wszystko, co zrobił, to padł na podłogę.

- Bohatera! Kto wymaga, żeby pan był bohaterem? Ostatniemu, jakiego znałem, armatnia kula urwała głowę.

- Nie spisałem się najlepiej.

- Nonsens, skrył się pan, a tak uczyniłby każdy rozsądny człowiek. No i najważniejsze, że pan żyje. - Thorn zamilkł i popatrzył na Luke'a z sympatią. - Chciałby pan mieć ładną historijkę do opowiedzenia damom, co?

## 7

Helen siedziała w saloniku zarezerwowanym tylko dla pań wynajmujących pokoje. Nie był duży i raczej przeładowany małymi stoliczkami i ozdóbkami, bo właścicielka lubiła te cudęńka, jak je nazywała, a liczni siostrzeńcy i siostrzenice hojnie obdarowywali ją prezentami w postaci ślicznych porcelanowych figurek i innych, często dziwacznych, bibelotów. Tego ranka jedna z pokojówek przysłała do Helen pomóc jej umyć włosy - i teraz Helen z zadowoleniem rozsiadła się na sofie, opierając na niej stopy i układając się do drzemki.

Nie miała pieniędzy na lekarza, ale Peggy, która w teatrze napatrzyła się na różnego rodzaju wypadki, stwierdziła, że rany dobrze się goją. Wprawdzie Helen z ich powodu nie mogła wygodnie spać, jednak nic nie wskazywało na to, by kopniaki Laurence'a przyczyniły się do powstania jakichś poważniejszych obrażeń. Pęknięta warga już się zasklepiła, podobnie oko, wcześniej prawie przymknięte, teraz wracało do normalnego kształtu.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili w pokoju pojawiła się gospodyni, niemal pozbawiona tchu z podekscytowania.



- Jakiś dżentelmen chce się z panią widzieć, panienko - zawiadomiła. - Prawdziwy arystokrata, sądząc po wymowie.  
- Podała wizytówkę.

Helen spojrzała na kartkę i pobladła. Sir Robert Broxhead!  
Co powinna zrobić?

- Nie musi go panienka przyjmować, jeśli nie czuje się dobrze. - Właścicielka opowiadała wszystkim znajomym, jak to zbesztła Laurence'a, choć w rzeczywistości jedynie obrzuciła wychodzącego brutala zestawem cichych przekleństw. Teraz wyobrażała sobie, że potrząsając głową, powie sir Robertowi: „Panna Clarkson jest niedysponowana i prosi o pozostawienie jej w spokoju”.

Helen zarzuciła na ramię szal, jakby się pod nim chroniła. Czy zjawił się tu, żeby ją aresztować za oszustwo? Czy jest do tego zdolny?

- Czy ten pan jest sam? - zapytała.

- O tak, panienko.

- W takim razie, proszę go wprowadzić. - Nie było sensu odwlekać tej wizyty. Sir Robert i tak zna już jej prawdziwe nazwisko i miejsce zamieszkania. Zresztą uciekać też nie mogła.

Wszedł gość, trochę zasapany wspinaczką po schodach. Przez chwilę stał tylko i przyglądał się Helen, która bawiła się frędzlami szala. Tylko raz zerknęła na przybysza spod rzęs, kiedy wchodził, stwierdzając z ulgą, że nie wygląda na zaginionego.

- To brutal - odezwał się sir Robert - a nie żaden dżentelmen. - W tej chwili uświadomił sobie, jak dalece został oszukany. To jasne, że Redbourn zjawił się w jaskini hazardu z zamiarem oszukania go. Wiedział o jego słabości i postanowił to wykorzystać.

- Obawiam się, że i ze mnie żadna dama - odparła Helen,

siłąc się na uśmiech. Nie spodziewała się współczucia. - Bardzo mi przykro, sir Robercie,

- Dlaczego pani to zrobiła? - Gość usiadł ciężko na małym krześle, które złowieszczo zaskrzypiało.

- On... on znał pewne moje tajemnice...

- Szantaż, tak? Cóż, ja nie mam prawa pani obwiniać. To samo zrobił ze mną.

W oczach Helen zaszklily się łzy ulgi. Nie zasługiwała na taką uprzejmość ze strony tego człowieka.

- Powinam była postać go do diabła! - rzuciła porywczo.

Sir Robert zamrugał.

- Tak jak i ja, moja droga. Obydwoje zachowaliśmy się jak para idiotów. - Poklepał Helen po dłoni. Nastąpiła chwila pełnej współczucia ciszy.

- Jak mnie pan odnalazł?

Sir Robert streścił wydarzenia.

Mózg Helen pracował szybko. Luke Redbourn nie jest głupcem. Celowo podał jej nazwisko i adres sir Robertowi. A ten czym prędzej przyszedł ją odwiedzić. Trochę jaśniejszym wzrokiem spojrzała na swoją przyszłość.

- Przepraszam za mój stan - powiedziała. - Gdyby zechciał pan odwiedzić mnie za kilka tygodni, z pewnością będę w lepszej formie.

Sir Robert westchnął ciężko.

- Jeśli mi się uda pozbyć tego przekłętą długi, z wielką radością poznam panią bliżej, moja droga. Niestety, mam związane ręce. - Po tych słowach Helen i jej gość podzielili się zgodnymi opiniami na temat Laurence'a Redbourn. W końcu gość wyjął kieszonkowy zegarek i spojrzał na tarczę. - Czas na mnie. - Wstał, ze staroświecką galanterią pocałował aktorkę w rękę i wyszedł. Słyszała, że się potknął, schodząc po wąskich schodach.

Pół godziny później nadeszła przesyłka z pozdrowieniami od sir Roberta - wielki kosz pełen owoców.

Nadal było zbyt wcześnie, żeby wstać, ale światło dnia wypędzało już nocne cienie z pokoju Anny. Z powodów, których nie rozumiała, czuła się bardzo przygnębiona. Dostała to, czego, jak się jej wydawało, pragnęła. Znowu mieszka z ukochaną ciocią Marie, ma zajęcie i wróciła do swojej ukochanej sypialni pełnej ulubionych przedmiotów. Kiedy mieszkała na Brook Street, najczęściej wracała myślami właśnie do tego pokoju. Anna położyła się na plecach i spojrzała na śliczną sufitową rozetę. W rogu na blacie kredensu leżała szmaciana lalka, którą ciocia Marie zrobiła dla niej w zamian za księżniczkę Clothilde. Lalka miała włosy z brązowej włóczki, oczy w kształcie orzechów; rzęsy były ze starannie sklejonych ptasich piór, a tęczęwki z maleńkich guziczków przypominających pancerz żółwia. Do tego sukienka wycięta z jedwabnej sukni, którą Anna miała na sobie w dzień aresztowania matki. Kukiełka stanowiła jej jedyną pamiątkę z tamtych strasznych czasów.

Zazwyczaj Annie poprawiał się nastrój, kiedy przyglądała się lalce, ale tym razem to nie pomogło. Nagle, nie wiadomo dlaczego, właśnie wtedy, kiedy sądziła, że jest już bezpieczna, poczuła lęk. Go czeka ją w przyszłości? Dokąd zmierza? Oczywiście będzie pomagała cioci Marie w sklepie. A potem co? Czy to wszystko?

Teraz, kiedy na stałe zamieszkała w Somers Town, zaczęto ją zapraszać na różnorodne przyjęcia wydawane przez francuskich imigrantów, zazwyczaj osoby z pokolenia ojca. Krótkotrwały pokój w Amiens pomógł niektórym z uciekinierów

przełknąć dumę i wrócić do Francji, nawet jeśli ceną było uznanie Napoleona Bonaparte za Pierwszego Konsula. Wicehrabia de Cardonnel znalazł się w gronie osób, które zdecydowały się zostać. Po co wracać? Jego *chateau* został splądrowany i spalony; skonfiskowano mu wszystko, co posiadał. Do czego wracać? We Francji nie miał żadnego źródła wsparcia ani zarobku, musiałby więc ugiąć kolana przed uzurpatorem z Korsyki z nadzieją, że uda mu się odzyskać przynajmniej część majątku. W Anglii natomiast była jego droga Marie i dobrze prosperująca firma.

W Brytanii pozostali jedynie zatwardziali rojaliści, którzy, na ile tylko pozwalały im środki, starali się odtworzyć przyjęcia przedrewolucyjnego Paryża. Dyskusje, poważne dysputy na temat filozofii i sztuki - w przeciwieństwie do rozmów Anglików o koniach i pogodzie. Improwizowane koncerty i recitale - wszystko w otoczce wytwornej francuszczyzny. Goście przynosili bądź świece, bądź polana do kominka, a na odchodnym każdy wrzucał dyskretnie do małej wazy stojącej na kominku szylinga lub dwa, żeby zwrócić gospodarzowi koszty przyjęcia.

Anna uczestniczyła w takim przyjęciu w ostatnią sobotę.

- Ach, mademoiselle - wzdychał pewien młody hrabia. - Czy kiedykolwiek wrócimy do ojczyzny?

- A czy Anglia nie stała się jeszcze pana domem? - zapytała Anna. Hrabia był rok lub dwa lata starszy od niej; co mógł pamiętać z Francji?

- Nigdy! - Młodzieniec wzdrygnął się wymownie. - Ta kuchnia! Ta wstrętna pogoda!

- Jednak są tu rzeczy godne podziwu, monsieur.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Anglicy są bardziej egalitarni. Klasy społeczne nie są tu

tak sztywno rozdzielone. Każdy człowiek z wykształceniem i inteligencją może liczyć na podniesienie pozycji społecznej.

- I pani się to podoba? *Tiens!* Mamy tu jakobitkę. - Odwrócił się do madame de Saisseval. - Mademoiselle de Cardonnel nie ma szacunku dla urodzenia.

- Urodzenie to nie wszystko - dumnie odparła Anna. Nagle pomyślała o Luke'u Redbournie, przedsiębiorcy z City. W Paryżu jej klasa społeczna z pewnością by go nie zaakceptowała. I kto byłby przegrany? To oczywiste, że arystokracja powinna korzystać z inteligencji wszystkich obywateli.

- Mademoiselle była jeszcze dzieckiem, kiedy tu przybyła - taktownie wtrąciła madame de Saisseval. Wiedziała, że ojciec Anny żył pod jednym dachem z kochanką, która na dodatek prowadziła w jego domu cukiernię! Biedne dziecko musiało wysłuchiwać Bóg wie jakich nauk tej strasznej kobiety.

- Nie wolno ci się wyrzekać swojego urodzenia, *ma chere* - upomniała Annę.

- Nie wyrzekam się tego, kim jestem, madame - odparła Anna. - Ale najważniejszy jest dzień dzisiejszy.

- Ach - odrzekła madame de Saisseval - może masz rację, że my wciąż żyjemy przeszłością.

- I jeszcze ten Bonaparte, ten samozwańczy imperator! - zawołał hrabia. - Kto wie, kiedy będziemy mogli wrócić do ojczyzny? Ja osobiści nigdy go nie uznam!

Anna odsunęła się. Nie widziała dużej różnicy między autokratyzmem króla Ludwika a Napoleona. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie musiała zostać na przyjęciu, kiedy tuż przed nią stanął postawny młody mężczyzna. Wydał się jej znajomy, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd. Z pewnością nie należał do rodzin imigrantów, z którymi utrzymywała kontakty.

- Widzę, że mnie pani nie poznaje
- Muszę wyznać, monsieur, że nie.
- Nic dziwnego. Ostatni raz spotkaliśmy się przed trzynastu, czternastu laty.

Anna zdumiała się.

- Wielkie nieba! Pan jesteś... nie to niemożliwe, pan jesteś moim kuzynem Bertrandem?

Młody mężczyzna ukłonił się.

- A obecnie, po śmierci pani szacownego ojca, wicehrabią de Cardonnel.

- Ale... pański ojciec, pańscy bracia?

- Ojciec został stracony w dziewięćdziesiątym czwartym, a obydwaj bracia nie żyją

- Przykro mi, monsieur. - Anna zebrała myśli. - Teraz sobie przypominam. Tata mówił mi o pańskim ojcu. Ale bracia... To bardzo smutne. Mogę zapytać, jak to się stało?

- Zaciągnęli się do armii księcia Brunswick. Auguste zginął w ostatnim roku, walcząc przeciwko Francuzom, a Marcel zmarł od ran pod Eylau. Ja przybyłem do Anglii z la Ferronays.

Po podzieleniu się rodzinnymi nowinkami dwójce krewnych nie pozostało wiele więcej do powiedzenia. Bertrand był powolnym, pozbawionym wyobraźni młodzieńcem, bardzo przejętym swoją nową pozycją wicehrabiego de Cardonnel i mało zainteresowanym trywialnymi, jego zdaniem, aspektami życia Anny. Ona zaś ucieszyła się, że Bertrand przeżył, że linia Cardonnelów nie zginęła wraz ze śmiercią ojca, ale to wszystko.

Rozstali się, przekazując sobie wyrazy szacunku i konwencjonalne życzenie zobaczenia się ponownie. Bertrand nie wyjawiał Annie, że jego rodzina ma w Szwajcarii małą posiadłość i że finansowo nowy wicehrabia jest w znacznie lepszej sytuacji niż wielu jego pobratymców. Stać go było na zaofe-

rowanie kuzynce małej pensyjki, postanowił jednak milczeć; pojawienie się na scenie ubogiej krewnej mogłoby mu popsuć plany na przyszłość. Anna z ulgą przyjęła jego brak zainteresowania. Już kilkakrotnie spotkała się z wyrazami współczucia z powodu faktu, że musi mieszkać z kochanką ojca: „Obawiam się, kochana mademoiselle, że to obniża twoje szanse na dobre zamażpójście” - stwierdziła madame de Gontaut. Anna wcale nie pragnęła, żeby nowa głowa rodziny wtrącała się w jej prywatne życie.

Także u Broxheadów nie czuła się na miejscu. Ich codzienna egzystencja wydawała się Annie pozbawiona sensu i dość irytująca. Nikt z nich nie miał żadnych zainteresowań, a kobiety w dodatku zobowiązane były do przestrzegania sztywnej etykiety. Lista rzeczy, których nie wypadało jej robić, zdawała się nie mieć końca. Nie wolno jej było samej wychodzić. Pewne miejsca były całkowicie wykluczone. Anna nie miała szczególnej ochoty zostać patronką okolicznych domów opieki, jak jej ciotka. Choć z drugiej strony musiała przyznać, że zaangażowanie lady Broxhead w rozliczne akcje dobroczynne, zakrawające wprawdzie na wścibstwo i wtykanie nosa w życie innych ludzi, stanowiło dla ciotki jakiś sposób na zapełnienie pustych dni czymś pożytecznym.

Dobrze wychowane angielskie panny, jak powiedziano Annie, nie mają własnego zdania. Uśmiechają się słodko i grzecznie zachowują. Tańczą, jeżdżą konno, ale niewiele ponad to. Lady Broxhead złażała raz Julię za zbyt natarczywe upieranie się przy swoim zdaniu.

- Popieramy wigów, kochanie - stwierdziła stanowczo. - To wszystko, co powinnaś wiedzieć.

- Dlaczego? - mruknęła Julia.

- Czy damy nie mają prawa mieć żadnego zdania? - zainteresowała się Anna. Jacy dziwni są ci Anglicy.

- Naturalnie, że mają, ale nie wolno im go głośno wyrażać. I oczywiście zdanie damy musi być zgodne ze zdaniem męża lub ojca, jeśli nie jest mężatką.

Później Julia powiedziała do Anny:

- Wątpię, by papa kiedykolwiek miał jakieś poglądy dotyczące polityki.

- We Francji kobiety szły na szafot za przekonania polityczne - odparła Anna.

- W takim razie może bezpieczniej jest jednak nie mieć żadnych poglądów - uznała kuzynka.

Anna wierciła się na łożku. Na dworze było coraz jaśniej. Słyszała, że ciocia Marie kręci się już po swoim pokoju. Wkrótce przyjdzie Francois i rozpocznie się następny dzień pracy. Trzeba wstać i przygotować śniadanie. Nie ma sensu dłużej roztrząsać tych spraw. Życie, jak często mawiał papa, jest takie, jakim go stworzysz: po prostu trzeba się starać zrobić najlepszy użytek z tego, co wpadnie ci w ręce. To, co powinna uczynić, a co ciągle odkładała, to spotkać się z księdzem Carronem w sprawie zaświadczenia o jej tożsamości dla Hargreavesa, a wtedy może prawnik podejmie jakieś działania w celu odszukania szmaragdu.

Luke po napadzie czuł się bardzo roztrzęsiony, ale starał się nie okazywać tego przy Hester. Thorn podejrzewał go o chęć zaimponowania jakiejś damie, nie o to jednak chodziło. Dręczyła go świadomość, że własny brat chciał pozbawić go życia. Luke od dawna zdawał sobie sprawę, że Laurence go nienawidzi, ale żeby do tego stopnia? Nie potrafił się z tym pogodzić.



- Nic mi się nie stało - zapewnił, widząc przerażenie siostry. - Kilka zadrapań, to wszystko.

- Walter! Biegnij po lekarza!

- Przestań robić zamieszanie! - krzyknął. - Rany boskie, nic się przecież nie stało. Lepiej zarządzilibyś kąpiel dla mnie.

Luke zawsze zwracał się do siostry w uprzejmy sposób i Hester bardziej zaszokował jego wybuch niż krew na ubraniu. Kiedy wyszedł z pokoju, powiedziała do Waltera:

- Dowiedz się, co się wydarzyło. Chcę usłyszeć prawdę, a nie te bajeczki, które opowiada Luke.

- Proszę się nie martwić, panno Hester. Wyciągnę to z niego.

Później, przy kolacji, brat przeprosił ją za wybuch złości. Wyglądał już lepiej, nawet dla czujnej i troskliwej Hester. Dłoń miał zabandażowaną, a po starciu krwi rozliczne rany po odłamkach szkła okazały się mniej poważne, niż początkowo podejrzewała. Bolała go prawa ręka, więc pozwolił, by siostra pokroiła mu mięso na mniejsze porcje.

- Nic nie szkodzi. Byłeś zdenerwowany - stwierdziła. - Naprawdę uważasz, że to sprawka zwykłych bandytów? - (Odbyła już krótką rozmowę z Walterem.)

- Czasami zasadzają się przy Hyde Parku.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - surowo zauważyła Hester

- W porządku. Nie wiem. - Luke odłożył widelec. - Jeśli mam wybierać między bandytami a własnym bratem, który chciał mnie zamordować, wybieram tych pierwszych.

Hester lekko pobladła.

- Z pewnością nie chciał cię zamordować.

- Napastnik miał pistolet, Hester. - Luke był bardzo wzburzony. Nadal nie potrafił pogodzić się z myślą, że Laurence chciał go zabić.

Siostra skrzywiła się. Myśl, że brat może użyć pistoletu przeciwko bratu, przerażała ją jeszcze bardziej. Hester nie miała dobrego kontaktu z matką, a ojciec zawsze pozostawał nieco odległą postacią, więc bracia tym bardziej wiele dla niej znaczyli. Choć z całego serca kochała Luke'a, to jednak jej ukochanym braciszkiem był zawsze Laurence, ulubieniec rodziny.

- Czy sądzisz, że Laurence może zaatakować pannę de Cardonnel? - wyszeptała w końcu.

- Wątpię, żeby to uczynił. Ostatecznie, to z nią chce się ożenić.

Hester zaniepokoiła się.

- Może porwać jej ciotkę albo kogoś z Broxheadów.

- Postąpiłby niemądrze, porywając któregoś z nich, bo socjeta dba o swoich członków. Poza tym, jeśli nic nie wyjdzie z jego planów, przynajmniej zostanie mu te dziesięć tysięcy funtów od sir Roberta. Byłby głupi, ryzykując utratę pieniędzy, wzbudzając podejrzenie władz. Jednak madame Bonnieux to zupełnie inna sprawa. Jej zniknięcie prawdopodobnie nikogo nie zainteresuje.

- To co możemy zrobić?

- Poślę jutro do Somers Town Waltera i Jeremy'ego Jacksona. Sprawdzą, co się da zrobić dla zapewnienia im bezpieczeństwa. - Jackson był człowiekiem do specjalnych poruczeń, którego od czasu do czasu wynajmowano do prac domowych.

- Dzięki Bogu, że ojciec tego nie dożył - z westchnieniem mruknęła Hester. - Wiązał z Laurence'em takie nadzieje.

- On mnie nienawidzi - smutno zauważył Luke. Przypomniawsobie dzień urodzin brata; sam miał wtedy siedem lat. Następnego dnia pobiegł do szkoły i z dumą obwieścił, że urodził mu się maleńki braciszek.

Zapadła cisza, Rodzeństwo starało się zapanować nad przykrymi uczuciami. Potem Hester nagle sobie przypomniała:

- Caroline! - Przyłożyła dłoń do policzka. - Och! Przykro mi, że dopiero teraz o tym mówię. Zupełnie zapomniałam. Powinieneś to zobaczyć. - Wstała, podeszła do biurka pod oknem i wzięła z niego złożony egzemplarz porannej gazety. Podała ją bratu, wskazując na nekrolog notabla Simpsona.

Luke przeczytał go w milczeniu. Hester, uważnie przyglądając się bratu, starała się odgadnąć jego uczucia.

- Oczywiście musisz napisać do niej list z kondolencjami - odezwał się w końcu.

- Już to uczyniłam. Posłałam kondolencje od nas obojga.

- To dobrze.

Znowu zapadła cisza, tylko że teraz Hester gorączkowo szukała tematu do rozmowy.

- Będzie bogatą wdową - wydukała wreszcie.

- Prawdopodobnie - zgodził się Luke. - Caroline się to spodoba.

Po raz pierwszy od zerwania zaręczyn wymówił jej imię, ale Hester nie potrafiła stwierdzić, czy wypowiedział je z zaangażowaniem, czy obojętnie.

**Anna** poinformowała Luke'a, że odwiedzi księdza, Carrona, i poprosi go, by potwierdził jej tożsamość przed panem Hargreavesem. Uczyniła to w niedzielę po mszy. Ksiądz z zaciekawieniem słuchał opowieści o szmaragdzie, choć z zatraskaniem przyjął wieść o utracie wiary przez ojca Ignace'a.

- Niestety, moja droga Anno - westchnął. - Wszyscy jesteśmy słabi. Także ojciec Ignace. Ale nie wiemy, jak był kuszony.

Anna nie odpowiedziała.

W końcu ksiądz otrząsnął się z zadumy.

- Oczywiście, moja droga. Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Ustal termin z moim sekretarzem i postaramy się to wyjaśnić.

Ksiądz był człowiekiem szybkim i zaradnym, i nim Anna się spostrzegła, poszli z wizytą do urzędnika, przed którym potwierdził tożsamość swojej byłej uczennicy. Anna wiedziała, że Luke zamierza odwiedzić pannę le Vivier. Postanowiła, że odda mu zaświadczenie już po tej wizycie, kiedy przyjedzie do niej, żeby zdać relację, jak zresztą przyrzekł. Kiedy Walter wraz z Jeremym Jacksonem pojawili się na Phoenix Street z wieściami o napadzie na Luke'a, Anna i madame Bonnieux były tak przerażone, że dziewczyna aż pobladła.

- Mam nadzieję, że nie jest ranny? - zapytała z przestraszeniem. Czowała się ogromnie dziwnie, tak jakby nagle w środku zrobiła jej się ziejąca dziura.

- Tylko kilka zadrapań, panienko. Nie trzeba się martwić. Anna usiadła.

- Pan chciał, żebyśmy sprawdzili zamki i okiennice, pani Bonny - oznajmił Walter. „Madame Bonnieux” było dla niego, Anglika, nie do przełknięcia. „Pani Bonny” brzmiało bardziej z angielska; zresztą pasuje do niej, pomyślał Walter, któremu podobała się pulchność Marie i jej niebieskie oczy. - Pomyślał chwilę i dodał: - I macie się, panie, nie sprzeciwiać.

Marie roześmiała się.

- Jesteśmy wdzięczne monsieur Redbournowi za troskę.

Jeremy Jackson wyciągnął zza ucha ołówek i poprosił, żeby Marie oprowadziła go po domu.

- Od góry do dołu, powiedział pan. - Miał ze sobą podręczną

torbę, w której między innymi przedmiotami znajdowała się linijka i gruby notes.

Mierzenie zajęło mu godzinę.

- Potrzebujecie porządnych okiennic od frontu i z tyłu domu - oświadczył z ponurą satysfakcją. - Żelazne rygle. Te, które macie, są drewniane. Trzeba naprawić okiennice w sklepie. Nowe zamki na drzwiach frontowych i tylnych, bo te staranuje nawet mysz. I tłuczone szkło na ogrodowym parkanie. - Im dłuższa stawała się lista, tym bardziej Jackson się ożywił

- Można by pomyśleć, że kryjemy tu królewskie klejnoty - rzuciła Anna.

- Ale czy nas na to wszystko stać? - zmartwiła się madame Bonnieux.

- Proszę się tym nie przejmować - uspokoił ją Walter. - Pan zapłaci. W tej kwestii też nie wolno wam się sprzeciwiać.

- Napijcie się kawy przed wyjściem? - zaproponowała Marie. - Zostało kilka słodkich bułeczek.

- Jeśli to te małe, to są wyśmienite - ucieszył się Walter, zasiadając ochoczo za stołem.

Jackson się zawahał. Nie był pewien, czy wypada mu przebywać w towarzystwie dwóch dam.

- Proszę usiąść, monsieur Jackson - zachęciła go madame Bonnieux, wyjmując z kredensu kawę i wsypując ziarna do młynka.

To Francuzi, pomyślał Jackson. Czy to nie oni właśnie uważają, że wszyscy ludzie są równi i dlatego ścieli głowy królowi i królowej? Usiadł.

Kiedy obaj służący gotowi już byli do wyjścia, Anna wstydliwie podała Walterowi liścik.

- Dla pana Redbourn. Obydwie życzymy mu szybkiego powrotu do zdrowia. - Do liściku dołączyła także zaświadczenie

podpisane przez księdza Carrona, potwierdzające jej tożsamość. Teraz, po napadzie na Luke'a, szybkie rozwiązanie zagadki stało się palącą kwestią.

Jeremy Jackson wrócił na Phoenix Street jeszcze tego samego wieczoru z koniem ciągnącym wózek wypełniony różnorodnym żelastwem i zamkami, torbą z cementem, kawałkami drewna i kilkoma koszami z tłuczonym szkłem.

- Co pomyślą sąsiedzi? - zapytała Marie.

- Mówisz jak lady Broxhead! - oburzyła się Anna.

- Ale co oni sobie pomyślą? Jutro cała okolica będzie o nas mówiła.

Dziewczyna zastanowiła się.

- Powiemy, że to polecenie sir Roberta - rzuciła w końcu.

- Ale po co miałyby kazać robić coś takiego?

- Same się nad tym zastanawiamy - szybko odpowiedziała Anna. - Może to jakieś nowe angielskie dziwactwo?

Marie roześmiała się.

Laurence krążył po swoim pokoju przy Charles Street i przeklinał. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak sfrustrowany jak teraz i nie mógł tego znieść. Przeklęty kraj, w którym wszyscy zawsze są przeciwko niemu. Ojciec zawsze wolał Luke'a, stary Carr poskapił mu kilku nędznych setek, a głupiotka Caroline stchórzyła, kiedy zostali przyłapani. Gdyby trzymała język za zębami, nic by się nie stało i może później mógłby się jeszcze nacieszyć jej wdziękami. Ale ta głupia geś naprawdę sądziła, że on się z nią ożeni!

Potem ta francuska dziewczka tak go zawiodła. Na dodatek udało jej się uciec - najpewniej przekupiła tę niechlujną dziewczuchę, pomocnicę właścicielki domu. Szkoda, że nie

zgwałcił Anny, kiedy miał okazję. Wtedy byłaby bardziej potulna. A ci idioci, których wynajął! Zdołali tylko wybić okno dorożki, a szacowny braciszek uszedł z napadu bez szwanku.

Altruizm to pojęcie, którego Laurence nigdy nie starał się zrozumieć: jeśli ktoś nie myśli o sobie, to jest głupcem. Świat to twarde miejsce, i jeśli nie znajdujesz się na szczycie, to najbardziej prawdopodobne, że skończysz stratowany pod nogami innych. Nigdy nie przejmował się zmartwieniami i krzywdami, jakie wyrządzał pobratymcom.

Teraz też współczuł jedynie sobie. Luke żyje wygodnie, myślał z odrazą. Jest wart co najmniej tysiąc rocznie. W handlu towarami istnieją liczne okazje do defraudacji i oszustw. Gdyby tylko brat miał tyle rozumu, żeby je w ogóle dostrzec. Jeśliby spotkał go teraz jakiś nieszczęśliwy wypadek, nikt nie byłby mniej zmartwiony niż Laurence. Poszedłby do Hester i wypłakał się na jej ramieniu. A wtedy ona pozwoliłaby mu zostać - Laurence czuł, że może polegać na cikliwym sercu siostry - i w krótkim czasie wyciągnąłby z interesu brata tyle, ile tylko by się dało. Aż go palce swędziały, żeby się dobrać do kasy Luke'a. Ale ci przekłęci idioci pozwolili mu uciec tylko z kilkoma zadrapaniami!

Teraz trzeba zaczynać wszystko od nowa. Musi odnaleźć pannę de Cardonnel, tylko tym razem nie będzie fuszerki. Dzięki sir Robertowi mniej więcej wie, gdzie szukać. Somers Town to nie jest zbyt wykwinna okolica i służba raczej nie podniesie alarmu. To nie będzie trudne zadanie.

W tej samej chwili do drzwi zapukała pokojówka. Przyniosła gazetę z poprzedniego dnia i butelkę brandy.

Laurence odkorkował ją i upił łyk.

- Wynoś się.
- Sir, proszę, należy się trzy gwinee i sześć pensów.

- Udław się.

- Proszę, sir. - Dziewczyna cała się trzęsła. - Pani mówi, że zalega pan za dwa tygodnie, i pyta, kiedy pan zapłaci.

Laurence podniósł starą opróżnioną butelkę i rzucił nią w dziewczynę. Trafił ją w ramię. Służąca uciekła, krzycząc z bólu. Laurence roześmiał się i rozłożył gazetę.

Po chwili uważnie wpatrywał się w jeden urywek tekstu. A więc stary Simpson kopnął w kalendarz, ha? Pewnie był bardzo bogaty. Caroline ma teraz jakieś dwadzieścia cztery lata. Gorąca sztuka, jeśli pamięć go nie zawodzi. Kłopot z bogatymi wdowami polega na tym, że testament mężów wszystko bardzo gmatwa. No, ale...

Laurence upił następny łyk brandy i pogрузzył się w rozmyślniach.

Wiatr łagodnie poruszał zasłonami w otwartym oknie ślicznego saloniku w Cheapside, tuż naprzeciwko kościoła pod wezwaniem St Mary le Bow. W pokoju siedziała Caroline i otwierała listy wąskim nożem do papieru, oprawionym w rączkę z kości słoniowej. Same kondolencje, w tym kilka, na szczęście, od kolegów męża, notabli, którzy zapewne nie będą mieli nic przeciwko utrzymywaniu z nią bliższych kontaktów, kiedy już minie roczna żałoba. Pochyliła lekko głowę, podziwiając swoje odbicie w lustrze. Szczupła figura, jasnozłote włosy, wspaniale kontrastujące z czarną suknią. Caroline nie chciała nosić krepy, choć matową fakturę tego materiału uważano za najbardziej stosowną na pierwsze dni żałoby. Mąż nie życzyłby sobie tego, mówiła przyjaciółom, unosząc do oczu róg koronkowej chusteczki. Doskonale wiedziała, że czarny jedwab, skrojony według najnowszej mody, wspaniale podkreśla jej jasną karnację.



Naturalnie żałowała kochanego Williama. Wyrozumiały i hojny mąż, choć wiele starszy, niezwykle jej odpowiadał - mimo że czasami tęskniła za zabawą i seksem. Ten przystojny urzędnik w święta Bożego Narodzenia na przykład, który... Caroline pospiesznie odgoniła od siebie wspomnienie. W końcu tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Zresztą kilka skradzionych pocałunków to nic strasznego.

Zatopiona w rozmyślaniach otworzyła następny list i spojrzała na podpis: Hester Redbourn. Wyprostowała się. *Brat dołącza się do wyrazów żalu.* Piękne usta Caroline zadrżały. Luke mógł napisać do niej osobiście! Czyżby jeszcze jej nie wybaczył? Była młoda i głupiutka, a Laurence taki napastliwy i przekonujący. Luke powinien jej wybaczyć.

Wiodło mu się teraz bardzo dobrze. Daj mąż mówił o Luke'u z szacunkiem, jak o kimś, kim warto się zainteresować.

- Ten młody Redbourn ma głowę do interesów - mówił. - Daleko zajdzie.

O dziwo, stateczny charakter Luke'a, który wtedy, gdy była siedemnastolatką, wydawał jej się nudny i prozaiczny, teraz nabrał atrakcyjności. Mężczyzna opanowany, dobrze zarabiający, może utrzymać żonę na wysokim poziomie. Notabl Simpson zostawił po cztery tysiące funtów dla ich dwóch córek i dla Caroline, nie licząc wdowiego spadku w kwocie trzech tysięcy funtów, co razem dawało około pięciuset funtów rocznie. Jest młoda, atrakcyjną wdową z niczego sobie majątkiem. Kiedy skończy się rok żałoby, rozejrzy się.

Do tego czasu niewiele może zdziałać, ale nie zaszkodzi złożyć wizytę drogiej Hester.

Życie na Phoenix Street przebiegało pod znakiem intensywnej pracy. Francois, do tej pory przychodzący tylko z rana do rozpalenia pieców i wykonywania cięższych prac, teraz został wynajęty na cały dzień. Anna i madame Bonnieux czuły się zobowiązane wytłumaczyć mu jakoś zainstalowanie nowych zamków i rygli.

- Mademoiselle de Cardonnel jest ścigana przez hultajskiego brata monsieur Redbourn - powiedziały.

Francois przyrzekł mieć oczy i uszy otwarte. Wcale się też nie zdziwił, bo już kilkakrotnie napadł na niego gang angielskich wyrostków, którzy uważali, że dokuczanie „żabojadowi” to dobra rozrywka. Francois nie miał budowy atlety i sprawiał wrażenie łatwego łupu, ale był zwinny i zaskakująco silny. Kiedy już rozbił kilka głów o kocie łby i wybił parę zębów, gang zostawił go w spokoju i zajął się poszukiwaniem łatwiejszego celu zaczepki.

- Proszę się nie martwić, madame - pocieszał Marie. - Rozpuszczę wici. Mademoiselle Anna będzie tu bezpieczna.

Czy to z powodu opieki Francois, czy też dlatego, że Laurence stracił zainteresowanie Anną, dni mijały im spokojnie. Anna była tu zadomowiona i szczęśliwa. Nadszedł krótki listecik od Hester z podziękowaniami za życzenia powrotu do zdrowia dla brata: *Prosi o wybaczenie, że nie odpisuje osobiście* - pisała Hester - *ale nadal jeszcze nie może się posługiwać prawą dłońią*. Anna uznała w duchu, że nie ma to dla niej większego znaczenia - przede wszystkim cieszyła się, że Luke jest cały i zdrowy.

Jednak nie przestała się o niego martwić.

- Ciekawa jestem, jak się czuje monsieur Luke? - powiedziała pewnego wieczoru przy kolacji, kilka dni po otrzymaniu listeczku. - Od czasu listu pani Redbourn nie nadeszły więcej

żadne wieści. Chciała, żeby jej głos brzmiał obojętnie, ale z niezadowolaniem uświadomiła sobie, że się rumieni.

- Jestem pewna, że by nas powiadomili, gdyby poważnie zachorował - odparła Marie. - Podejrzewam, że odrabia zaległości w pracy. - Nie słuchała Anny uważnie. Jej nowe truskawkowe ciasteczka sprzedały się w błyskawicznym tempie i zastanawiała się, czy dorobić następną partię, jeśli tylko Francois zdoła kupić truskawki.

- Oczywiście - zgodziła się Anna. - Musi dużo czasu poświęcać firmie. - Próbowwała sama się uspokoić.

Nie sypiała dobrze. Łatwo się budziła i nie potrafiła ponownie zasnąć. I te odgłosy, szmery, drapanie na dachu. Ciocia Marie twierdziła, że to myszy. Tej nocy Anna leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w sufit. Znowu drapanie. Myszy. Naprawdę muszą wziąć do domu kota.

Drapanie ustało. Anna zamknęła oczy. Skrzypienie. Szybko otworzyła oczy. W domach zawsze coś skrzypi, pomyślała. Znowu coś skrzyknęło, a potem usłyszała stuknięcie. Usiadła. Serce biło jej głośno ze strachu. Między jej pokojem a pokojem cioci Marie znajdowały się drzwiczki prowadzące na strych. Czy to możliwe... Z pewnością nie? Przecież Jeremy Jackson zabezpieczył wyjście ze strychu na dach. Z nowego stolika podniosła pudełko z zapalnikami, drżącymi rękami zapaliła świecę i na palcach podeszła do drzwi.

Ktoś cichutko podciągał zapadnię.

Anna krzyknęła.

Z pokoju obok natychmiast wybiegła Marie. Rozszczękał się śpiący w kuchni Herkules. Anna narzuciła szlafrok i zbiegła na dół. Dzwonek przy drzwiach wejściowych odzywał się za każdym razem, kiedy klient otwierał drzwi, ale można go też było uruchomić przez pociągnięcie małego łańcuszka, więc pociągnęła.

Nagle na dworze pojawiły się światła latarni i usłyszała ludzi pytających po francusku, czy u nich wszystko w porządku. Odciągnęła rygle i otworzyła drzwi.

- Ktoś jest na strychu! - krzyknęła.

Zanim przyniesiono drabinę, a pulchny sąsiad wspiał się po niej na górę, ten, kto był na strychu, zdążył uciec.

- Ale przecież kłapa na dach jest zabezpieczona - zauważyła Marie. Jeszcze dobrze się nie rozbudziła i miała wątpliwości, czy to wszystko nie jest przypadkiem wytworem wyobraźni Anny. Sama niczego nie słyszała.

- Złodziej pozdejmował dachówki - stwierdził sąsiad. - Jest dziura. Można przez nią zobaczyć gwiazdy.

Nadbiegł zbudzony hałasem Francois.

- Teraz już nic nie zrobimy - powiedziała Marie po dokładnej inspekcji domu. - Wątpię, żeby dzisiaj wrócił.

- Zostanę, madame - zaproponował Francois. Oczy lśniły mu z podniecenia. - Przyniosłem miecz ojca! Mogę spać w przedpokoju.

Sąsiedzi w końcu rozeszli się po domach. Anna zamknęła i zarygłowała frontowe drzwi, po czym wszyscy ułożyli się do snu. Marie znalazła dla Francois jakąś pościel, Anna wróciła do swojej sypialni. Rano muszę napisać do monsieur Luke'a, pomyślała. Zasnęła zadziwiająco szybko.

O c h , nie! - zawołała Hester. - Mam nadzieję, że nic im się nie stało? - Ponieważ Luke'a nadal bolała prawa ręka, sama smarowała mu tosty masłem.

Podniósł wzrok znad listu Anny.

- Pisz, że nie. Choć myślę, że musiały się nieźle wystraszyć.

- List Anny był krótki i rzeczowy, jednak okazały kleks tu i tam i nieco bardziej zamaszty podpis mówiły o stanie jej nerwów.

- Tak, z pewnością. Biedactwa. Co zrobisz, Luke?

- Mogę zrobić tylko jedno - powoli powiedział brat. - Choć nie jestem przekonany, czy panna de Cardonnel wyrazi na to zgodę.

- Sądzę, że zgodzi się na wszystko, co zapewni jej bezpieczeństwo. - Hester spojrzała na brata i zauważyła, że ten lekko się zaczerwienił.

Luke wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Hester, pociągnij za dzwonek i poproś Waltera, żeby wezwał Jeremy'ego Jacksona. Chcę trochę później, powiedzmy około jedenastej, jeśli to będzie pasowało Jeremy'emu, pojechać do madame Bonnieux - powiedział i opuścił pokój. Ku zaskoczeniu Hester, wyglądał na wielce ożywionego.

Cukiernia przy Phoenix Street była tego dnia bardziej niż zazwyczaj okupowana. Wszyscy w okolicy słyszeli o próbie włamania i gnani ciekawością zaglądali do sklepu. Za ladą stała Anna. Interes kwitł.

- Och, monsieur Luke!

- Panna de Cardonnel! - Uniósł kapelusz. - Przywiozłem ze sobą Jeremy'ego Jacksona, żeby obejrzał szkody.

- Jak to miło - stwierdziła dziewczyna. Podeszła do drzwi i zawołała: - Ciociu Marie! Cest Monsieur Luke. - Odwróciła się do gościa. - Martwiłyśmy się o pana - powiedziała z zawstydeniem. - Jak pańska ręka?

Wyciągnął dłoń. Nadal była zabandażowana, ale poruszał już palcami.

- Dziękuję, o wiele lepiej. Siostra twierdzi, że dobrze się goi. Nadeszła Marie, wycierając ręce w fartuch.

- Widzę, że wraca pan do pełnego zdrowia, monsieur. Jak to miło z pana strony, że tak szybko się pan zjawił. Anno, dlaczego nie zaprosisz gościa do domu?

Anna ściągnęła fartuch i poszli na górę. W rogu przy schodach stała drabina. Jeremy Jackson wyszedł na dach, a Anna i Luke zostali na korytarzu.

- Przykro mi, że przysparzam panu zmartwień - powiedziała dziewczyna. - Możliwe, że to tylko zwykli włamywacze.

- Raczej wątpliwe.

Westchnęła.

W otworze pojawiła się głowa Jacksona.

- Ściągnął dachówki, żeby się dostać do środka, ale więcej szkód nie widzę.

- Dasz sobie z tym radę?

- Tak, sir. I mogę zainstalować rygiel na wewnętrznej klapie, z korytarza na strych.

- Zrób to - nakazał Luke. - Panno de Cardonnel - zaczął poważnie, kiedy Jackson znikł. - Pragnąłbym zamienić z panią kilka słów na osobności, jeśli wolno. Czy jest jakieś miejsce, w które moglibyśmy się udać?

- Ogród - zaproponowała. - Jak pan widzi, panuje u nas dzisiaj niezły tłok. Wydarzenia zeszłej nocy wywołały niemałe zamieszanie. Ciocia Marie twierdzi, że to bardzo dobrze dla interesu, tak więc wstała wcześniej rano, żeby upiec dodatkową partię ciastek!

Ogród, do którego weszli, był podobnej wielkości jak ten otaczający dom Redboumów, ale był zupełnie inny. Matka

Luke'a używała go jedynie do suszenia bielizny, nie lubiła prac w ziemi. Hester przeciwnie, hodowała w nim wiele roślin: bratki i wesołe goździki. Siadywała tam czasami, by obrać groszek lub odszypułkować truskawki.

Ogród Marie był inny. Zaraz za domem stał zwyczajny budynek gospodarczy, jednak za łukową bramką zaczynał się właściwy ogród. Bardzo francuski w stylu, miniatura ogrodów le Nôtre. W centrum znajdował się wyłożony kamieniami skamiak z niskimi, starannie przyciętymi krzewami dokoła. Na zewnątrz geometryczne klomby, każdy z innym gatunkiem zielonych ziół. Jedne były ciemne, inne jasne. Niektórych, zwłaszcza tych z pierzastymi liśćmi, Luke nie potrafił nazwać. Najbliżej kuchni rosły zioła, które rozpoznawał: krzak rozmarynu, ukształtowany w zgrabną kulę, tymianek, szczypiorek, pietruszka, szałwia i wysoki dzięgiel. Kilka rodzajów mięty, a w małych glinianych doniczkach - bazylii. Ogólny efekt - spokojnie i zielono. Innych kolorów było bardzo mało, nie licząc szkarłatnych kwiatków na jednym krzewie. Na końcu ogrodu znajdowała się kamienna waza obrosnięta pnącym bluszczem, a obok stała drewniana ławka.

Luke rozejrzył się.

- Tu jest czarująco - pochwalił. - Mojej siostrze spodobałby się ten ogród. Proszę mi powiedzieć, czy wszystkie rosnące tu rośliny są jadalne?

Anna roześmiała się.

- Prawie. Ciocia Marie jest wielką miłośniczką ziół.

Usiedli na ławeczce.

- Mam dwie sprawy, o których chciałem z panią porozmawiać - zaczął Luke. - Pierwsza dotyczy zaświadczenia. Mogę je posłać do pana Hargreavesa i zażądać oficjalnie, by, jeśli wie,

gdzie jest szmaragd, zwrócił go prawowitemu właścicielowi. Przyznam jednak, że jestem raczej niechętny temu działaniu. - Opowiedział Annie o spotkaniu z panną le Vivier. - Dla mnie to jasne, że ta kobieta nie ma pojęcia o jakichkolwiek występkach wuja, i sędzę, że taka informacja bardzo by ją przygnębiła. Tak czy inaczej, nie chciałem czynić dalszych kroków bez skonsultowania się z panią

- Nie chcę, by Hargreaves miał mnie za oszustkę - powiedziała Anna, dumnie unosząc podbródek. - Czy można mu posłać zaświadczenie i list, mówiący o tym, że spotkał się pan z panną le Vivier? Ponieważ wspomniała, że jestem spadkobierczynią jej wuja, chętnie odłożę sprawę szmaragdu do moich dwudziestych pierwszych urodzin. Pan Hargreaves będzie wtedy potrzebował zaświadczenia.

Luke przemyślał jej propozycję.

- To doskonały kompromis. Czy woli pani, żebym napisał do niego w pani imieniu?

- Dziękuję. To uprzejme z pana strony, jeśli jest pan pewien, że tego właśnie chce. W końcu, monsieur, pan także poniósł konsekwencje całej tej sprawy. Musi pan wziąć pod uwagę również własne bezpieczeństwo.

- Jestem zdecydowany - krótko odpowiedział Luke. Spojrzał na ogród. Utkwił wzrok w szkarłatnych kwiatach huśtających się na wietrze. - Zastanawiałem się, czy istnieje sposób na pohamowanie Laurence'a raz na zawsze. - Nadal z napięciem wpatrywał się w kwiecie.

Anna odniosła nagle wrażenie, że Luke jest skrzepowany i czymś zawstydzony. Ale czym?

- Oprócz zamordowania go, nie widzę innego sposobu - rzuciła żartem.



- Mogłaby pani wyjść za mnie za mąż - powiedział.  
- Co? - Jej głos nie brzmiał normalnie. To był pisk.  
- Widzę, że pomysł nie przypadł pani do gustu. - Luke oderwał wzrok od kwiatów i spojrzał na Annę. Ton jego głosu był raczej spokojny, ale oczy miały taki wyraz, jakiego dziewczyna nigdy wcześniej w nich nie dostrzegła.

Serce biło jej mocno.

- Czy mógłby mi pan to bliżej wyjaśnić?

- To bardzo proste. Coraz trudniej jest panią ochraniać. Nie chciałbym zbyt pani niepokoić, ale istnieje możliwość, że ci, na których pani zależy, madame Bonnieux na przykład, mogą się stać zakładnikami Laurence'a.

- To prawda. - przyznała poważnie.

- Jeśli wyjdzie pani za mnie, wtedy naturalnie nie może pani wyjść za mojego brata. Zawrzemy odpowiednią umowę, gwarantującą, że pieniądze pozostaną wyłącznie pani własnością. A po urodzinach, kiedy już ta tajemnicza historia znajdzie swój finał, możemy zacząć się ubiegać o unieważnienie związku?

- Unieważnienie? - Anna powtórzyła i zamilkła. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w ogród.

- Tak. - Luke spojrzał na skalniak, z napięciem trącając czubkiem buta kamyczki na żwirowej alejce. - Nie chciałbym pani wiązać wbrew pani woli. Kiedy już osiągnie pani dojrzałość, będzie pani mogła postępować zgodnie z własnym życzeniem.

- Proponuje pan *mariage blanc*? - zapytała. Miała wrażenie, że wydobywający się z jej gardła głos nie należy do niej.

- Małżeństwo nie zostanie skonsumowane - dodał sztywno Luke. - Sądzę, że w takich okolicznościach unieważnienie to czysta formalność.

Anna miała zamęt w głowie.

- Ja... ja chciałam to przemyśleć, jeśli wolno. - Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że jest przygnębiona i zła. Dlaczego?

- Naturalnie. Powinna pani przedyskutować ten pomysł z ciotką.

Powoli wstała i bez słowa wróciła do domu.

## 8

Komuś patrzącemu z boku mogło się wydawać, że Hester ignoruje swoje kalectwo, tak doskonale się poruszała, podpierając się laską. Każdego ranka wraz z pokojówką szła do Covent Garden, by wybrać najlepsze owoce i warzywa. Osobiście nadzorowała zakup ryb i mięsa, a jej dostawca artykułów spożywczych już dawno się nauczył, że pannie Redbourn nie należy posyłać żywności podrzędnego gatunku.

A jednak czasami czuła się zmęczona i wtedy marzyła, żeby życie było nieco lżejsze. Oprócz zakupów do jej obowiązków należało gotowanie i sprzątanie oraz inne prace związane z zarządzaniem domem. Pokojówka, trochę tępawa młoda kobieta o imieniu Emmy, wykonywała cięższe prace, a co drugi tydzień przychodziła pani Meakins do pomocy przy praniu. Miała też Waltera. Ani Hester, ani Luke nie wyobrażali sobie życia bez niego. Był powiernikiem Luke'a, jego służącym oraz kimś w rodzaju specjalnego urzędnika, kiedy wymagała tego sytuacja. Wykonywał pracę lokaja i odźwiernego, donosił przesyłki, zapowiadał gości i Emmy zawsze mogła na niego liczyć, kiedy trzeba było podnieść coś ciężkiego. Oprócz tego

towarzyszył Hester, kiedy gdzieś wychodziła. Ale nawet przy tylu pomocnikach prowadzenie domu stanowiło dla niej spore obciążenie.

Oczywiście, gdyby o to poprosiła, Luke zgodziłby się przyjąć więcej służby, ale Hester nie chciała tego czynić. Zdawała sobie sprawę, że większość kapitału brat zamroził w firmie, i obawiała się dodawać mu wydatków. Zdaniem jej przyjaciółki, panny Leatherbarrow, pracowała ponad siły, ale Minerva nie rozumiała, że Hester po prostu pragnie dać coś z siebie. Mogłaby wprawdzie znaleźć sobie jakąś pracę, ale wołała pilnować, by dom był prowadzony najtańszym kosztem.

Jedynym ustępstwem Hester były popołudniowe chwile, kiedy siadywała w fotelu ze stopami opartymi na niskim stołeczku i czytała w ciszy, trzymając kota na kolanach.

Luke wraz z Jeremym Jacksonem pojechał tego ranka na Phoenix Street i jeszcze nie wrócił. Prawdopodobnie prosto stamtąd uda się do City, gdzie zje tani lunch. A więc ma dom tylko dla siebie. Urzędnicy pracowali w biurze na dole, Emmy gdzieś postukiwała szczotką i śmietniczką, ale nikt jej nie przeszkadzał. Hester posadziła sobie Bena na kolanach i zamknęła oczy.

Właśnie zapadała w drzemkę, kiedy od drzwi doszło ją pukanie, a po chwili pojawił się Walter z kartą wizytową na tacy. Hester otworzyła oczy. Wyprostowała się gwałtownie, zrzucając przy tym Bena z kolan, próbując jednocześnie poprawić i czepek, i ubranie. Zerknęła na kartę i westchnęła.

- Wprowadź panią Simpson, Walterze. I poprosz Emmy, żeby przyniosła nam herbatę i ciasteczka miodowe.

- Tak, panno Hester.

Kiedy służący wyszedł, Ben natychmiast z powrotem wskoczył pani na kolana. Mechanicznie zaczęła go głaskać.

- Najdroższa Hester! - Caroline ostrożnie wsunęła głowę przez drzwi. - Och, przeszkadzam ci. Czy mam sobie pójść?

Weszła, wylewnie ucałowała gospodynię, po czym zajęła się ściąganiem płaszcza, rękawiczek i kapelusza.

- Jak za dawnych czasów! - zawołała, siadając. - Ty z Benem na kolanach i ten kochany stary pokój - Zupełnie jak kiedyś. - Rzuciła okiem na krzesło Luke'a i westchnęła. Pokój się nie zmienił. Kiedy miała siedemnaście lat, wydawał jej się straszliwie staroświecki, teraz zaś dodawał otuchy. Hester trochę się postarzała i schudła, ale ogólnie dużo się nie zmieniła. A Luke? Caroline nie śmiała jeszcze o nim wspomnieć; wiedziała tylko, że się nie ożenił.

Hester popatrzyła na swojego gościa. Uznała z niesmakiem, że Caroline wygląda bardzo korzystnie, nawet lepiej niż dawniej. Nabrała kształtów, a w czarnej sukni sprawiała wrażenie kobiety delikatnej i eterycznej.

- Czy to tylko kurtuazyjna wizyta, Caroline? - zapytała z cieniem sceptycyzmu w głosie.

- Och, ty niedobra! - zawołała Caroline. - Przejrzałaś mnie w jednej chwili. Powiem ci, że twoja spostrzegawczość mnie przeraża. Nie sądziłam, że pomyślisz, iż cię odwiedzę.

Hester, przypominała sobie, nigdy nie patrzyła przychylnie na jej zaręczyny ze swoim bratem.

- Nie widziałam cię od siedmiu lat - stwierdziła. - Byłoby niegrzeczne z mojej strony pytać, z czym przychodzisz.

Caroline wydeła usta.

- Jestem tu z powodu twojego miłego listu, oczywiście. Chyba nie masz mi za złe, że przyszedłam.

- Skądże. I przykro mi z powodu śmierci pana Simpsona. Czy nastąpiła niespodziewanie?

- O tak! - Caroline potarła oczy. - Mój biedny mąż. Tak

bardzo był mi oddany... i moim dwóm małym dziewczynkom. Nie wiem, jak dam sobie bez niego radę.

Hester z całego serca pragnęła uniknąć jakiegokolwiek dyskusji z Carołine.

- To ciężkie dla córek, kiedy tracą ojca.

- Nie sędzę, żeby rozumiały, co się wydarzyło - szybko wyprowadziła ją z błędu Caroline. - Biedny pan Simpson był zawsze taki zajęty. Rzadko przebywał z córkami, najwyżej przy popołudniowej herbacie, jeśli akurat był w domu. To naturalne u starszych panów. Nie zależy im zbytnio na dziecięcej paplaninie.

- Odczują stratę z czasem - skomentowała Hester.

Weszła Emmy, niosąc tacę z herbatą. Panie zajęły się rozlewaniem napoju do filiżanek, jednak nie dało się wечно odwiekać dalszej rozmowy. Mimo że Hester nie znosiła podobnie nieprzyjemnych sytuacji, to nie wiedziała, w jaki sposób ma zniechęcić młodą wdowę, nie doprowadzając jej do zamienienia się w fontannę łez - a przypuszczała, że na najmniejszą oznakę niechęci Caroline tak właśnie zareaguje.

- Sama kiedyś byłam taką głupiutką dziewczyną... - zaczęła.

Nie zdążyła dokończyć, bo do drzwi zapukał Walter i zapowiedział:

- Panna Leatherbarrow!

- Minerva! - zawołała Hester z ulgą.

Panna Minerva Leatherbarrow, ta sama, która próbowała zapoznać Hester z ideami panny Wollstonecraft, była kobietą chudą, miała duże zęby i pociągłą twarz. Gardziła kobiecymi fochami i podstępными sztuczkami. Wkroczyła do pokoju odziana w źle dopasowaną suknię w trudnym do określenia szarym kolorze. Raz tylko spojrzała na Carołine i natychmiast wybuchnęła krótkim, ostrym śmiechem.

- O, Caroline! Co ty tutaj robisz? Znowu polujesz na męża?

Caroline zagryzła wargi. Uczęszczała niegdyś do szkoły prowadzonej przez rodziców panny Leatlierbarrow i nadal nieco się jej obawiała.

- Przyszłam odwiedzić Hester - próbowała się bronić. Zarazem pomyślała, że z potulną i uprzejmą Hester dałaby sobie spokojnie radę, ale bezpośrednia Minerva wprawiała ją w zakłopotanie.

- To widzę. Ale czy to aby nie za wcześnie uganiać się za mężczyznami? - Minerva tak samo jak Hester nie wierzyła, że Caroline przyszła jedynie w celu spędzenia popołudnia ze starszą panią.

Młoda kobieta spłonęła rumieńcem.

- A dlaczego miałabym uganiać się za mężczyznami, skoro dopiero co owdowiałam? Jest pani dla mnie bardzo niesprawiedliwa, panno Minervo.

Przyjaciółka Hester sceptycznie wydeła usta. Caroline dodała ze złością:

- Nigdy nie darzyła mnie pani sympatią! To pani twierdziła, że to Nelly Tytherly, a nie ja, wykonała zadaną pracę z wyszywania.

- Bo tak było.

Caroline gniewnie sapnęła i wstała.

- Wychodzę. Najwyraźniej nie jestem tu mile widziana. - Sięgnęła po płaszcz i kapelusz. - Do widzenia, Hester. Mam nadzieję, że kiedy odwiedzę panią następnym razem, nie przeszkodzi nam ta... ta tyka! - Podniosła rękawiczki i wyszła z pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Hester opadła na oparcie i przetarła czoło. Nigdy nie dawała sobie rady z wybuchami złości Caroline.

- Minervo, zachowałeś się ogromnie niegrzecznie - zganiła przyjaciółkę.

- Tak - przyznała z satysfakcją. - A ty znowu pozwalasz jej wczepić pazury w brata. Jesteś głupia, Hester. No, a teraz co powiesz na kawałek ciasta?

Następnego dnia Luke otrzymał od Anny dość oficjalny list. Dziękowała mu za jego propozycję, którą przedyskutowała z madame Bonnieux. Jest skłonna ją przyjąć, jednak wcześniej pragnęłaby omówić z nim kilka punktów. Czy wolno jej go odwiedzić i porozmawiać na osobności?

Nie napisała ani słowem o tym, że nakrzyczyła na ciotkę Marie, która rozmawiała z nią spokojnie i praktycznie, ani też, że po tej rozmowie zamieniła się w morze łez. Następnie nie spała całą noc, tylko wciąż myślała, a mimo to nadal nie wiedziała, co ma sądzić o propozycji Luke'a. Rozumiała, że małżeństwo z panem Redbournem jest rozsądnym posunięciem, chroniącym wszystkich przed poczynaniami Laurence'a. Jednak zarazem czuła się przygnębiona, niemal obrażona, i tego właśnie nie potrafiła wytłumaczyć.

Po godzinie przybył Walter z odpowiedzią.

*Droga panno de Cardonnel* - brzmiały słowa Luke'a. - *Jeśli zechce pani przyjechać z Walterem, moglibyśmy porozmawiać w moim biurze. Z poważaniem, L. Redbourn.*

Anna dwukrotnie odczytała list, trochę zawiedziona, że jest taki krótki.

Gdy przyjechali pod dom Redbournów, Walter wprowadził ją do biura. Luke siedział przy sekretarzyku, pochłonięty przeglądaniem korespondencji. Każdy list czytał dwukrotnie, bo po odebraniu wiadomości od panny de Cardonnel nie potrafił się na niczym skoncentrować. Na widok Anny wstał i zaproponował, by zajęła miejsce przy okrągłym stole stojącym na środku pokoju, po czym usiadł po przeciwnej stronie.



Kiedy Walter wyszedł z biura, Anna przystąpiła do rzeczy:

- Ciocia Marie słusznie zauważyła, że pański brat może się próbować ze mną ożenić również wtedy, gdybym została wdową, zwłaszcza gdyby sądził, że będę bogata. Nie chcąc narażać pana na dalsze nieprzyjemności, proszę, by spisał pan testament, z którego mnie pan wyklucza.

- To nie jest potrzebne - stwierdził Luke. - Wystarczy, że zaznaczę, iż w razie gdyby wyszła pani za Laurence' a, wszystkie moje pieniądze mają zostać przekazane na cele dobroczynne.

Anna wpatrywała się w rozmówcę z lekkim zaszokowaniem.

- Jednak... w żadnych okolicznościach nie mogę odnieść korzyści z tego małżeństwa. - Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Proszę się nie obawiać, panno de Cardonnel Nie zamierzam umrzeć przed październikiem. Co z innymi zastrzeżeniami?

Anna zawahała się. To, o czym miała teraz powiedzieć, dotyczyło ogromnie delikatnej sfery.

- Chodzi o ciocię Marie - zaczęła. - Musi pan wiedzieć, że... że nie jest moją prawdziwą ciotką.

- Domyślałem się tego - odparł spokojnie Luke. - Czy chce pani powiedzieć, że była kochanką pani ojca?

- Tak. - Anna, szykując się na ewentualne słowa krytyki z ust Luke'a, uniosła dumnie podbródek, w ten sam sposób, jak to uczyniła, słysząc impertynencję Hargreavesa. - Według mnie, okoliczność ta dotyczy wyłącznie mojego ojca i madame Bonnieux. Kilka osób jest zbulwersowanych tym, że zamieszkuje z ciotką pod jednym dachem. Ignoruję podobne osady. Marie to wspaniała kobieta, jest dla mnie niemal jak matka. - Anna zamilkła i przez chwilę nad czymś się zastanawiała. - Nawet więcej. Rzadko widywałam matkę, bo nie należało to do zwyczajów panujących w naszym domu.

- Wszystko to rozumiem - przytaknął grzecznie Luke. Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.
- Nie mogłabym przestać jej widywać.
- To naturalne, że musi się pani z nią spotykać - zgodził się Luke.

Anna powoli się uspokajała. Może wszystko dobrze się ułoży i zniknie to dziwne uczucie, że jej coś ważnego umyka. Luke Redbourn jest człowiekiem honoru. Nie ma powodu, żeby czuła się taka przygnębiona.

- Mnie także przyszła do głowy pewna sprawa - przypomniał sobie gospodarz. - Nieco się martwię o zgodę na małżeństwo. Jest pani niepełnoletnia, a raczej wątpliwe, żeby pani wuj dobrowolnie zgodził się na ślub.

- Czy tylko wuj może wyrazić zgodę na moje małżeństwo?
- Jest pani prawnym opiekunem, czyż nie?
- Tak, to prawda - przyznała. Nagle przed oczami stanęła jej pewna postać. Raczej nudnawy, zwalisty mężczyzna, kłaniający się jej... - Bertrand! - wykrzyknęła. - W zeszłym tygodniu u madame de Saisseval spotkałam mojego kuzyna, Bertranda de Cardonnel. Teraz to on został wicehrabią de Cardonnel. - Roześmiała się. - Pewien znajomy Francuz powiedział mi, że on ma w Szwajcarii małą posiadłość. Ale ukrył przede mną tę informację! Pewnie się obawiał, iż będę rościła sobie jakieś prawa. Sądzę, że chętnie udzieli mi wymaganej zgody. Prawdopodobnie bardzo się ucieszy, że wychodzę szczęśliwie za mąż.

- Pytanie brzmi, czy angielskie prawo uzna jego wyższość nad prawnym opiekunem?

- To jest do wygrania, prawda? - zapytała Anna.
- O tak. Przypuszczam, że jest. Tylko nie chciałbym ciągać pani po sądach.

- Kto musiałby wnieść sprzeciw?  
- Sir Robert Broxhead.  
- Czy go na to stać? - zapytała Anna. - I czy w ogóle zechce się do tego zabierać?

- Jeśli tego nie zrobi, będzie musiał zwrócić mojemu bratu dziesięć tysięcy funtów - przypomniał Luke. - Z drugiej strony, nim sprawa trafi do sądu, z pewnością skończy już pani dwadzieścia jeden lat. Sądzę, że możemy zaryzykować i poprosić pani kuzyna o zgodę. Jak pani sądzi?

- A potem - zaczęła Anna, żeby się upewnić, co ją czeka — myśli pan, że zamieszkać tu z panem i pańską siostrą?

- Oczywiście. Jak inaczej mam panią chronić?

- Myślałam, że może... - Anna zaczerwieniła się po czubki włosów. - No cóż, skoro ma to być *mariage blanc*, to chyba nie ma znaczenia, gdzie będę mieszkała?

- Proszę nie mówić głupstw, panno de Cardonnel. Musimy przekonać Laurence'a, że to małżeństwo jest prawdziwe.

- Tak sądzą.

Luke przyglądał się pochmurnej małej twarzyczce.

- Moja droga panno de Cardonnel - zaczął łagodnie. - Za nic na świecie nie chciałbym przysparzać pani zmartwień. Dlaczego nie miałyby pani potraktować pobytu tutaj jako odwiedzin? Hester i ja zrobimy wszystko, żeby czuła się tu pani jak w domu. Wiem, że będzie pani brakować ciotki, ale przecież ona może nas odwiedzać i mam nadzieję, że zaprzyjaźni się pani z moją siostrą.

Anna wzięła głęboki oddech.

- Ma pan rację - potwierdziła stanowczo. - Powinnam kierować się rozsądkiem. Przyjmuję pańską ofertę, monsieur Luke, ale jeśli mam mieszkać w pańskim domu, pragnęłabym

zostać jego domownikiem, a nie gościem. Umiem gotować, wie pan o tym?

- Moja droga, gotowaniem zajmuje się Hester. - Anna popatrzyła na niego uważnie; Luke roześmiał się. - Ale sądzę, że przyda jej się pani pomoc. Gotowanie nie należy do ulubionych zajęć mojej siostry. Znam też opinie Francuzów na temat angielskiej kuchni!

- W takim razie wszystko ustalone? - zapytała nieśmiało Anna.

- Oczywiście. Chodźmy na górę powiadomić siostrę.

Mówiąc to wstał i wyciągnął ramię, by odprowadzić Annę do drzwi. Nim je otworzył, zatrzymał się i uniósł dłoń dziewczyny do ust. Idąc na górę, wciąż czuła ciepło jego pocałunku na ręce.

Bernard de Cardonnel przystał na małżeństwo kuzynki z panem Lukiem Redboumem z największą radością. Tak jak Anna podejrzewała, ochoczo wykorzystał ten dość niekonwencjonalny sposób na pozbycie się zobowiązań. Nawet nie dopytywał się zbyt szczegółowo o ceremonię zaślubin. Skoro w tym nieokrzesanym kraju katolicki ślub nie jest dozwolony, godził się, by akt zaślubin odbył się w kościele protestanckim. Zdaniem madame de Saisseval, Anna miała alarmująco demokratyczne poglądy; niewątpliwie, tak czy inaczej, jest na wpół poganką. Wyda ją za mąż i tym sposobem pozbędzie się wobec niej wszelkich zobowiązań.

Anna i Luke na podstawie specjalnego zezwolenia pobrali się w kościele St Bride w poniedziałek 27 lipca 1807 roku. W ceremonii uczestniczyły tylko cztery osoby: Hester, Walter, Marie Bonnieux i Bertrand de Cardonnel. Anna miała na sobie kremową błyszczącą suknię, którą sprawiła sobie na ślub Julii,

oraz nowy kremowy kapelusz przyozdobiony rozmarynem i herbacianymi różami. Luke na tę chwilę zrezygnował z typowego ubrania urzędnika i zastąpił je ciemnozielonym surdudem z żółtą kamizelą, szarymi obcisłymi spodniami i czarnymi pantoflami.

- Przystojny mężczyzna z twojego męża - szepnął Bertrand

- Tak - odparła Anna. Nagłe odkrycie atrakcyjności Luke'a wprawiało ją w lekkie zmieszanie.

Goście zostali sobie przedstawieni, wymieniono też stosowne powinszowania. W kościele, w porównaniu ze słonecznym dniem na zewnątrz, było ciemno i zimno. Anna drżała. Luke, dostrzegłszy to, wziął ją za rękę i włożył pod swoje ramię.

- Teraz dobrze - powiedział, uśmiechając się. - Mam nadzieję, że nie dokuczają ci też zimne stopy.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W tym eleganckim panu w zielonym surducie i ze starannie przystrzyżonymi włosami nie rozpoznawała dawnego Luke'a.

- To dlatego, że nigdy jeszcze nie wychodziłam za mąż - rzuciła nieco idiotycznie.

- Ja także nie - odparł. - Jak sądzisz, możemy wspierać się nawzajem w czasie trwania ceremonii?

Anna uśmiechnęła się niepewnie, ale poczuła się lepiej. To był ten monsieur Luke, którego znała.

Bertrand krytycznie przyglądał się ceremonii. Nigdy wcześniej nie był w protestanckim kościele, słabo też znał język angielski. Miał nikłe pojęcie o obrzędach cudzoziemców, sądził, że czeka go raczej parodia zaślubin. Zbieżności obrzędów zaskoczyły go. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy stwierdził, że Luke mu się podoba. Stateczny mężczyzna, myślał. Przystojny i zamożny - niemal dżentelmen! Kuzynka dobrze wybrała.

Msza zbliżała się ku końcowi. Luke pochylił się, by pocałować narzeczoną, a Anna zarumieniła się wstydliwie, tak jak powinna, co nie uszło uwagi Bertranda. Tłumacząc się wcześniejszymi zobowiązaniami odmówił uczestniczenia w uroczystym śniadaniu, ale podarował Annie piękne kolczyki z granatami, które odziedziczył po matce.

Anna podziękowała mu serdecznie.

- Jestem bardzo wdzięczna, monsieur. Straciłam wszystko, co należało do mojej matki. To dla mnie niezwykle cenny podarunek.

Wicehrabia ucałował ją w policzek, lekko skłonił się Hester, zupełnie zignorował Waltera i Marie, życzliwie potrząsnął dłonią Luke'a i wyszedł. Atmosfera rozluźniła się.

- Zaplanowaliśmy symboliczne weselne śniadanie - zapowiedziała Hester. - Mam nadzieję, że Emmy nas nie zawiedzie. Oczywiście, pójdzie pani z nami, madame Bonnieux?

Jadalnię wypełniała woń róż i goździków. Na stole i nad okapem kominka stały wielkie wazony pełne kwiatów. Emmy we wzorzystej sukience, uśmiechnięta od ucha do ucha, czekała w rogu pokoju. Śniadanie było proste: gorące bułeczki, masło, szynka, ozorki i jaja. Hester i Emmy upiekły ciasto owocowe z marcepanem i białym lukrem dla podkreślenia urozystości chwili.

Anna nagle poczuła się o wiele lepiej. Nie chodziło tylko o dobre jedzenie - tym bardziej, że niewiele mogła przełknąć - ale o fakt, że Hester i Luke wyraźnie zadali sobie trud, by czuła się u nich mile widzianym gościem.

Madame Bonnieux także odetchnęła z ulgą. Nie zdradzała się przed Anną ze swoimi wątpliwościami, jednak bez względu na umowy przedślubne (a pan Redbourn był skrupulatny

i uczciwy w tej dziedzinie), małżeństwo zawsze oddaje kobietę całkowicie we władanie małżonka. Kiedy obserwowała Luke'a nalewającego drinki i podającego szklaneczkę Annie, zdała sobie sprawę z jeszcze jednego. Pan Redbourn, choć starał się ukrywać ten fakt pod płaszczykiem żartobliwości, był zauroczony młodą żoną. Marie wiedziała, że Anna uważa małżeństwo za całkowicie formalne. Inne aspekty, na przykład uczucia, nawet nie przemknęły jej przez myśl; pod pewnymi względami była jeszcze zadziwiająco niedojrzała.

W przyszłości mogą wynikać z tego powodu kłopoty.

J a k pan śmiał, sir! Zaskarżę pana! To nielegalne! - Twarz sir Roberta była purpurowa z wściekłości. Stał w małym saloniku Redbournów i mocno uderzał laską w podłogę.

Hester i Anna, schowane w saloniku po drugiej stronie korytarza, popatrzyły na siebie z przestachem.

- Zgodę dał kuzyn mojej żony, wicehrabia de Cardonnel - odparł Luke. - Teraz on jest głową rodziny.

- A ja jestem jej prawnym opiekunem!

- Może pan udać się z tą sprawą do sądu, sir. - Luke patrzył w rozgorzałą twarz z lekkim współczuciem. - Ale nie radziłbym.

- Wyłąduje pan za to w więzieniu.

- Wątpię, biorąc pod uwagę pański dług wobec mojego brata. Nie sądzę, żeby jakkolwiek sąd poważnie potraktował opiekuna, który zamierzał sprzedać siostrzenicę.

Sir Robert wyglądał na załamane go.

- Co mam robić? - wyszeptał. - Dług karciany to dług honorowy.

- Proszę mi powiedzieć, sir Robercie, gdyby nie mój brat, czy sprzeciwiałby się pan mojemu małżeństwu z pańską siostrzenicą?

- Sprzeciwiał, dlaczego?

- Może wolałby pan dla niej kogoś ze swojej sfery?

Sir Robert potrząsnął głową.

- Anna nie ma posagu. To miła dziewczyna... ale bez pieniędzy. Jeśli macie się ku sobie, daję wam moje błogosławieństwo. Ale, Redbourn, jestem w potwornej sytuacji.

- Rewers, jak pan go napisał? - zapytał Luke.

- Jak zwykle. Na odwrocie jego wizytówki. Winny jestem panu L. Redbournowi dziesięć tysięcy funtów. Data. Podpis.

- Jest pan pewien, że to była jego karta wizytowa? Taka jak ta? - Luke wyjął wizytówkę z kieszeni kamizelki.

- Taka sama. Ale o co chodzi?

Luke roześmiał się, napisał coś na odwrocie wizytówki, po czym podał ją sir Robertowi.

Hester, pomagając Annie zadomowić się, na początek oprowadziła ją po całym domu. Kiedy znalazły się na drugim piętrze, dziewczyna ze dziwieniem stwierdziła, że jest większe, niż się spodziewała. Hester wytłumaczyła, że w przeszłości przebito ścianę do numeru ósmego.

- Obok jest księgarnia, którą z pewnością zauważyłaś - powiedziała. - Ojciec odkupił od księgarza dwa górne piętra, bo on ich nie potrzebował, a nasza rodzina w tamtych czasach się rozrastała. - Zaprowadziła Annę piętro wyżej. Znajdowały się tu cztery sypialnie i szafa ścienna.

- Brat zajmuje tę. - Hester wskazała na frontowe drzwi nad



księgarnią. - W tyle jest wolny pokój. Obok mój, a po drugiej stronie, od frontu, twój.

- Ale... - wykrzyknęła Anna - z pewnością to ty do tej pory zajmowałeś frontowy pokój? Nie zgodzę się, żebyś mi go odstąpiła!

- Nie, moja droga. Zawsze mieszkałam w pokoju z tyłu.

W pokoju Anny, tak jak w innych, ściany obite były boazerią, poza tym stała tam staromodna dębowa komoda i ogromny kredens, zajmujący prawie całą ścianę. Na górze kredensu widniał rzeźbiony napis: *Lemuel Redbourn, urodzony 15 sierpnia 1716r. Ożeniony z Mary Bayley, 12 czerwca 1737r.*

- Należał do dziadka - wyjaśniła Hester. - Zbyt duży i pokraczny jak na nowoczesne gusta.

- Mnie się podoba - rzuciła Anna. Mniejsze drzwiczki kredensu były rzeźbione w liście winorośli. Dwa centralne panele należały do Adama i Ewy. Ewa miała długie, kręcone włosy, krągły, wysoki biust i zakrywający łono liść bluszczu. W wyciągniętej ręce trzymała jabłko. Adam, na drugim panelu, wysuwał jedną rękę do jabłka, drugą osłaniał wstydlive miejsce. Wąż wił się wokół pnia drzewa, tuż za Ewą, i wyglądał tak, jakby zniknął w szafie, a jego głowa pojawiała się nad ramieniem Adama i przyglądała mu się pytająco. Wąż miał rozszczepiony język i, przynajmniej zdaniem Anny, uśmiechał się. Bardzo jej się ta rzeźba spodobała.

Było tam też staroświeckie łóżko z baldachimem o bulwiastych drążkach zakończonych czymś, co przypominało wielkie ananasy. Ciężka draperia wokół łoża utkana była wykwintnymi trejżami z kwiatów i ptaków. Anielski widok. To pewne, że do tego miejsca nie dotarła rewolucja. Anna wypowiedziała tę myśl na głos.

- Nasza rewolucja toczyła się jakieś sto pięćdziesiąt lat

temu - z uśmiechem skomentowała Hester. - Moja rodzina walczyła o Parlament. Trzymamy gdzieś starą pikę na pamiątkę tego wydarzenia. - Zamilkła i rozejrzała się. Emma postawiła na toalecie wazon z kwiatami, a Walter przyniósł walizy nowej lokatorki. - Zostawię cię już, Anno. Pewnie chcesz się rozpakować. Mam nadzieję, że teraz, kiedy jesteśmy siostrami, mogę ci mówić po imieniu.

Oprócz wizyty wzburzonego sir Roberta żaden nie zapowiadany gość nie pojawił się w domu Redbournów. Jednak nikt nie sądził, że Laurence tak łatwo się poddał. W związku z tym Luke zabronił Annie i Hester wychodzić bez eskorty Waltera.

- Wiem, że to kłopotliwe - wyjaśnił - ale musimy zachować ostrożność.

- Ale przecież Walter jest ci potrzebny - zaprotestowała Hester.

- Jakoś poradzę sobie bez niego. Wolę mieć pewność, że jesteście bezpieczne.

Tak więc każdego rana w towarzystwie Waltera Anna i Hester szły na zakupy na Covent Garden. Anna nakupiła tyle ziół, ile udało jej się znaleźć na straganach, po czym zasadziła je w ogródku. Przekonała Hester, żeby zgodziła się przekazać jej nadzór nad gotowaniem. Rezultatem były coraz smaczniejsze posiłki. Hester z przerażeniem odkryła, że Anna dodaje do wołowiny wino, a do baraniny czosnek, ale Luke tylko się śmiał.

- Musisz stać się bardziej otwarta na nowości, Hester - powiedział pewnego wieczoru po kolacji.

- Ale... wino!

- To tylko wino do gotowania - wyjaśniła Anna.

- A danie jest wyśmienite - dodał Luke. - Czy nie odpowiada ci kuchnia mojej żony, Hester? - Uśmiechnął się do zaczerwienionej Anny.

- Tak, naturalnie. Jednak to wino. I śmietana. To wydaje się takie grzeszne.

- Nie rozumiem, dlaczego Anglicy tak bardzo gardzą jedzeniem - stwierdziła Anna. - Dobry pokarm to prezent od Boga. Dla mnie byłoby niewdzięcznością nie zrobić z niego najlepszego użytku.

Później, kiedy siostra wyszła z pokoju, Luke powiedział:

- Chyba nie sądzisz, że Hester krytykuje cię za sposób prowadzenia kuchni? Jestem wdzięczny, że się tym zajęłaś. Ta cała krzątanina, ciągle na nogach, to dla niej za ciężki obowiązek.

- Mam nadzieję, że Hester i ja się rozumiemy - odrzekła Anna. - Ale w końcu to jej dom, monsieur Luke, i nie chcę zająć jej pozycji.

- Muszę przyznać, że w jakimś sensie jesteś jednak zwolenniczką konwenansów, Anno. Monsieur Luke brzmi bardzo oficjalnie.

- Czy wypada, żebym zwracała się do pana po imieniu? - Anna czuła się mile zmieszana.

- Kiedy jesteście sami, oczywiście. Przecież jesteśmy małżeństwem.

- Luke to ładne imię - pochwaliła nieśmiało dziewczyna. - Imię pańskiego brata nigdy mi się tak nie podobało. We Francji to żeńskie imię!

- Do dnia ślubu nie wiedziałem, że masz na imię Anna Charlotta.

- Moi przodkowie pochodzą ze Szkocji. Dostałam imię po Annie Cardonnel, która przybyła do Francji w tysiąc pięćset siedemnastym po bitwie pod Flodden. Charlotta to na pamiątkę księcia Charlesa Edwarda Stuarta. Mój pradziadek walczył pod jego sztandarami.

- Na dodatek jakobin. - Luke był rozbawiony.
- Mówi pan do osoby, która jako dziecko siadywała mu na kolanach! - Anna popatrzyła na towarzysza z przekorą.
- Nie wierzę!
- To prawda. Urodziłam się w Rzymie i zostałam ochrzczona przez kardynała Henry'ego Stuarta w jego pałacu we Frascati. Tak więc proszę o większy szacunek.
- Ale ten książę Charlie. Sądziłem, że skończył jako schorowany pijak?
- Zgadza się - potwierdziła Anna. - Nie przypuszczam, żebym siadywała na jego kolanach przez długi czas. Ojciec mówił, że zbyt często się przewracał, więc mnie zabierano.
- Luke wybuchnął śmiechem.
- Ale co twoi rodzice robili we Włoszech?
- Ojciec często był wysyłany z dyplomatycznymi misjami. Miał zdolności do obcych języków i doskonałe władał włoskim. Rodzice przebywali we Włoszech około roku.
- Dlaczego po opuszczeniu Francji nie udaliście się do Włoch? Z pewnością kardynał mógł wam bardziej pomóc niż ten biedaczyna Broxhead?
- Anglia była bliżej. Poza tym papa miał tu trochę pieniędzy.
- Ja, w każdym razie, nie żałuję, że podjęliście taką, a nie inną decyzję - stwierdził Luke ze śmiechem.
- Anna spojrzała na niego z rezerwą. Dlaczego mówi takie rzeczy? I dlaczego, słysząc je, jest jej tak miło?

Caroline Simpson, siedząc przy śniadaniu, zerknęła do „The Morning Post Court”, do rubryki towarzyskiej, i przeraziła się. Luke się ożenił! Hester nic jej nie powiedziała. To jakaś

pomyłka. Jednak tekst w gazecie mówił wyraźnie: *29 czerwca w kościele St Bride w Londynie Wielmożny Pan Luke Redbourn związał się węzłem małżeńskim z mademoiselle de Cardonnel. Pannę młodą w ręce małżonka oddał jej opiekun wicehrabia de Cardonnel.*

Określenie, że Caroline była poruszona, byłoby nieprecyzyjne. Caroline była wściekła. Hester nie pisnęła nawet słówka - z pewnością cieszy się teraz jej przegraną.

Caroline zawsze wkładała serce w przedsięwzięcia i rzeczy, których nie mogła mieć. Dlatego kiedyś Laurence, jako owoc zakazany, wydawał jej się taki atrakcyjny. To wszystko wina Luke'a, bo był taki stateczny, uznała wtedy siedemnastoletnia panna. Gdyby robił baranie oczy do innych kobiet, walczyłaby o niego pazurami. A tak, cóż to za atrakcja być narzeczoną mężczyzny, który był w nią wpatrzony jak w obraz?

Sięgnęła do dzwonka i kiedy pojawił się lokaj, powiedziała małostkowo:

- Kawa jest zimna, Ribble.
- Przepraszam, madame.
- Zrób świeżą. I powiedz Mary, że jajka były za twarde. Już na dole Ribble poskarżył się:

- Znów ma te swoje humory.

- To z pewnością ta wiadomość z rubryki towarzyskiej - domyśliła się Mary. - Pan Redbourn się ożenił.

- Dostała za swoje - zawyrokował Ribble. - Lepiej uważaj, Mary. Jej wysokość na pewno się przyczepi, że obiad jest niedobry. Zapamiętaj moje słowa.

Wściekłość wdowy odbijała się na całej służbie przez kilka dni. Córeczki nie wychodziły ze swojego pokoju, zmuszane do ciszy i posłuszeństwa. Posiłki biednej Mary były nieustannie odsyłane. Na szczęście kilka dni później złość Caroline znalazła

bardziej satysfakcjonujące ujęcie. Z samego rana zawitał w jej progi Laurence Redbourn.

Nie widziała go od tamtego hańbiącego dnia, kiedy to sądziła, że się jej oświadczy. Wtedy na sofie zachowywał się bardzo przekonująco i Caroline pozwoliła mu na kilka wyjątkowych intymności. Tym bardziej była zaskoczona, gdy powiedział: „Ożenić się z tobą? Nie bądź głupia, Caroline. Gdybym miał się żenić z każdą dziewczyną, z którą flirtuję, musiałbym założyć harem”. Śmiał się jej prosto w nos. Mścił się tylko na Luke'u za to, że był starszym bratem i ulubieńcem ojca.

Laurence, pukając do drzwi Caroline, nie pamiętał o tym zdarzeniu. Interesowało go jedynie to, że została bogatą wdową. Wdówki wiedzą, co przyjemne. Kiedy już wciągnie ją do łóżka, nie wątpił, że Caroline sownie mu zapłaci za trzymanie języka za zębami.

Caroline jednak nigdy ani mu nie wybaczyła, ani o niczym nie zapomniała. Doskonale też pamiętała o tym, jak Laurence nienawidzi brata. To pewne, że nie będzie zachwycony jego ożenkiem. Caroline wypracowała już sobie sposoby na odwdzięczenie się tym, którzy ją zawiedli. Zamierzała się nimi teraz posłużyć.

- Pan Redbourn! - wykrzyknęła na widok gościa. - Jak wspaniale, że mnie pan odwiedził.

- Pani Simpson! - Laurence schylił się szarmancko do ręki gospodyni. - Moje najszczerze kondolencje. - Rozejrzał się pospiesznie. W myśli wycenił meble i obrazy. Jest tu trochę gotówki, uznał.

- Właśnie myślałam o pana rodzinie - wyznała Caroline, wskazując Laurence'owi krzesło. - Czytał pan zawiadomienie?

- Jakie zawiadomienie?

- Och! Nie czytał pan? - Caroline wyciągnęła ramię i podniosła gazetę. - Tutaj, w „Morning Post”. - Podała mu gazetę.

Laurence przeczytał. Twarz mu pociemniała. Przez chwilę kwitł na niej tak morderczy wyraz, że Caroline na wszelki wypadek wyciągnęła dłoń do dzwonka.

- Ożenił się!

- Tak. Czyż to nie wspaniałe? Francuska arystokracja! Pana brat pnie się po drabinie społecznej. - Patrzyła na Laurence'a a niewinnym wzrokiem.

Wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. Luke naprawdę ożenił się z Anną! I to on położy łapę na jej pieniądzech. Zapłaci mu za to! Tym razem nie będzie pomyłki. Odwrócił się i dostrzegł uśmiech satysfakcji na twarzy Caroline.

- Ty mała dziwko... - zaczął.

Caroline ostro pociągnęła za sznurek dzwonka. Zjawił się Ribble.

- Proszę odprowadzić pana Redbourn - powiedziała chłodno. - Więcej nie będzie tu przyjmowany.

Poczekaj, aż drzwi frontowe zamkną się za gościem, i ponownie pociągnęła za dzwonek.

- Wiesz, Ribble - odezwała się, kiedy służący wszedł - Chyba jestem głodna. Powiedz Mary, żeby mi odgrzała trochę tej jej smakowitej cielęciny i placek z szynką.

Tego popołudnia Caroline wysłała do Luke'a list z gratulacjami. Bardzo grzecznie poprosiła w nim o możliwość poznania jego żony, która to z pewnością jest osobą ogromnie czarującą. List napisany był w konwencjonalnym stylu, choć może nieco zbyt wylewnie, i dopiero w postscriptum czała się podstępna groźba, zabezpieczająca piszącą przed odmową. *Dzisiejszego ranka odwiedził mnie Pana brat. Był zaskoczony i niezbyt szczęśliwy z nowych wieści. Zachował się nikczemnie, więc zabroniłam mu się odwiedzać.*

Caroline uznała, że ten dopisek zapewni jej zaproszenie do domu Redbournów. Już wcześniej dochodziły ją plotki o nieporozumieniach Laurence'a z rodziną, a mąż kiedyś powiedział: „Słyszałem, że Redbourn wysłał swojego brata nicponia do Ameryki. W samą porę, moim zdaniem”. Nie chciał rozwinąć tematu, twierdząc, że to nie dla jej uszu. Caroline jednak nie martwiła się o swoje uszy i pospiesznie wypytała pokojówkę, która zawsze wszystko wiedziała. „Malwersacja, madame”, syczącym szeptem wyjaśniła służąca.

Caroline spodziewała się, że Luke będzie chciał wiedzieć więcej o jej spotkaniu z bratem, a ona, jak na starą przyjaciółkę rodziny przystało, oczywiście opowie mu o wszystkim z detalami. Zakazany owoc miał ogromną moc przyciągania.

Została zaproszona na herbatę na niedzielne popołudnie.

Wiadomość o tym zaproszeniu Hester przyjęła z konsternacją. Co powinna powiedzieć Annie? Czy ma jej wyjawic, że Caroline była niegdyś zaręczona z jej bratem? Kiedy próbowała poruszyć z nim ten temat, zbył ją grzecznie, radząc przestać się obawiać o cokolwiek, toteż więcej mu się nie narzucała. Tak długo się wahała, że w końcu było już za późno.

Caroline nie spodobała się Annie od pierwszego wejrzenia. Wdowa; eteryczna, w obcisłej czarnej sukni z jedwabiu, z pięknymi gagatowymi kolczykami w uszach, weszła do salonu z szeroko rozłożonymi ramionami.

- Hester! Moja droga! - Czule ucałowała gospodynię. - Luke! - Luke ukłonił się. - A to zapewne twoja żona. Czarująca, mój drogi, czarująca! - Obejrzała Annę przez lornion, po czym upuściła go z cieniem zawodu.

Anna grzecznie dygnęła. Kim jest ta kobieta, która zwraca się do jej męża po imieniu i która śmie traktować ją z góry?

Usiedli. Hester, podenerwowana i pełna obaw, zadzwoniła po herbatę. Caroline nie przestawała mówić.



- Nic się tu nie zmieniło! - wykrzyknęła. - Chyba tylko Ben jest nieco bardziej korpulentny. Ale ty, Luke, przystojny jak zawsze. - Dostrzegła wyraz twarzy Anny i zatrylowała: - Proszę mi wybaczyć, moja droga pani Redbourn. Znam Luke'a i Hester od zawsze. A nawet kiedyś... - Rzuciła w stronę Luke'a wymowne spojrzenie, lecz zaraz potem, udając zmieszanie, zaczęła się bawić bransoletką.

Zapadła niezręczna cisza.

- To ciasto jest dziełem pani Redbourn - radośnie powiedziała Hester. - Wyśmienita z niej kucharka.

- Naprawdę? - Caroline lekko wygięła brwi. - To ciekawe.

W innych okolicznościach Anna dobrze by się bawiła tą bezsporną złośliwością, ale dzisiaj czuła się wobec tych zachowań bezsilna. Każde zalotne spojrzenie Caroline rzucane Luke'owi, każda uwaga, dotycząca ich intymnych przeżyć z przeszłości, działały na nią jak ukłucia nożem. Owładnęła nią zazdrość, a wraz z nią gniew i desperacja. W końcu doszła do tego, co wzbudzało w niej przez ostatnie kilka tygodni to ciągłe poczucie niepewności.

Była zakochana we własnym mężu.

Pani Simpson wyraźnie dawała do zrozumienia, że kiedyś łączyły ją z Lukiem bardzo bliskie stosunki - być może teraz, kiedy została wdową, miała nadzieję, że się pobiorą? A Luke? Czy po anulowaniu ich małżeństwa ożeni się z tą drapieżną kobietą? Anna dość boleśnie uświadomiła sobie, że wcale jej nie odpowiada *mariage blanc*.

- Jak rozumiem, Laurence nie spotkał się z miłym przyjęciem z twojej strony? - zagaił Luke. Był wściekły na Caroline za dokuczanie Annie, wściekły na siebie, że nie przewidział, iż będzie stosowała swoje stare sztuczki, a jeszcze bardziej za to, że nie powiedział żonie o zerwanych zaręczynach. Widział po

jej drobnej spiętej twarzyczce, że wyrobiła sobie jak najgorsze pojęcie o jego związku z Caroline. Sam był sobie winien.

- Laurence zachował się jak gbur - wyznała wdowa z żalonym westchnieniem. - Nie rozumiem, po co mnie odwiedził, chyba jedynie po to, żeby mnie obrazić. - Zerknęła na Luke'a, oczekując komplementu.

Odezwała się Hester.

- Laurence poluje na twoje pieniądze, Caroline. Nie popełnij błędu w tej kwestii.

- Więc nie chodzi mu o mój wdzięk? - zapytała Caroline kokieteryjnie, zerkając na Luke'a.

- Laurence przede wszystkim dba o swoje sprawy - odparł gospodarz. - Pani powinna wiedzieć to lepiej niż inni.

Caroline zobaczyła, że się zagalopowała. Postanowiła wyciągnąć gałązkę oliwną.

- Był bardzo zdenerwowany wieścią o twoim ślubie. Nawet agresywny. Uznałam, że powinnam cię ostrzec.

- To bardzo miłe z twojej strony - bezbarwnie odparł Luke.

Anna uważnie przysłuchiwała się rozmowie i powoli zaczynała rozpoznawać ukryte podteksty. Coś się tutaj nie zgadzało. Redbournowie, których dotąd miała za bardzo uczciwych, teraz wydali jej się ogromnie podejrzani.

Kiedykolwiek Julia się zakochiwała, czy był to lokaj, czy signor Puglietti, zawsze ten stan kojarzył się Annie bardziej z rozpaczą i łzami niż ze szczęściem. Jednak nigdy poważnie nie współczuła kuzynce. Tego popołudnia, w ciągu tych kilku godzin spędzonych w towarzystwie Caroline Simpson, odniosła wrażenie, że przewaliło się przez nią całe spektrum uczuć. Przyjemność i tkliwość, pewność tego, co czuje do Luke'a, ale także zazdrość, wściekłość i rozpacz.

W myślach posłała Julii przeprosiny.

## 9

Laurence ubrał się z typową dla niego dbałością. Błyszczące od pasty buty, Mar nienagannie związane zgodnie z orientalną modą i pachnąca świeżością bielizna. Dzisiaj miał odebrać dziesięć tysięcy funtów od sir Roberta, a wieczorem przyrzekł sobie zabawę w mieście. Wcześniej przezornie napisał do sir Roberta i z subtelną pogroźką przypomniał, że nadszedł czas zapłaty.

Nie ma wymówek. Dług karciany musi być honorowany, a Laurence zamierzał dopilnować, by kompani sir Roberta z White'a zostali dokładnie poinformowani, gdyby ich przyjaciel chciał się wymigać od zobowiązań. Sir Robert kilkakrotnie mówił Laurence'owi, że to klub White'a jest dla niego prawdziwym domem, azylem. Był zbyt dobrze wychowany, by powiedzieć po prostu: miejscem ucieczki od lady Broxhead, ale Redbourn i tak wiedział, o co chodzi.

Jeśli nie otrzyma czeku na dziesięć tysięcy funtów, sir Robert zostanie wyklęty we wszystkich klubach i kawiarniach przy St James - już Laurence tego dopilnuje. Ale nie sądził, żeby to było potrzebne; chlubił się swoją zdolnością wyczuwania, jak wielki nacisk należy położyć, żeby uzyskać oczekiwany rezultat.

Wziął do ręki laskę i zważył ją. Wyglądała elegancko: hebanowa z posrebrzonym końcem, tylko rączkę miała z ołowiu, o czym mógł się przekonać każdy bandzior z Charles Street, myślący, że Laurence to łatwy cel. Zresztą i tak rozeszła się plotka, że jest szybki i trzyma za pasem nóż, którego nie waha się użyć.

Przeszedł do Drury Lane i tam zatrzymał dorożkę.

Sir Robert czekał na gościa w swojej bibliotece przy Brook Street. On także przez ostatnie kilka dni był bardzo zajęty i, o dziwo, trzeźwy. Nakazał żonie nie wychodzić ze swojego pokoju w czasie wizyty Redbourn, a uczynił to takim tonem, że choć lady Broxhead otwierała już usta do sprzeciwu, zaraz je zamknęła.

Laurence zjawił się punktualnie o jedenastej. Zazwyczaj drzwi otwierał mu lokaj lub pokojówka, jednak tym razem pojawiło się dwóch odźwiernych, prawdziwe okazy siły, wzrostu powyżej sześciu stóp, z mięśniami jak głązy. Skłonili się chłodno na widok gościa, jeden odebrał od niego kapelusz i laseczkę, drugi wprowadził do biblioteki.

Laurence zmrużył oczy. Nie spodziewał się takiego pokazu siły, toteż poczuł się tym nieco zaniepokojony. Sir Robert wstał i wylewnie potrząsnął dłonią wchodzącego.

- Ach, Redbourn. Proszę wejść, proszę. - Krzątał się, podsuwając gościowi krzesło.

Laurence usiadł. Co się dzieje?

- No tak, Redbourn, co mogę dla pana zrobić?

- Doskonale pan wie, co - rzucił nieuprzejmie gość. - Pańska siostrzenica wyszła za mąż, więc w świetle naszej umowy jest mi pan winien dziesięć tysięcy funtów. - Wyciągnął rewers i podał gospodarzowi.

Sir Robert zerknął na kartę.

- Ależ drogi przyjacielu, ja to już uregulowałem! Oczywiście, że nie zaniedbałbym spłaty długu honorowego. Mam gdzieś pokwitowanie. - Przez chwilę szperał na biurku. - A, jest tutaj! Tak, sądziłem, że położyłem go gdzieś na wierzchu. - Podał kwit Laurence'owi i usiadł uprzejmie uśmiechnięty.

Laurence zerknął na podpis.

- Czy to jakiś żart? - Z jego głosu powiało chłodem.

Sir Robert poczuł ukłucie lęku. Dzięki Bogu, że posłuchał rady Luke'a i miał na wyciągnięcie ręki sznurek dzwonka oraz dwóch oddanych lokajów.

- Nie, to nie żart - rzekł z odpowiednią dozą spokoju. - Podpis dżentelmena, któremu byłem winien pieniądze, widnieje na wizytówce. Jak pan zapewne wie, to przestępstwo używać czyjegoś nazwiska w celu wyłudzenia pieniędzy. Mogłem kazać pana aresztować.

- Jestem L.Redbourn - warknął Laurence.

- Ale nie ten, który mieszka przy Ludgate Street - odparował sir Robert uprzejmie. - To właśnie tamten Redbourn dał mi kwit, który teraz trzymasz pan w dłoni.

- Nie zapłacił mu pan złamanego grosza! - Laurence był biały z furii. Na czole niebezpiecznie pulsowała mu żyła.

- To już nie pański interes.

- Nie? Zobaczymy. - Laurence podskoczył i zaczął gniewnie chodzić po pokoju. Dziesięć tysięcy wymykało mu się z rąk. - Bardziej się pan pomylił, jeśli sądzisz, że zostawię tak tę sprawę. Pańscy przyjaciele z White'a nie będą tacy ugodowi, ani ci, którzy byli na King Street, kiedy wygrałem od pana te pieniądze.

- Proszę spróbować i zobaczymy - padła odpowiedź. Za poradą Luke'a sir Robert zwalczył w sobie niechęć do opo-

wiadania o swoich kłopotach i porozmawiał z lordem Zennorem i panem Torkingtonem, kiedy ich spotkał w klubie. Obydwaj uważali, że oszustwo Redbourn jest godne pogardy. Kwit, będący w posiadaniu Broxheada, wystarczał na wymazanie plamy z jego honoru.

- Ten Redbourn to przekłety łowca posagów - zauważył lord Zennor. - Znam takie typki.

- To pijawka - dodał Torkington. - Miałeś rację, że z tym do nas przyszedłeś, Broxhead. Zaraz by się domagał członkostwa w klubie!

- Roześlemy wici. - Lord Zennor przyjacielsko klepnął sir Roberta po ramieniu. - Napijmy się brandy.

Teraz sir Robert z rezerwą obserwował Laurence'a, który przestał już krążyć po pokoju i stanął plecami do gospodarza. Nagle odwrócił się, a w jego dłoni zamigotała stal noża.

- Nie... lubię... oszustów! - Rzucił się do sir Roberta; rozległ się huk przewracanego krzesła. Sir Robert cofnął się z przerażeniem i krzyknął:

- Charles! George!

Dwóch służących wpadło do biblioteki.

Laurence zdążył już dźgnąć gospodarza w ramię, a teraz wskoczył na biurko i zamierzał się do następnego ciosu. Pałał żądzą mordy. Przez chwilę Charles i George stali jak skamieniały, potem Charles chwycił pogrzebacz, a George rzucił się do nóg Laurence'a. Ten zeskakiwał na podłogę akurat w chwili, kiedy pogrzebacz opadał na biurko. Uderzenie nie zwaliło go z nóg, ale zawahał się na ułamek sekundy, co natychmiast wykorzystał George, chwytając prawe ramię Laurence'a i po krótkiej walce wytrącając mu nóż z dłoni. Obydwaj mężczyźni, mocując się wściekle, upadli na ziemię. Charles kopnął nóż pod biurko i pospieszył na pomoc koledze.

- Wsadźcie go do piwnicy - rozkazał sir Robert grubym głosem, kiedy w końcu lokaje obezwładnili napastnika.

Z ramienia Laurence'a kapała krew. Pół leżał, zwieszając się bezwładnie przez oparcie krzesła.

Nagle zsunął się w dół, a ponieważ służący nie trzymali go już tak mocno, udało mu się wyrwać. Błyskawicznie rzucił się do drzwi. Chwycił kapelusz, łaskę i uderzył nią w lustro na korytarzu. W następnej sekundzie rozległ się huk zatrzasujących się za nim drzwi frontowych.

- Bestia! - wysapał Charles. - Wszystko w porządku, George?

- Idźcie po lady Broxhead - wyszeptał sir Robert.

Anna przekonała się, że zakochanie to bardzo absorbujący stan, zajmujący cały dzień, stan, którego nie da się kontrolować. Cała duma z własnego zdrowego rozsądku nagle okazała się niewystarczająca do wytłumaczenia nowych emocji. Wszystko, co dotyczyło Luke'a, zachwycało ją. Tak jakby jego imię zostało wyryte w jej sercu.

Przypominała sobie ze zdumieniem, z jakim politowaniem wysłuchiwała peanów Julii na temat precudownie zbudowanego lokaja czy wspaniale wyrazistych, ciemnych oczu signora Puglietti. Wtedy myślała, że kuzynka jest bardzo głupiutka.

Nagle uprzytomnienie sobie, że sama się zakochała i że o władnęła nią podobnie śmieszna obsesja na punkcie męskiego uroku, stanowiło dla Anny wstrząsające odkrycie. Nie miała wcześniej pojęcia, że można czuć coś tak głęboko lub być tak wsłuchanym we własne emocje. To tak jakby uczyła się nowego języka. Ciepłe brązowe oczy Luke'a, delikatne zmarszczki wokół nich, kiedy się uśmiechał, silne ramiona, to

wszystko napełniało ją zatrważającą mieszaniną przyjemności i podniecenia.

Z niedowierzaniem wspominała chwile, gdy wspólnie udali się do Rundella i Bridge'a. Wtedy, o dziwo, wcale nie zwracała uwagi na fakt, że jest z nim sama, nie odczuwała tak jego bliskości. Jak mogła być tak niewrażliwa? Teraz obecność Luke'a sprawiała jej niemal ból. Musiała się powstrzymywać, by nie doprowadzać do sytuacji, w których mogłaby go dotknąć, a kiedy się do niej uśmiechał, czuła, że odpowiada mu całym ciałem.

Ale... Tak, istniało jedno wielkie ale. Luke zaproponował jej układ, a nie prawdziwe małżeństwo, układ, który miał na celu zapewnienie jej bezpieczeństwa i który miał wyraźnie określony finał - jej dwudzieste pierwsze urodziny. Nie prosił o miłość. Gdyby nie była jego żoną, mogłaby przynajmniej liczyć na to, że jej uczucia zostaną kiedyś odwzajemnione.

W obecnej sytuacji nie mogła nic zrobić. Koniec jest już wyznaczony. W październiku, po urodzinach, dojdzie do unieważnienia ich małżeństwa. Może wtedy poczuje się oswobodzona, bo teraz, spętana nadzieją i perspektywą, że będzie jej odebrana, czuła się jak na torturach. Anna westchnęła. Jak mogła być tak głupia i zgodzić się na to małżeństwo?

Po wizycie Caroline Anna całą noc przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Wciąż padało, a ranek okazał się szary i pochmurny. Anna zawsze lubiła tę porę dnia. Lubiła siedzieć w łóżku i podziwiać rzeźbę Adama i Ewy na szafie. Dzisiaj jednak Ewa dodawała jej mniej otuchy niż zazwyczaj, Adam chyba jednak zamierzał odrzucić jabłko, a wąż wyglądał naprawdę groźnie.

Zaczęła myśleć o wizycie Caroline i od razu wrócił jej zdrowy rozsądek. To oczywiste, że pani Simpson pragnie złapać Luke'a w pułapkę, on zaś nie reagował na jej zaloty.



Co prawda, myślała, nie przestając się torturować, mógł czuć się skępowany obecnością żony i siostry, jednak rozum podpowiadał jej, że to bezsensowne podejrzenia. Tak czy inaczej, kiedyś między Lukiem a panią Simpson istniał jakiś związek, to pewne. Nie wiedziała, czy odważy się zapytać o to Hester.

Jeszcze następnego ranka rozpatrywała ten problem, siedząc w ogródku na kuchennym krześle i łuskając groszek. Obok niej na niskim stołeczku stał kosz na łupiny, a na ziemi miska na groszek. W fartuchu trzymała garść strąków.

Nagle przykrył ją czyjś cień.

- Już kończę, Emmy.

- To nie Emmy.

- L...Luke! - Anna drgnęła.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. - Odstawił kosz i usiadł. - Chciałem z tobą porozmawiać.

- Och. - Anna ze zdwojoną energią zabrała się do obierania groszku.

- Tak, o pani Simpson. Przykro mi, że padłaś ofiarą jej impertyncji.

- Wyraźnie tam przeszkadzałam. - Anna starała się mówić tonem całkiem obojętnym.

- Nie, droga Anno - zaprzeczył Luke i ujął jej dłoń. Groszek rozsypał się. - To pani Simpson była niechcianym gościem, nie ty.

Gładząc wierzch jej dłoni, Luke opowiedział o swoich zaręczynach z Caroline i o ich zakończeniu.

- Ojciec i Hester nigdy nie patrzyli przychylnie na ten związek - mówił. - Wtedy uważałem, że są do niej uprzedzeni. Byłem osiem lat starszy od Caroline i jak żółtodziób sądziłem, że zmieni się po ślubie. Wierzyłem, że obowiązki sprawią, iż się ustatkuje. - Roześmiał się gorzko. - Ale oczywiście to ojciec i Hester mieli rację. Nie pasowaliśmy do siebie.

- Jest bardzo piękna - zauważyła Anna, próbując nie zwracać uwagi na to, że pod palcami Luke'a jej puls wali jak oszałały.

- Jeśli się lubi taką urodę - stwierdził. - Teraz pociąga mnie zupełnie co innego - powiedział, patrząc Annie prosto w oczy.

Zmieszana tym spojrzeniem, odsunęła rękę. Co on ma na myśli...? Czy to możliwe, że...? Nagle nie potrafiła dać sobie rady z tym wszystkim. Po wizycie Caroline nie panowała nad emocjami. Teraz wprost nie śmiała uwierzyć w to, co słyszała. Może to jedynie złudzenie wywołane jej pragnieniami?

Luke westchnął.

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała. - Wstał. - Nie będzie mnie na lunchu. Muszę jechać do magazynów.

Anna, nieszczęśliwa z powodu własnego tchórzostwa, opuściła głowę.

Domownicy z Ludgate Street o ataku Laurence'a dowiedzieli się dopiero następnego dnia, kiedy to Luke otrzymał od sir Roberta list napisany drżącą dłonią. Sir Robert twierdził, że biorąc pod uwagę dobro siostrzenicy, nie potrafi się zdecydować, czy zawiadomić policję o czynie Laurence'a. Pragnęłyby omówić tę kwestię z Lukiem i Anną. Kończył oficjalnym zaproszeniem na kolację. Do końcowych życzeń dołączyła się także lady Broxhead.

Zapowiadało się pojednanie.

Anna skrzywiła się.

- Ostatnim razem, kiedy widziałam ciotkę Susan, nazwała mnie krwiopijczynią, a może to był bękart diabła? Tak czy inaczej, coś w tym rodzaju.

- Może powinienem spróbować przekonać ją, że jesteś warta więcej niż wszelkie klejnoty - zauważył Luke.

- Och, nie sądzę, żeby się tym przejęła! Uznałaby tylko, że nie jesteś dość bystry.

Luke wybuchnął śmiechem.

- Anno, mogę ci pomóc wykończyć halkę do twojej różowej sukni - praktycznie zaproponowała Hester. - Luke, kiedy jest ta kolacja?

Zerknął do listu.

- W środę, dziewiętnastego sierpnia.

- Ja także wychodzę - poinformowała Hester. - Minerva zaprosiła mnie na wieczór literacki pana de Clifforda. - Zauważyła, że zarówno Anna, jak i brat nie mają pojęcia, o kim mowa, więc dodała: - „Uwagi i przykłady obrazujące i wpajające stosowność dokładnego przekazu języka pisanego”, przynajmniej tak piszą w „The Times”!

- Hester, czy ty to zrozumiesz? - zapytał Luke z uśmiechem.

- Prawdopodobnie nie. - Siostra nie wyglądała na obrażoną.

- Ale Minerva lubi mieć przy sobie kogoś, z kim może podyskutować, więc będę musiała wykrzesać z siebie, ile tylko się da.

Anna sięgnęła po gazetę.

- Na całe szczęście wieczór będzie okraszony występem wyśmienitych pieśniarzy! - powiedziała złośliwie. - Przypuszczam, że jednak uda ci się nie zasnąć!

Cała trójka zaczęła dyskutować o tym, czy złożyć doniesienie na Laurence'a, ale nie ustalili niczego wiążącego. Hester ze łzami w oczach prosiła, by dać młodszemu bratu jeszcze jedną szansę. Wiedziała, że Laurence gdzieś w głębi duszy jest dobry. Przypomniała, że przysłał jej z Ameryki prezent. Z pewnością istnieje jakiś sposób, żeby dotrzeć do jego serca i namówić, by zszedł z drogi zła.

Luke nie zdradzał podobnej naiwności. Już kilkakrotnie Laurence dostawał nową szansę i nigdy z niej nie skorzystał. Tym razem do oszustwa dodał przemoc. Wcześniej czy później ktoś poważnie przez niego ucierpi albo nawet zginie z jego ręki, a Luke nie chciał, by członek jego rodziny skończył na szubienicy.

Anna starała się nie wyrażać swojej opinii. Laurence nie był jej bratem. Osobiście uważała, że jest odrażający, jednak rozumiała, że stojąca przed Redbournami decyzja może być bardzo ciężka do podjęcia. Naciskana przez Luke'a, powiedziała tylko, że zaakceptuje ich wybór. Prosiła, żeby nie przejmowali się tym, czy jej imię będzie wymieniane w sądzie.

- Nie powiem, żeby to była miła perspektywa, ale jeśli uznacie, że sprawiedliwości powinno stać się zadość i że może to uchronić ewentualne przyszłe ofiary Laurence'a, to ja, oczywiście, wypełnię swój obywatelski obowiązek.

W środowy wieczór Anna i Luke wyruszyli na Brook Street. Anna uważała, że mąż wygląda bardzo dostojnie w ciemnozielonym wieczorowym surducie, szarych spodniach do kolan i wymaganych wieczorowych trzewikach. Sama miała na sobie nową różową suknię z jedwabiu. Była zdenerwowana, bo po raz pierwszy od opuszczenia Brook Street miała zobaczyć się z wujostwem. Poza tym bardzo dokuczała jej świadomość bliskości Luke'a. Wiedziała, że nie jest tak przystojny jak jego brat, ale nie miała wątpliwości, który z nich bardziej jej się podoba; jego bliskość źle wpływała na jej puls.

- Nadal nie wiem, co mam powiedzieć sir Robertowi - stwierdził Luke, kiedy jechali dorożką. - Biedna Hester jest taka przestraszona.

- Ostatecznie to powinna być decyzja sir Roberta. - Anna wdzięczna była mężowi za poruszenie tego neutralnego tematu.

- Ale on może dostać wyrok śmierci - martwił się Luke. - A już co najmniej wydalenia z kraju. Nazwisko Redbournów na zawsze zostanie splamione.

Anna uważała, że skoro Laurence ją porwał, a w dodatku próbował zastrzelić jej męża, to dobrze mu zrobi, jeśli wyląduje w Botany Bay. Na myśl o tym, że jej matka zmarła w więzieniu, nie popełniwszy żadnej zbrodni, Anna czuła, że w jej sercu nie ma miejsca na współczucie dla Laurence'a.

- W czasach Terroru nazwisko de Cardonnel zostało wyklęte, a nasze mienie skonfiskowane - zauważyła. - Czy to czyni z nas przestępców?

- Uważasz, że sir Robert powinien wnieść oskarżenie, prawda? - Luke odwrócił się do żony.

Westchnęła.

- Luke - zaczęła łagodnie. - Rozumiem, że to dla ciebie bardzo ciężkie. Powiedziałam, że uznam twoją decyzję. Chcę tylko zaznaczyć, że sądzę, iż jeden zhańbiony członek rodziny nie przynosi ujmy innym. Ty i Hester zachowacie szacunek społeczeństwa, jestem tego pewna.

- Dziękuję. Jednak chodzi tu także o twoje nazwisko, Anno, ponieważ jesteś moją żoną.

- Tak - potwierdziła. - Wiem. Nie widzę powodu, dla którego miałabym się wstydzić, że jestem panią Redbournową.

- Naprawdę tak uważasz? - Luke patrzył na nią badawczo.

- Tak. Och, dojechaliśmy. - W głosie Anny brzmiała mieszanina ulgi i zawodu. Może to i lepiej, pomyślała. Przyćmione światło w dorożce prowokowało do wyznań i bała się się, że może zdradzić zbyt wiele uczuć.

Kiedy Luke płacił za przejazd, Charles otworzył drzwi domu. Najwyraźniej tego dnia obowiązywała wytworność. Zarówno sir Robert, jak i lady Broxhead czekali na gości

w holu. Lady Broxhead wyskoczyła do przodu z wylewnym powitaniem.

- Witam drogą panią Redbourn. - Podstawiła Annie policzek do pocałunku. - Panie Redbourn... - Wyciągnęła dwa palce.

Sir Robert zachowywał się bardziej naturalnie. Prawe ramię miał na temblaku, ale poza tym prezentował się doskonale.

- Anno, ty trzpiotko. - Ucałował siostrzenicę w obydwie policzki i odsunął od siebie. - Małżeństwo ci służy. - Szturchnął Luke'a w żebra. - Widzę, Redbourn, że wie pan, jak się opiekować żoną!

Luke uśmiechnął się słabo.

- Jak się pan miewa, sir Robercie? Cieszę się, widząc, że jest pan cały i zdrowy. - Wskazał na ramię.

- E tam! Małe zadraśnięcie. Nic poważnego. - Ściszył głos. - Miałeś rację, ostrzegając mnie, drogi chłopcze. Dobrze się stało, że służący byli pod ręką. - Zerknął na miejsce, gdzie jeszcze niedawno wisiało lustro. Nie udało się go naprawić, więc zostało usunięte. Na jego miejscu zawisł duży, raczej ponury wizerunek pradziada sir Roberta w towarzystwie jego trochę niemrawego psa.

- A teraz - oświadczyła majestatycznie lady Broxhead, prowadząc gości do salonu - mamy dla was niespodziankę. - Otworzyła drzwi.

- Julia! - zawołała Anna radośnie. - I pan Wellesborough! Jak to wspaniale znowu was zobaczyć. - Czule objęła kuzynkę, po czym przedstawiła jej Luke'a.

Anna zauważyła z lekkim ukłuciem zazdrości, że Julia wygląda kwitnąco. Wydawała się całkiem pogodzona z panem Wellesboroughem. Przy każdej okazji mówiła o nim: „kochany Wellesborough”. Opowiadała bez tchu o miesiącu miodowym, o nowym domu, o tym, że wszystko jest wspaniałe.

Potem, spojrzawszy na męża, zasłoniła usta wachlarzem i szepnęła do Anny:

- Małżeństwo jest o wiele bardziej zabawne, niż się spodziewałam! Mama nigdy nic mi o tym nie mówiła! - Zachichotała.

Anna pomyślała, że Julia, dzięki Bogu, odziedziczyła po ojcu zdolności cieszenia się życiem, a nie pruderyjność po matce.

Kilka minut upłynęło na wymianie uprzejmości, potem pojawił się lokaj i oznajmił, że podano kolację.

- Ponieważ jesteśmy w rodzinnym gronie, proponuję nie przejmować się zbyt ceremoniałem - stwierdziła lady Broxhead, kiedy przechodzili do jadalni. - Panie Wellesborough, proszę zająć miejsce po mojej prawej? Panie Redbourn? - Wskazała na drugą stronę. Julia napotkała wzrok Luke'a i uśmiechnęła się krzywo.

Anna, na drugim końcu, wyglądała na wściekłą.

- No, nie przejmuj się tak - powiedział sir Robert, klepiąc ją po dłoni. - Wiesz, jaka jest ciotka Susan. Chce tylko przegonić twój męża przez kilka przeszkód.

- Mój mąż nie jest koniem! - zaoponowała Anna.

- To rozsądny mężczyzna. Nie da się jej. Zobaczysz.

Tym razem sir Robert nie zapomniał odrobić pracy domowej. Przed przyjściem gości powiadomił żonę, że Luke Redbourn to szanowany, rozwijający się przedsiębiorca, wart tysiąc rocznie, a może nawet więcej. Anna dobrze wybrała. Lady Broxhead, naturalnie, pierwsze dziesięć minut poświęciła panu Wellesboroughowi, po czym zwróciła się do Luke'a. Tak jak wypadało, zabawiał rozmową siedzącą po jego lewej ręce Julię, ale zarazem nie przestawał obserwować poczynań gospodyni. Kiedy się do niego odezwała, posłał Julii przepaszający uśmiech i całą uwagę skupił na lady Broxhead.

Nie mogła mu nic zarzucić; trochę zawiedziona, uznała, że zachowuje się, jak na dżentelmena przystało. Mówił spokojnie i całkiem rozsądnie. Trzeba iść z duchem czasu. Postanowiła, że spróbuje namówić pana Redbouma, by wspomógł jedną z jej akcji dobroczynnych. Może nawet zasiądzie w zarządzie którejś z nich? W końcu nie należy gardzić bogatym przedsiębiorcą.

Później, przy kieliszku porto, panowie rozpoczęli dyskusję o palącym problemie związanym z Laurence'em. Sir Robert musiał wcześniej opisać sytuację Wellesboroughowi, bo ten doskonale orientował się w temacie i miał własne zdanie, zadziwiająco rozsądne. Jak sam wyjawiał, również w jego rodzinie jeden z wujów zszedł na złą drogę - okazało się, że zajmował się przemytem. Rodzina próbowała to ukryć, ale wuj szybko się staczał. Pan Wellesboroug nie sądził, żeby przy-mykanie oka na przestępstwo wychodziło komukolwiek na dobre.

- Redbourn, to rozumiały, że nie chcesz zszargać nazwiska.  
- Zakaszłał.

Luke wzruszył ramionami.

- Przychyłam się do pańskiego zdania. Kiedy po raz pierwszy przyłapano brata na defraudacji, jego pracodawca zgodził się nie wnosić oskarżeń przez wzgląd na naszego ojca. Nie twierdzę, że źle postąpił - zresztą szok wywołany tą sprawą z pewnością przyspieszył śmierć ojca - jednak jestem przekonany, że nasza pobłażliwość oznaczała dla brata tylko to, że spokojnie może wrócić do Anglii, chociaż mu tego zakazałem. Pewnie myślał, że skoro raz mu wybaczyliśmy, uczynimy tak ponownie.

- Kilka osób ucierpiało już przez niego - przypomniał sir Robert. - Ty sam, Redbourn, moja siostrzenica i ja. -I śliczna Helen Clarkson, dodał w myśli.



- Powiedziałbym, że co za dużo, to niezdowo - wtrącił Wellesborough. - Choć, oczywiście, to nie moja sprawa.

- Może zapaść wyrok skazujący na powieszenie - trzeźwo zauważył sir Robert. Chociaż ramię nadal go bolało, nie był przekonany, czy chce mieć na sumieniu śmierć człowieka.

- Dlaczego, sir, nie mielibyście wraz z panem Redbournem ostrzec Laurence'a? Jeśli ma trochę rozumu w głowie, ucieknie z kraju - zaproponował Wellesborough. W duchu uważał, że wszyscy obecni będą zachwyceni takim rozwiązaniem, bo Laurence zniknie im z oczu.

- Aż szkoda znowu zwałać go na głowę Amerykanom - rzucił Luke. Łączyły go interesy z kilkoma przedstawicielami tego kraju. Poznał ich bliżej i polubił ich oryginalną prostolinijność.

- A więc ustalone? - zapytał sir Robert po kilku minutach dalszej dyskusji. - Wspaniale. Dołączmy więc do pań.

Peggy przyglądała się Helen krytycznym okiem. Znajdowały się w pokoju Helen, która, oparta jedną ręką o krzesło, ćwiczyła pozycje baletowe. Jest tak samo pełna wdzięku jak wcześniej, ale straciła giętkość, myślała Peggy. No cóż, może to wróci.

- Co sądzisz, Peggy? - Helen dobrze wiedziała, że przyjaciółka zawsze ostrożnie wyraża opinie, a potrzebowała uczciwej oceny swoich szans powrotu do teatru. Wiedziała, że nie wróciła jeszcze do dawnej formy, ale zaczynało jej brakować środków do życia. Bardzo oszczędnie obchodziła się z pieniędzmi od Luke'a, lecz i tak musiała najpóźniej przez następne dwa tygodnie znaleźć jakąś pracę.

- Wyglądasz starzej - powiedziała w końcu garderobiana.

Helen zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Bruzda na twarzy prawie znikła, zagoiły się rozcięte usta, ale po tych dramatycznych przejściach wigor młodej dziewczyny gdzieś się ulotnił.

- Ale poprawiłam się, prawda? - zapytała z nadzieją.

Peggy usiadła na łóżku.

- Poradziłaś sobie wspaniale, Helen. Zawsze dobrze ćwiczyłaś. Ale czy pan Kemble będzie...

- Musi - z desperacją powiedziała Helen. - Nie wiem, co...

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili ukazała się twarz właścicielki pensjonatu.

- To znowu sir Robert Broxhead, panno Clarkson! - wyszeptała z ekscytacją. - Zaprowadziłam go do mniejszego saloniku.

Helen wymieniła z Peggy szybkie spojrzenie.

- Dziękuję pani. Proszę mu powiedzieć, że zaraz do niego zejdę.

W chwili, gdy drzwi się zamknęły, Peggy powiedziała:

- To twoja największa szansa, Helen. Już nigdy nie musiałabyś ćwiczyć. - Podeszła do szafy i otworzyła ją. - Masz, włóż to. Nie należy niczego pozostawiać przypadkowi. - Wyjęła niebieską, mocno wyciętą suknię. - Zawsze dobrze w niej wyglądałaś. Szybko. Nie możesz pozwolić, żeby dżentelmen na ciebie czekał!

- Zostaniesz, dopóki nie wrócę? - Helen z pośpiechem ściągała z siebie starą suknię.

- Będę czekała z zapartym tchem.

Sir Robert stał przy kominku i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w parę porcelanowych psów. Gdy podniósł oczy, Helen z satysfakcją stwierdziła, że na jej widok szczęka mu opadła. Jako wdowa w czerni prezentowała się szacownie i skromnie. Ostatnim razem, kiedy się widzieli, miała podbite

oko i przykryta szalem leżała na sofie. Teraz, w obcisłej sukni, z wielkim dekoltem odkrywającym pełny biust, wyglądała wprost prześlicznie.

- Panno Clarkson. - Gość pochylił się nad jej dłonią. - Jestem szczęśliwy, widząc, że lepiej się pani czuje.

- Dziękuję, sir Robercie, za smakowite owoce, które mi pan przysłał. Nie pisałam, ponieważ nie chciałam sprawiać panu kłopotu.

I na dodatek taktowna, pochwalił w myśli sir Robert. Helen zaś kontynuowała:

- Rzeczywiście czuję się o wiele lepiej. Właśnie ćwiczyłam w swoim pokoju na górze. Ukłoniła się wdzięcznie, nie zważając na ból w plecach.

- Wraca pani do pracy, tak?

Helen westchnęła.

- Nie mam wyboru, sir Robercie, jeśli tylko pan Kemble mnie przyjmie. Ale co z panem? Widzę, że ma pan zranione ramię.

Gość streścił pokrótce ostatnie wydarzenia, a Helen, słusznie domyślając się roli, jaką powinna odegrać, wydała z siebie kilka głośnych okrzyków zachwytu nad odwagą sir Roberta.

- Mógł pana zabić!

- E tam! Wezwałem służbę. Dwóch silnych byczków.

- Jestem pewna, że jest pan zbyt skromny - upierała się z kokieterią i podziwem. - Wykazał pan ogromną odwagę, stając twarzą w twarz z człowiekiem uzbrojonym w nóż. Szkoda, że udało mu się uciec. - Helen nie była ucieszona faktem, że Laurence nadal biega wolno po Londynie. - Ale pozbył się pan długu, to chyba najważniejsze.

- Skończyłem z graniem - oświadczył sir Robert. - To zbyt ryzykowne.

- Przykro mi - współczująco rzuciła Helen. Praktycznie we wszystkich klubach i tawernach kwitł hazard. - Będzie panu tego brakowało.

- Miło, że jest pani taka wyrozumiała - z wdzięcznością odparł sir Robert. Żona na tę wieść tylko sarknęła i powiedziała: „Najwyższy czas”. - Nic innego mi jednak nie pozostaje. Już od jakiegoś czasu podejrzewałem, że nie mam głowy do gry. Muszę przyznać, że te ostatnie tygodnie w szponach Redbourny to była prawdziwa katorgia.

- Każdy, kto wpada w sidła Laurence'a, przechodzi przez piekło - zgodziła się gorąco.

Sir Robert przez cały czas stał oparty o kominek. Teraz usiadł na sofie obok Helen. Dotknął jej podbródka i przekreślił jej głowę tak, by na niego spjrzała.

- Zaplanowałem niejedną zmianę - zaczął tajemniczo. - Żaden ze mnie młodzieniaszek, Helen, ale jeśli jesteś zainteresowana, moglibyśmy dobić targu.

Uśmiechnęła się.

- Jakie są pana warunki, sir Robercie?

- Nie ma sensu owijać niczego w bawełnę - rzucił otwarcie. - Nigdy nie potrafiłem pięknie mówić. Ty idziesz ze mną do łóżka, a ja się tobą zaopiekuję. To wszystko. Co ty na to?

Luke napisał do Laurence'a i choć nie otrzymał odpowiedzi, to nie dochodziły go też wieści o nowych ekscesach brata. Walter sprawdził, że Laurence opuścił pokoje przy Charles Street. Redboumowie mieli nadzieję, że brat wziął sobie do serca ich ostrzeżenia i wyjechał z kraju. Skończył się sierpień i rozpoczął wrzesień. Do urodzin Anny pozostał niecały miesiąc.

Dni stawały się wyczuwalnie krótsze, a wieczorne powietrze coraz chłodniejsze.

Pewnego razu Luke przyszedł na obiad trzymając w dłoni list.

- Anno, czy mogłabyś mi to przetłumaczyć?

Dziewczyna spojrzała na kopertę.

- Tak, oczywiście. Nie wiedziałam, że prowadzisz interesy z Francuzami. Sądziłam, że trwa blokada?

- To prawda. - Uśmiechnął się. - Na szczęście nie jest bardzo szczelna. Ten list pochodzi z Luksemburga. Wielu Luksemburczyków nie zgadza się z okupacją ich kraju przez Francuzów i ochoczo łamią blokadę, jeśli tylko mogą.

- Chętnie przetłumaczę - zapewniła Anna. - Z tym że są w nim pewne techniczne terminy, których nie jestem pewna.

- Dziękuję.

- Zrobię to z przyjemnością - dodała szczerze. Gdyby była mężczyzną, prawdopodobnie zarabiałaby na życie właśnie taką pracą. Wiedziała, że potrafi poprawnie formułować zdania i biegle włada obydwoma językami. Cieszyła ją perspektywa pracy umysłowej.

Po jakimś czasie została poproszona o przetłumaczenie na francuski odpowiedzi na list.

- Zawsze lubiłam obce języki - wyznała, oddając Luke'owi, przetłumaczony tekst. - Ciotka Susan była oburzona, kiedy rozpoczęliśmy lekcje śpiewu z signorem Puglietti, ale ja bardzo chciałam uczyć się włoskiego! Szkoda, że te lekcje się już skończyły. Bardzo tego żałowałam.

- Naprawdę, Anno? - Luke wyglądał tak, jakby się nad czymś zastanawiał. - Jak ci szła nauka? Mam na myśli włoski?

- Na tyle dobrze, że potrafiłabym przetłumaczyć listy pisane po włosku na angielski.

- A w odwrotną stronę?

- Chyba też, chociaż zapewne musiałabym wznowić lekcje.  
- Zamilkła i z nadzieją popatrzyła na męża. - Och, Luke! Czy to byłoby możliwe? Nie chcę ci się naprzykrzać, ale jeśli mogłabym jakoś się przydać w twojej firmie, byłabym szczęśliwa.

- Naturalnie, że możesz wziąć lekcje włoskiego, Anno. Nie miałem pojęcia, że tego pragniesz. Czy masz adres signiora Puglietti?

- Dziękuję! - Anna podeszła do Luke'a, zawahała się, ale po chwili na moment dotknęła jego ramienia.

- Widzę, że nie zasługuję nawet na całusa - rzucił pół żartobliwie, pół ironicznie. - Nieważne. Podaj mi adres signiora Puglietti, a zobaczę, co się da zrobić. - Wyszedł z pokoju.

Anna wpatrywała się w zamknięte drzwi z beznadziejną tęsknotą w oczach. Dlaczego jest takim tchórzem? Znała odpowiedź. Bała się, że zostanie odrażona.

- Tłumaczenie urzędowych listów - z powątpiewaniem powiedziała Hester tego wieczoru po kolacji, kiedy usłyszała o nowym zajęciu Anny. - Czy dama powinna robić takie rzeczy? To nie znaczy, że chcę ci coś dyktować, droga Anno.

Dziewczyna uniosła podbródek.

- Jestem pewna, że twoja przyjaciółka, panna Leatherbarrow, poparłaby mnie - zauważyła. - Dlaczego kobieta nie powinna tłumaczyć listów, jeśli umie to robić?

- Przycisnęła cię do ściany - rzucił z rozbawieniem Luke.  
- A więc zgadzasz się z naszą Ateną z Islington, Anno?

- Lubię ćwiczyć umysł - odparła krótko. - Właśnie tego nie potrafiła zrozumieć ciotka Susan. Cieszyła się, kiedy jej córka umiała zaśpiewać jakąś włoską piosenkę, jednak poważną naukę języka włoskiego uważała za przesadę. - Zamilkła i raczej smutno wpatrywała się przed siebie. - Papa by mnie

zrozumiał. Mówił pięcioma językami. Podejrzewam, że to po nim odziedziczyłam talent do języków.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc - stwierdził Luke. - Redbourn i Sons musi korespondować z Francuzami. Jeśli uda się to także z Włochami, to jeszcze lepiej.

- Ależ, Luke! Nie możesz zatrudnić Anny! - zawołała Hester, wyraźnie zbulwersowana.

- Uważam, że jest wspaniały - szepnęła Anna. Spojrzała na Luke'a i udało jej się lekko uśmiechnąć.

Anna widziała Minervę tylko raz i to przez chwilę, ale bardzo jej przypadła do gustu ta kobieta, która, w jej opinii, pozbawiona była cienia hipokryzji. Nie zwracała uwagi na pewną niezdarność Minervy, była natomiast pod wrażeniem jej walki o równe prawa dla kobiet. Rodzice panny Leatherbarrow niezbyt się ekscytowali przebojowością córki, jednak nie ulegało wątpliwości, że silną osobowość ich córki wzmocnił sukces, jaki odniosła prowadzona przez nich szkoła dla pańien. Minerva miała charakter. Krnąbrne uczennice aż kuliły się pod jej sokolim wzrokiem. Trochę za duża intelektualistka z tej nauczycielki, martwiła się niejedna matka, ale szybko pocieszała się myślą, że prawdziwej damie wiedza wywietrzeje z głowy wraz z rozpoczęciem sezonu towarzyskiego.

Pustogłowe dziewczęta w rodzaju Caroline zadziwiająco dobrze dawały sobie radę w szkole Leatherbarrowów. Caroline nie odznaczała się wielkim polotem, ale miała porządną charakter pisma, doskonale literowała słowa, a jej ojciec systematycznie płacił na szkołę trzydzieści funtów rocznie. Był przekonany, że córka i tak bardzo szybko zapomni te nonsensowne lekcje z ekonomii.

Anna wraz z Hester odwiedziła Leatherbarrowów w ich domu w Islington. Nie licząc wyjazdu z Julią do Ramsgate krótko po śmierci ojca, Anna rzadko kiedy przekraczała granice Londynu. Bardzo jej się podobała otwarta przestrzeń pól i wzgórz oraz panorama City. Dom Leatherbarrowów otaczał kilkuakrowy sad. Na podwórzu grupa dziewcząt grała w piłkę - ich białe sukienki z kolorowymi szarfami powiewały na wietrze.

- Czy ty także uczęszczałaś do tej szkoły, Hester? - zapytała Anna.

- Tak, pozostawałam tu przez cały tydzień, a do domu jeździłam tylko na sobotę i niedzielę. Bardzo mi się tu podobało.

- Hester popatrzyła ze wzruszeniem na rozrośnięte jabłonie. - Byli dla mnie dobrzy po wypadku.

- Biedna.

- To była moja wina - wyjaśniła z udawaną wesołością. - Uwielbiałam zjeżdżać w domu po poręczy, choć stanowczo mi tego zabroniono. Spadłam. Widziałaś dobudowany podest na pierwszym piętrze? Miałam szczęście, że się nie zabiłam.

- Widziałam. - Jakie to dziwne, pomyślała Anna, żyć w otoczeniu, które nieustannie przypomina o własnej dziecięcej niefrasobliwości i jej tragicznych skutkach.

- Biedna matka - smutno dodała Hester. - Kaleka córka to prawdziwy kłopot. Żadnych perspektyw na małżeństwo, rozumiesz?

- Nie rozumiem. - Anna starała się ukryć gniew. To, co słyszała na temat pani Redbourn, nie wzbudzało w niej sympatii dla tej osoby. Krytykowała Hester, kiedy powinna była ją wesprzeć; pobłażała Laurence'owi, zamiast nim pokierować. Szczerze mówiąc, pani Redbourn była głupią kobietą. Luke rzadko wspominał matkę, choć raz napomknął, że wie, iż nie



jest tak przystojny jak brat, ponieważ matka często mu to powtarzała.

- Nigdy specjalnie dobrze nie myślałam o małżeństwie - wyznała Hester z uśmiechem. - Może cię to zdziwi. Za to zawsze bardzo pragnęłam pomagać Minervie w szkole.

Kobieta, o której była mowa, właśnie podążała w ich stronę ogrodową alejką.

- A więc jesteście. Wspaniale! Mama już wstawiła czajnik na herbatę. - Ucałowała Hester i potrząsnęła dłonią Anny. Potem odwróciła się i energicznie ruszyła w drogę powrotną do domu.

Anna już wcześniej zdążyła się zorientować, że panna Leatherbarrow steruje wydarzeniami zgodnie ze swoim życzeniem. Starsza pani Leatherbarrow, po przygotowaniu herbaty i grzecznym podziękowaniu ze strony córki, zostawiła gości. Trzy kobiety znajdowały się w małym pokoi-ku, który Minerva wyraźnie przystosowała do własnych potrzeb. Było tu wiele książek, niektóre z nich - *Prawa człowieka* Toma Paine'a i angielskie tłumaczenie *Listów filozoficznych* Voltaire'a - wyraźnie wskazywały na upodobania właścicielki.

Pokój pozbawiony był ozdób - Minerva uważała je za niepotrzebne - ale na ścianach wisiały satyryczne ryciny, głównie prace Hogart'cia. Hester odwracała wzrok, lecz Anna z chęcią by się im bliżej przyjrzała. Przyjaźń tych dwóch kobiet wydawała się prawie niemożliwa, jednak przeciwieństwa widocznie się przyciągają. Minerva była odważna, Hester nieśmiała, i zdaje się, że wrażliwa z natury Hester była jedną z niewielu osób, które bezpośrednio i szorstko w obejściu nauczycielka włączyła do grona swoich bliskich znajomych.

- A więc, pani Redbourn, słyszałam, że wreszcie poznała

pani niepokieszoną wdowę. - Panna Leatherbarrow wyraźnie nie zwykła owijać rzeczy w bawełnę.

- To prawda, spotkałam wdowę - sucho przyznała Anna.

- Ha! - Minerva zaśmiała się ostro. - Prawdziwa dama, prawda? Domyślam się, że nie przypadła pani do gustu.

- Minervo! - Hester poczuła się zmuszona do pohamowania przyjaciółki. - Uważaj, co mówisz! Możesz kogoś obrazić. Anno, nie zwracaj na nią uwagi, zawsze jest taka.

Anna także się roześmiała.

- Ależ, Hester, rozmawialiśmy już o tym. Zgodziłyśmy się co do tego, że pani Simpson była umyślnie złośliwa. To jasne, że panna Leatherbarrow też to widzi.

- Luke głupio się w niej kiedyś zadurzył - stwierdziła Minerva, wykrzywiając usta i w ten sposób pokazując, co sądzi o męskich gustach. - Nigdy nie widziałam tak oczarowanego mężczyzny. Jakby stracił cały rozum.

Anna czuła, że jej żołądek skręca się w węzeł. Nie chciała słuchać, że Luke był kiedyś szaleńczo, opętańczo zakochany w Caroline Simpson.

- Już mu to minęło - mruknęła Hester. - Po wyjściu Caroline Luke powiedział, że cieszy się, iż ją zobaczył, ale wolałby nigdy więcej jej nie oglądać.

- No, mam nadzieję - sarknęła Minerva. - Jeśli mężczyzna nie potrafi po siedmiu latach zebrać się do kupy, zasługuje na wszystko, co go spotyka. Jednakże, skoro się ożenił z naszą przyjaciółką, zdaje się, że rzeczywiście wrócił mu rozum.

- Oczywiście, lubi Annę - przyznała Hester.

Lubi! Anna oburzyła się. Tak, prawdopodobnie Hester ma rację. Niestety, Annie to nie wystarczało.

Anna i Hester wyjechały z Islington około szóstej po południu. Z inicjatywy Minervy odjechały kolaską pastora, chudego,

wysuszonego małego człowieczka, wyglądającego na ogromnie zmieszanego faktem, iż ma towarzyszyć dwóm damom. Po podziękowaniach i pożegnaniach obydwie panie wsiadły do kolaski.

Powóz przeznaczony był dla dwóch osób, ale ponieważ obie panie i woźnica byli szczupli, jakoś się w nim pomieścili. Anna, owiewana chłodnym i przyjemnym wieczornym wietrzykiem, rozkoszowała się widokiem wielkiej kopuły katedry św. Pawła i wszystkich iglic City, rysujących się ponad dachami domów. Przypomniała sobie, że ostatni raz zwróciła uwagę na ten widok stojąc na dachu nad pokojem Laurence'a.

- Miło jest wyjechać z Londynu.

- Tak, wiem. Czułam to każdego poniedziałku, kiedy wracałam do szkoły, nawet zimą. Powietrze jest wtedy takie ostre i czyste.

- I takie spokojne - dodała Anna. Mijali stado owiec pasących się na łące. - I to wszystko tak blisko City.

- Co jest na kolację? - zapytała Hester. - Przez to wiejskie powietrze zrobiłam się głodna.

- *Gigot a le Bretonne*, jeśli Emmy nie zapomniała go wstawić. Zostawiłam instrukcje, nawet napisałam na kartce, ale wiesz, jak wygląda czytanie Emmy.

Kolaska skręciła na Ludgate Street i zatrzymała się. Panie wsiadły i podziękowały pastorowi, który w odpowiedzi dotknął kapelusza, po czym zawrócił konia.

- Okiennice nie są otwarte - ze zdziwieniem zauważyła Hester.

- A drzwi frontowe nie zamknięte - dodała Anna.

Popatrzyły na siebie z przestachem. Anna pchnęła drzwi.

- Walter! Emmy!

Żadnej odpowiedzi. Hester ruszyła do kuchni.

Anna otworzyła drzwi do biura i aż jęknęła. Pokój wyglądał tak, jakby przewalił się przez niego huragan. Wszystkie szuflady w biurku Luke'a były powysuwane. Krzesła i stołki poprzewracane i połamane. A najgorsze, że drzwiczki ciężkiej kasy, znajdującej się w kącie pokoju, stały otworem. Wszędzie na podłodze walały się kawałki drewna. Anna już chciała zawołać Hester, kiedy usłyszała czyjś jęk.

Luke, spętany, z przewiazanymi oczami i kawałkiem szmaty mocno wepchniętej w usta, leżał nieruchomo za biurkiem. Serce Anny stanęło z przerażenia. Luke znowu jęknął.

Dziewczyna pospiesznie rozejrzała się. Na podłodze leżały biurowe nożyczki. Schwyciła je i uklękła obok Luke'a, po czym delikatnie rozcięła szmatę zasłaniającą mu oczy. Był tylko na wpół przytomny, otworzył oczy, ale zaraz znowu przymknął powieki. Anna pociągnęła za knebel.

Następnie gorączkowo porozcinała sznury unieruchamiające ręce i stopy. To z pewnością dzieło Laurence'a. Liny wbiły się Luke'owi w nadarstki i kostki, pozostawiając w tych miejscach głębokie bruzdy. W końcu Anna przecięła ostatnią.

Na stole stał wazon z kwiatami. Wyrzuciła je na podłogę i przeniosła wazon do miejsca, gdzie leżał Luke. Zanurzyła w wodzie szmatę i delikatnie przetarła nią twarz męża. Na chwilę otworzył oczy.

- Anna?

- Ciii, wszystko w porządku. - Po policzkach spływały jej łzy ulgi. - Och, Luke, myślałam, że nie żyjesz! - Upuściła szmatę, objęła męża delikatnie i przytuliła. W tym momencie w ogóle nie myślała o tym, czy Luke się dowie, co do niego czuje. Pragnęła tylko trzymać go blisko siebie i cieszyć się tym, że żyje.

Oparł głowę na jej ramieniu. Delikatnie gładził ją po włosach. Milczeli.

- Anno! - Od drzwi doszedł ich okrzyk Hester.

Dziewczyna podniosła głowę.

- Było włamanie - powiedziała. - Luke jest ranny, ale chyba niezbyt poważnie. Gdzie Emmy i Walter?

- Biedną Emmy zamknęli w komórce na węgiel - poinformowała Hester. - Dochodzi do siebie w kuchni. Nie mam pojęcia, gdzie jest Walter.

- Wyszedł coś załatwić - rzekł Luke słabym głosem. - Anno, kochanie, podaj mi brandy.

- Ja przyniosę. - Hester wyszła z pokoju.

Luke, przytrzymując się Anny, powoli usiadł. Rozejrzał się po pokoju, oceniając szkody; połamane krzesła, rozrzucone papiery.

- Kasa - powiedział w końcu.

- Wiem - odparła Anna. - Ale najważniejsze, że nic ci się nie stało.

- Nie - sprzeciwił się już silniejszym głosem, próbując wstać. - Były tam ważne dokumenty. Jeśli ich nie odzyskam, będę zrujnowany!

## 10

Anna i Hester najlepiej jak umiały opatrzyły rany Luke'a, które na szczęście nie były zbyt poważne. Niczego nie pamiętał. Siedział przy biurku, zajęty pracą, gdy nagle ktoś go zaatakował; związał mu oczy, zakneblował, skrępował dłonie i stopy.

- Niczego nie słyszałem! - powtarzał wielokrotnie, jakby w ten sposób próbował więcej sobie przypomnieć. - Bóg jeden wie, jak się tu dostał.

- Kiedy przyjechaliśmy, drzwi były otwarte - powiedziała Hester. - Och, Luke, jesteś pewien, że to sprawka Laurence'a? - Nie potrafiła znieść tej myśli. Do tej pory udawało jej się pomniejszyć znaczenie agresywnego zachowania brata, ponieważ dochodziło do niego poza domem. W końcu nie widziała ani sir Roberta po bójce z bratem, ani Anny po nocy spędzonej na przedzieraniu się po dachach londyńskich domów. A napad na Luke'a na Knightsbridge mógł być dziełem zwykłych bandytów.

Anna i Luke milczeli.

Hester wybuchnęła płaczem.

- Och, co robiliśmy źle? - Łkała. - Laurence miał wszystko!

- Hester - zaczęła łagodnie Anna - dlaczego nie zajmiesz

się Emmy? Nadal jest bardzo roztrzęsiona. Sądzę, że najbardziej pomogłaby jej tabletka na sen i łóżko. - Kiedy Hester wyszła z pokoju, zwróciła się do Luke'a: - Nie ma nic na kolację. Biedną Emmę zamknięto w komórce, zanim zdążyła coś przygotować, ale mogę odgrzać wczorajszą potrawkę, jeśli zdołasz coś przełknąć.

Stopniowo dom wracał do pozorów normalności. Hester położyła się do łóżka. Luke i Anna zjedli po kilka łyżek potrawy, choć żadne z nich nie czuło głodu.

- A teraz bardzo cię proszę - zaczęła stanowczo - żebyś mi wyjaśnił całą sytuację. Co takiego zabrał Laurence?

Luke westchnął.

- W kasie znajdowało się około stu pięćdziesięciu funtów gotówką. Oczywiście zniknęły. Ale o wiele ważniejsze były obligacje i weksle.

- Co to dokładnie jest?

- Są to należne mi pieniądze albo w formie weksli, albo w postaci obligacji. Na przykład obligacje ubezpieczeniowe.

- Czy są wiele warte?

Zafrasowany Luke potarł czoło.

- O tak. Można powiedzieć, że stanowią podstawę działania mojej firmy. Posiadam na przykład obligacje pewnego dżentelmena, który nie chce, by wiadano, że prowadzi interesy w Szanghaju.

- Dlaczego nie chce?

- Ponieważ jego brat uzyskał w tamtym rejonie koncesję na opium i mój klient w gruncie rzeczy działa wbrew jego interesom.

- To brzmi bardzo skomplikowanie.

- Bo takie jest. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak wiele prywatnych spraw wplątanych jest w biznes.

- Ale czy Laurence może zrobić użytek z tych obligacji i weksli?

Luke zastanowił się nad pytaniem.

- Trudno by mu było wyłudzić pieniądze bezpośrednio od właścicieli. Teoretycznie może odebrać pieniądze z weksli, ale z pewnością się domyśla, że zawiadomienie banki o kradzieży. Pozostaje mu szantażowanie mnie. To by mu zaoszczędziło dowiadywania się, kto i ile jest komu winien. Albo, jeśli był do tego wszystkiego przygotowany, może zaszantażować handlarza opium, grożąc mu, że wyjawia prawdę jego bratu. W każdym układzie Laurence jest górą.

Anna szeroko otworzyła oczy.

- Co możesz zrobić?

- Muszę go znaleźć, zanim uczyni jakikolwiek ruch - rzekł Luke.

Łatwiej było to powiedzieć niż wykonać. Poprzednio tylko przez przypadek, dzięki Helen Clarkson, dowiedział się, jaki jest adres brata. Walter sprawdził, że Laurence opuścił dotychczasowe miejsce pobytu. Luke nie mógł liczyć na ponowny łut szczęścia.

- Bow Street? - podpowiedziała Anna.

- Są beznadziejnie niekompetentni. Jednak, naturalnie, powiadomię ich. Może będą bardziej skuteczni, kiedy się dowiedzą, że w grę wchodzi większe sumy pieniędzy.

- Czy powiesz o wszystkim klientom?

Luke skrzywił się.

- Dopiero w ostateczności. Jeśli to uczynię, naprawdę będę zrujnowany. Plotka rozniesie się lotem błyskawicy.

- Czy Laurence to sobie uświadamia? To znaczy, czy sądzisz, że chce cię zrujnować, czy chodzi mu tylko o pieniądze?

- Raczej to drugie, choć wie, że nie mam ich zbyt wiele.



I tak powinienem dziękować niebiosom, że mnie nie zabił. Przypuszczam, że mimo wszystko drzemią w nim jeszcze okruchy ludzkich uczuć.

- A więc trzymanie języka za zębami leży w jego interesie, zwłaszcza jeśli chodzi o twoich klientów? - naciskała Anna.

- Na razie, tak. - W sercu Luke'a pojawił się cień nadziei. - Wkrótce twoje urodziny, Anno - dodał poważnie. - Wreszcie wydostaniesz się z tego bałaganu.

- Dziękuję - odparła z urazą. A więc tak o niej myślał? Uważał, że jest kimś, kto ucieka przy najmniejszych kłopotach, kto porzuca przyjaciół w biedzie? Zagryzła usta, by powstrzymać łzy i przełknąć grudę w gardle.

Luke, Walter i jeszcze dwaj urzędnicy z biura następne dwa dni spędzili na oszacowaniu strat. Przyszło kilku funkcjonariuszy z Bow Street, by spisać potrzebne im dane. Luke miał rację: niektóre z nazwisk na obligacjach należały do ważnych osobistości i funkcjonariusze prawa uznali pojmanie Laurence'a za sprawę priorytetową.

Luke dyskretnie uprzedził banki. Policjanci rozpowiedzieli po domach publicznych i miejscach uprawianie hazardu, że Laurence Redbourn jest poszukiwany przez Bow Street i że na donosiciela czeka nagroda.

Czterdzieści osiem godzin później nadszedł list od Laurence'a. Za zwrócenie obligacji i weksli zażądał dwudziestu tysięcy funtów. Luke miał mu dać odpowiedź, zamieszczając ogłoszenie w „The Times”.

- Dwadzieścia tysięcy! - Hester aż sapnęła.

- Wątpię, czy uda mi się zebrać takie pieniądze - oświadczył

ponuro Luke. Nadał był blady, a pod oczami miał ciemne sińce z niewyspania.

- Spróbuj z nim negocjować - zasugerowała Anna. Ona także była spięta i przybita.

- Postaram się.

Następnego ranka Anna dostała list od madame Bonnieux, która prosiła ją, żeby przyjechała na Phoenix Street. Niczego nie wyjaśniała i Anna od razu zaczęła się martwić, czy z ciotką wszystko jest w porządku. Nie miała czasu powiadomić jej o napadzie. Może Laurence, broń Boże, wpłatał Marie w tę ohydna sprawę? Anna nie chciała przysparzać dodatkowych zmartwień ani Luke'owi, ani Hester, więc po prostu powiedziała, że czuje potrzebę odwiedzenia ciotki i jeśli to nikomu nie przeszkadza, chciałyby pojechać do niej dzisiejszego ranka.

- Naturalnie - bez namysłu zgodził się Luke. - Walter sprowadzi ci dorożkę.

W domu ciotki powitało ją szaleńcze ujadanie Herculesa, który łąsił się do niej i próbował polizać po twarzy od chwili, kiedy tylko postawiła stopę za progiem. Marie, zajęta w kuchni, wybiegła na powitanie i rozpostarła ramionami.

- Anna, *petite*, jak to dobrze, że tak szybko się zjawiłaś.

Dziewczyna czule wyściskała ciotkę, potem zdjęła płaszcz i kapelusz i zawiesiła na haku. Rozejrzała się. Żadnych zmian. Zaczynała się rozluźniać. U Hester i Luke'a czuła się dość swobodnie, ale nie potrafiła zapomnieć rozmowy w ogrodzie cioci Marie: Luke wyraźnie wtedy powiedział, że ich małżeństwo jest tylko tymczasowe.

- Nie wyglądasz dobrze! - wykrzyknęła Marie, kiedy usiadły przy kuchennym stole, na którym dymiły filiżanki z kawą.

Kiedy Anna opowiedziała o włamaniu, Marie była przeżona.

- Biedny monsieur Redbourn! - zawołała. - Taki dobry człowiek. To właśnie tacy ludzie jak on cierpią, gdy zło kwitnie.

Anna roześmiała się.

- Coś mi to pobrzmiwa językiem z Biblii. To najbardziej ulubione zdanie ciotki Susan.

Kiedy skończyły wymieniać się nowinkami, Marie spojrzała na Annę. Od czasu ślubu nie widywała jej często i martwiła się zmianami, jakie w niej zaszły. Oczywiście, mógł to być wynik zamartwiania się poczynaniami Laurence'a, ale Marie podejrzewała, że chodzi o coś głębszego. Anna zarzekła się, że Luke i Hester są dla niej przemili, jednak ciotka podejrzewała, że dziewczynę coś gryzie. W zazwyczaj rozświetlonych blaskiem oczach Anny pojawiły się cienie, których wcześniej tam nie było.

- Anno, nadeszła przesyłka dla ciebie. Dlatego do ciebie napisałam. Przyniósł ją wczoraj specjalny posłaniec. - Mówiąc to, Marie wstała, podeszła do skrzyneczki, w której trzymała różne drobne przedmioty, i wyjęła z niej małą paczuszkę owiniętą w szary papier, zalakowany woskiem. Na papierze widniał napis *La Donna Anna de Cardonnel*.

- Szmaragd? - zgadywała Anna. - Paczuszka jest taka mała. Podaj mi nóż, proszę. - Przecięła sznurek i złamała pieczęć.

W środku znalazła list i małe, oprawione w skórę pudełeczko. List napisany był po włosku. Anna odłożyła go na bok i otworzyła pudełko. Leżało w nim dziesięć małych guzików, takich, jakie noszono przy kamizelkach z poprzedniego wieku.

- Guziki! - zdumiała się Marie.

- Są prześliczne! - Anna podniosła jeden i przyjrzała mu się z bliska. Ciemnoniebieski, ze złotym obramowaniem w kształcie kwiatka z maleńkimi perełkami w środku.

- Ale kto je przysłał?

Podniosła list.

- Wielkie nieba! - Odczytała tekst po raz drugi. - Niesamowite. To od monsignora Angelo Cesariniego, biskupa Milevi, wykonawcy woli jego eminencji Henry'ego Stuarta, kardynała Yorku.

- Nie wiedziałam, że umarł - wtrąciła Marie. - Musiał być już bardzo stary. No, czytaj dalej.

- *Jego Eminencja wielce się zasmucił wieścią o śmierci starego przyjaciela wicehrabiego de Cardonnel. Żałował, że zarówno jego podeszły wiek, jak i słabe zdrowie nie pozwoliły mu osobiście odpowiedzieć na Twój uprzejmy list. Nakazał mi jednak postać Ci mały upominek, zarówno ze względu na przyjaźń z Twoim szacownym ojcem, jak i na pamiątkę faktu, że to on ochrzcił Cię w naszym kościele. — Anna podniosła głowę i z namysłem zmarszczyła czoło.* - Przynajmniej tak mi się wydaje, że to pisze, bo tekst jest nieco rozwlekły.

- Bardzo to miłe, że kardynał o tobie pamiętał, Anno - zauważyła Marie.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem dlaczego - uczciwie wyznała Anna. - Ja zupełnie go nie pamiętam! Ale przyjaźnił się z papą, to wiem. Papa należał do nielicznych osób, które nigdy nie nagabywały go o pieniądze. To dziwne, że przysyła mi guziki, które zresztą są prześliczne.

- Można z nich zrobić piękny naszyjnik - podsunęła pomysł Marie, delikatnie obracając guziczki w palcach. - Mogłabyś nawet z jednego z nich kazać zrobić spinę do fulara dla monsieur Redbourn.

- Tak - cicho zgodziła się Anna.

A więc w tym rzecz, pomyślała Marie. Właśnie zamierzała ostrożnie napomknąć o stosunku podopiecznej do Luke'a

Redbourn, kiedy dziewczyna podniosła na nią wypełnione łzami oczy.

- Och, ciociu Marie! - załkała. - Tak bardzo go kocham, a on zupełnie nie zwraca na mnie uwagi!

W następnym liście Laurence wyraził zgodę na odroczenie terminu zapłaty pieniędzy do czwartego października, kiedy to Anna miała zostać spadkobierczynią fortuny. Upominał Luke'a, żeby ściśle trzymał się wyznaczonego terminu, i zapowiadał, że przy każdej następnej zwłoce jego żądania będą rosły. Nie godził się też na dalsze pertraktacje.

Laurence pisał ten list z mściwą satysfakcją. Wreszcie udało mu się rzucić brata na kolana i teraz zamierzał wyciągnąć od niego ostatniego pensa. Jego zdaniem, Luke powinien się cieszyć, że chce tylko tyle. Jedyne ze względu na siostrę nie zażądał podwójnej sumy. Laurence nie bardzo wiedział, ile pieniędzy ma odziedziczyć Anna, ale le Vivier zapewnił go, że będzie to co najmniej dwadzieścia tysięcy funtów.

Walter dowiedział się prawdy: Laurence rzeczywiście wyniósł się z Charles Street. Zapłacił, choć niechętnie, zaległy czynsz, obawiając się, że jeśli tego nie uczyni, właścicielka pensjonatu bez większych oporów wejdzie we współpracę ze ścigającymi go przedstawicielami prawa. Jeśli chodzi o mieszkańców St Giles Rookery, to wiedział, że z zasady w obecności policji trzymają usta zamknięte na kłódkę - a także przy innych wypytyujących - jednak wołał głupio nie ryzykować.

Znalazł nowe lokum przy Red Lion Street - dwa pokoje na tyłach domu, z oknami wychodzącymi na Blue Boar Yard. Nieco lepsza okolica od poprzedniej, a do tego z jego pokoiów na drugim piętrze można było wydostać się przez wyjście

ewakuacyjne w postaci kładki na łańcuchach zaczepionej o żelazną kratę tuż pod jego oknem. Konstrukcja służyła do przenoszenia na wyższe piętra siana i słomy do składowania na zapas. Zajazd Blue Boar prowadził stajnię na czterdzieści koni. Laurence od razu się połapał, jaki użytek można zrobić z tego urządzenia. Poza tym miał do dyspozycji dwa wygodne wyjścia, na High Holborn i Eagle Street, tak więc uznał, że to miejsce jest bezpieczniejsze niż inne, w których zamieszkiwał. Doskonale rozumiał, że tym razem wdał się w niebezpieczną grę.

Jeśli będzie siedział cicho, omijając z daleka domy rozrywki przy James Street, może niczym się nie martwić. Kiedy ostatnim razem odwiedził kawiarnię Smyrna przy Pall Mall, dano mu jasno do zrozumienia, że nie jest tam mile widziany. Wprawdzie kelner nie odmówił mu obsługi, ale przy okazji natknął się na dwóch rozwścieczonych na niego znajomych, z którymi w przeszłości stoczył owocną partyjkę pikiet. Sir Robert - niech będzie przeklęty - zaczął sypać.

Na całe szczęście w pobliżu nowej siedziby Laurence'a, przy Covent Garden, nie brakowało miejsc, w których można było się napić i zabawić z kobietami. Nie zauważył, że obserwuje go jakiś mężczyzna siedzący w rogu Unicorn Inn.

Tym razem, rozmyślał Laurence, plan musi się powieść. Miał obligacje i weksle. To on jest górą. Właśnie zamierzał prosić kelnera o następny kufel piwa, kiedy poczuł na ramieniu lekkie klepnięcie. Szybko się obrócił, jedną ręką sięgając po nóż.

- Hola, hola! To tak się wita starego przyjaciela?

Laurence zobaczył pomarszczonego małego człowieczka w czerwonej apaszcze. Zaklął pod nosem.

- Le Vivier! Skąd się tu wzięłeś, do diabła?

Człowieczek wzruszył ramionami.

- Ze statku. Sprawy w Nowym Jorku przybrały zły obrót.

- Nie tylko tam - wymownie rzucił Laurence.

- Nie oszukałbyś starego przyjaciela, prawda Redbourn? Czy to nie ja powiedziałem ci o spadku? Choć, sądząc po twoim wyglądzie, jeszcze go nie masz! - Zachichotał, ale widząc wyraz twarzy kompana, udał, że to kaszel. - Przepraszam, nie chciałem cię obrazić.

- Ta dziwka nic mi nie da - ze złością wyznał Laurence. Le Vivier nie znał jego planów, a on nie miał zamiaru nic mu o nich mówić. - Brat mnie uprzedził i sam się z nią ożenił.

- Fiju! - z podziwem gwizdnął le Vivier. Gdyby miał okazję, sam także nie cofnąłby się przed pokrzyżowaniem szyków kompanowi. - Podciąłeś mu już gardło?

Laurence roześmiał się niechętnie i bacznie przyjrzał się towarzyszowi. Po co, do diabła, cokolwiek mu mówił? Nie chce przecież, żeby le Vivier wtrącał się w jego sprawy. Sięgnął do kieszeni i rzucił mu gwineę.

- Ostrzegam cię, le Vivier, trzymaj się ode mnie z daleka, albo oberwiesz.

- Nie chcę kłopotów i nigdy cię nie widziałem.

- W porządku. I niech tak zostanie. - Laurence odprowadził wzrokiem skuloną postać, człapiącą ciężko po wysypanej sianem posadzce zajazdu. Potem odwrócił się w stronę baru. - Następny kufelek, Molly - rozkazał.

Po wyjściu z Unicorn le Vivier skierował się w stronę Covent Garden usianego straganami, przenośnymi drewnianymi budami, w których można było kupić wszystko od nadziewanych placków i grzybów po duszone warzywa. Stał przy straganie z kawą i czekał. Nie skończył jeszcze z Redbournem, o nie. Ale przede wszystkim musi się dowiedzieć, gdzie ten bydlak mieszka.

Panna le Vivier siedziała sztywno wyprostowana naprzeciw swojego adwokata w jego pokoju w Gray Inn. Na tę okazję bardzo uważnie dobierała strój, wiedząc, że czeka ją trudne zadanie. Była drobną kobietą i zawsze, kiedy się spotykała z panem Hargreavesem, ten traktował ją z pewną niecierpliwą protekcjonalnością, co ogromnie ją irytowało. Włożyła więc na tę wizytę wytworny kapelusz ozdobiony kilkoma wysokimi strusimi piórami, z nadzieją, że dodadzą jej i wzrostu, i powagi.

- Ogromnie się martwię tą sprawą - poinformowała rzeczowo.

Pan Hargreaves ukłonił się jej obojętnie zza biurka.

- Nie wolno mi ujawniać interesów pani zmarłego wuja, panno le Vivier. Musi to pani zrozumieć.

To jasne, że strusie pióra nie wywarły na nim wrażenia ani też nie zmieniły jego oceny inteligencji właścicielki kapelusza.

- Wygląda na to, że już pan to uczynił - sarknęła. - Zatrudnił pan mojego kuzyna, Raymonda le Vivier, jeśli pan sobie przypomina.

- Został zwolniony. - Pan Hargreaves zasznurował usta. Jakieś dwa lata temu wrócił niespodziewanie do biura i natknął się na le Viviera myszkującego w dokumentach, które nie powinny były go interesować. Prawdę mówiąc, to adwokat ponosił za wszystko winę, bo wychodząc zapomniał zamknąć na klucz szafę z zastrzeżoną dokumentacją.

- I nawet wiem, z jakiego powodu - zauważyła panna le Vivier. - Raymond jest jak sito. Zawsze taki był. Dowiedział się czegoś, czego nie powinien wiedzieć, na temat testamentu wuja i odsprzedał informacje.

- Nonsens. To jakaś kobieca histeria. - Pan Hargreaves nie znosił popełniać błędów, a zwłaszcza nie lubił, kiedy wytykały mu je drobne kobietki.



- Naprawdę? Raymond odwiedził mnie wczoraj. W Ameryce spotkał pewnego człowieka, Laurence'a Redbouma, nicponia i darmozjada. Rodzina odesłała go z kraju po tym, gdy dopuścił się jakiegoś oszustwa. Teraz obydwaj wrócili do Anglii. Mój kuzyn też nie jest świętoszkiem, ale twierdzi, że za tego Laurence'a Redbouma wyznaczono nagrodę. Na nieszczęście Raymond nie może osobiście zgłosić się na Bow Street.

- A co to ma wspólnego ze mną? - Pan Hargreaves gniewnie popatrzył na petentkę. Pamiętał wizytę Luke'a Redbouma i panny de Cardonnel oraz ich opowieść o szmaragdzie.

- Tylko to, że to właśnie le Vivier zawiadomił Redbouma o tym, iż panna de Cardonnel odziedziczy fortunę, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat, to znaczy za kilka tygodni. Redboum wrócił do Anglii po to, żeby przejąć majątek, żeniąc się z tą dziewczyną. To oczywiste, że zamierza ukraść jej pieniądze i uciec.

Pan Hargreaves ciężko przełknął ślinę.

- No więc dobrze. To prawda, że pan Ignatius pozostawił pannie de Cardonnel część swojej fortuny. Jednak owa panna wyszła za mąż za niejakiego pana Luke'a Redbouma. Przeczytałem o tym w „The Times”. Skądinąd wiem, że to szanowany przedsiębiorca. Nie mam podstaw przypuszczać, że ma na swoim koncie jakieś przestępstwo. - Uśmiechnął się ponuro.  
- Chyba że zaliczymy do przestępstw usunięcie z kraju występnego młodszego brata.

- Są ze sobą spokrewnieni?

- Tak sądzę. To nie przypadek, że obaj panowie Redbournowie zainteresowali się tą samą dziewczyną. Ale mogę to sprawdzić, jeśli pani sobie tego zażyczy.

- Dziękuję. - A więc ten miły pan Luke ożenił się z panną de Cardonnel. Wreszcie jakaś rzeczowa informacja, pomyślała

panna le Vivier. Dlaczego mężczyźni zawsze uważają, że kobiety są pozbawione rozumu? Sama nieustannie musi walczyć o najskromniejszy posłuch. Gdyby z większym szacunkiem słuchano tego, co ona mówi, sprawę z adwokatem załatwiłaby już dawno. A tak czuła się wyczerpana i marzyła o filiżance kawy.

Wuj, Henry Ignatius, trzymał swoje sprawy w tajemnicy, pomyślała. Zostawił jej dwa tysiące pięćset funtów rocznie i dom. Była z tego zadowolona. Wiedziała, że jego majątek jest o wiele większy, ale nigdy się nad tym nie zastanawiała. Wuj zapewnił jej byt, a reszta to nie był jej interes.

Panna le Vivier wzięła głęboki oddech.

- Chcę, żeby zrobił pan coś dla mnie, panie Hargreaves. Nadal niepokoję się o bezpieczeństwo panny de Cardonnel. Mój kuzyn wydawał się przekonany, że Laurence Redbourn coś knuje. Wie, gdzie mieszka ten osobnik, ale nie może poinformować Bow Street ze względu na ciężące na nim oskarżenia. Oczywiście, mogłabym sama iść...

- Wspaniale. Jeśli pani tego pragnie, wycofam oskarżenia przeciwko pani kuzynowi.

- Dziękuję. - Panna le Vivier nie musiała już nic więcej dodawać. Obydwoje wiedzieli, że gdyby powiedziała na Bow Street, iż informacja na temat testamentu wyszła na światło dzienne przez nieostrożność prawnika, to ucierpiałaby na tym jego zawodowa reputacja. Panna la Vivier nie miała jednak zamiaru pastwić się i poniżać adwokata. Najważniejsze, że osiągnęła to, z czym się u niego zjawiła.

Niestety, Hargreaves myślał inaczej.

- Musi pani także wiedzieć, że pan Ignatius zdobył majątek dzięki temu, że w jego ręce wpadł drogocenny kamień, szmaragd, należący do de Cardonnelów, którzy przekazali mu

klejnot jako zabezpieczenie ich ucieczki z Francji. Pani wuj bezprawnie zatrzymał kamień.

- Jak to? Jeśli nie dostał pieniędzy, miał prawo zatrzymać szmaragd! - Panna le Vivier zaciętrzewiła się w obronie honoru wuja.

- Tak, jednak wicehrabia miał pieniądze. Oficjalnie poszukiwał ojca Ignace'a, ale bez powodzenia. Ojciec Ignace zaginął. Nie. Pan Ignatius postanowił zatrzymać szmaragd.

- To nie może być prawda!

- Obawiam się, że jednak jest. Pan Luke Redbourn i panna de Cardonnel odwiedzili mnie w tej sprawie. Ich dowody są niepodważalne. Nie ulega wątpliwości, że szmaragd należy do pana Luke'a Redbourn. - Hargreaves oparł się o blat biurka i z satysfakcją patrzył na klientkę. Wyglądała na przerażoną i zmieszaną. I dobrze jej tak, pomyślał, jeśli sądziła, że wolno jej go szantażować, bo właśnie to uczyniła w sprawie swojego kuzyna. Dobrze jej zrobi, kiedy się dowie, że jej święty wujaszek był w rzeczywistości oszustem.

Panna le Vivier znowu głęboko zaczerpnęła tchu.

- Jeśli się okaże, że wuj nie kazał zwrócić szmaragdu pannie de Cardonnel na jej dwudzieste pierwsze urodziny, odwołam mszę zamówioną w jego intencji w rocznicę jego śmierci! - oświadczyła i na jej policzkach pojawiły się dwie czerwone plamy.

Pan Hargreaves nie próbował powstrzymywać uśmiechu.

Laurence nigdy nie umiał spokojnie znieść oczekiwania i bezruchu. Co prawda sam zgodził się poczekać do urodzin Anny, jednak ten fakt doprowadzał go do szału. Ale nie było rady. Dwadzieścia tysięcy funtów to w jego dotychczasowej

ciemnej karierze największa suma, na jaką polował. Spędzał czas głównie na rozmyślaniu o tym, co zrobi z pieniędzmi, i na przyjemnych marzeniach o wizytach w burdelach i domach hazardowych. Myślał o naprawdę wysokiej klasy burdelach, takich, gdzie dostanie dwadzieścia procent upustu. Tak, już niedługo będzie się kapał w forsie. Laurence uwielbiał łatwe pieniądze.

Ani razu nie przyszło mu na myśl, że le Vivier może mu zaszkodzić; już dawno wykreślił go z pamięci jako nieszkodliwego pokurczonego dziwaka. Pamiętał, jak w Nowym Jorku groził mu nożem, i Francuz ze strachu trząś się jak galareta! Nie, le Vivier będzie się trzymał od niego z daleka, jeśli ceni sobie własną skórę.

Wrócił myślami do domów rozrywki. Przydałaby mu się współniczka. Dziewczyna atrakcyjna i na tyle sprytna, żeby umiała poprowadzić lokal, sama nie wpadając w pułapkę hazardu czy nałogowego picia.

Helen Clarkson! Tak, Helen by się do tego nadawała. Nie przypuszczał, żeby po laniu, jakie jej sprawił, wróciła do pracy w teatrze. Tak, Helen przyjmie jego ofertę z wdzięcznością. A jeśli nawet trzeba ją będzie nieco przekonywać, cóż... on wie, jak się to robi...

Gdzie ona, do diabła, mieszka? A tak, Henrietta Street. Od razu do niej pojedzie.

Właścicielka domu potraktowała go uprzejmie, ale wyraźnie chciała jak najszybciej się go pozbyć.

- Panna Clarkson już tu nie rezyduje - poinformowała lodowato.

Informacja ta wcale Laurence'a nie zaskoczyła. Prawdopodobnie trzęsie się z zimna w jakimś marnym pokoiku na poddaszu. Przypominał sobie, że kiedy widział Helen po raz ostatni, nie miała żadnych oszczędności.

- W takim razie proszę o jej adres - domagał się niecierpliwie.

- Nie zostawiła.

- Ale przecież musiała...

Drzwi zamknęły mu się przed nosem. Laurence kopnął w nie, lecz ani drgnęły. Po dwóch kieliszkach w Unicornie poczuł się lepiej. Zostało mu jeszcze trochę pieniędzy, które ukradł z kasy Luke'a. Może noc z dziwką będzie dobrym sposobem na spędzenie wolnego czasu? Zatrzymał się przed jednym ze straganów na Covent Garden, kupił placek, po czym zawrócił do domu. Jeszcze za wcześnie na wizytę w burdelu; im późniejsza pora, tym bardziej wszystko się ożywiało. Wróci do domu, zabierze pieniądze, napije się i za jakąś godzinę znowu wyjdzie na miasto.

Przechodząc przez High Holborn, nie zauważył krzepkiego osobnika, stojącego w drzwiach sklepu. Za jego plecami chował się łasicowaty mały człowieczek z czerwonym fularem na szyi.

- To on. Ten wysoki przystojniaczek w niebieskim płaszczu.

- W porządku. A teraz się ulotnij.

- A nagroda?

- Jeszcze go nie mamy, no nie? Nie bój się. Szukamy tego cwaniaczka od kilku tygodni. Nie damy mu zwiąć.

Drzwi zajazdu otworzyła przed Laurence'em sama oberżystka. Nawet jeśli dziwnie przyglądała się przybyłemu, on tego nie widział. Nadal się wściekał na bezczelną właścicielkę pensjonatu, w którym do niedawna mieszkała Helen, a także na to, że na razie nie zdołał jej odnaleźć. Nie zauważył też, że kiedy wszedł na schody, we frontowych drzwiach zajazdu pojawił się jakiś mężczyzna, stanął w wejściu i zablokował je własnym ciałem.

Na tyłach, na Blue Boar Yard, inny mężczyzna zdejmował

łańcuchy z kładki. Ulica była pusta, ale kilku chłopców stajennych i służących stało w oknach i przyglądało się poczynaniom nieznanego. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że może dojść do aresztowania, a nikt w okolicy nie chciał stracić dobrego widowiska.

Laurence otworzył drzwi do swojego pokoju i dopiero w tym momencie zorientował się, że ktoś tam już jest. Czekają na niego dwóch policjantów z pałkami i z kajdankami zwisającymi u pasa.

- Co, do...? - Redbourn obrócił się na pięcie. Za nim stał trzeci policjant.

- Panie Redbourn, aresztuję pana za kradzież, szantaż i próbę morderstwa!

Laurence zatrzaskał drzwi na korytarz i zasunął rygiel. Wyciągnął nóż.

- Zabiję każdego, kto się do mnie zbliży. - Policjanci nie mieli przy sobie pistoletów. Gdyby udało mu się dostać do okna, zdołałby uciec. Policjanci popatrzyli po sobie. Laurence z jedną ręką ukrytą za plecami powoli wycofywał się w stronę okna. Policjanci za nim, trzymając się w bezpiecznej odległości.

Tchórze i głupcy. Nigdy nie darzył wielkim szacunkiem przedstawicieli prawa. Pchnął okiennicę; odskoczyła z hukiem. Obrócił się i sięgnął po łańcuch.

Po chwili na dole ktoś zarzucił starą derkę na rozpostartą na braku postać. Ktoś inny zbliżył się z wiązka siana, żeby zakryć krew.

Po kilku godzinach do pokoju Laurence'a wszedł Luke w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy. Ciało brata, już czyste, leżało na gołym materacu, nakryte prześcieradłem. Na stoliku

leżały w kupce obligacje, weksle i inne dokumenty. Pilnujący pokoju wartownik zasalutował na widok Luke'a.

Jeden z policjantów odsunął prześcieradło.

- Czy może pan zidentyfikować zmarłego, sir?

Luke spojrzął na łóżko.

- Tak - powiedział po chwili. Wydało mu się, że jego głos dochodzi gdzieś z bardzo daleka. - To mój brat, Laurence Redbourn. - Twarz Laurence'a wyglądała teraz o wiele młodziej, przypominała Luke'owi młodszego braciszka, którego kochał. - Niech Bóg da mu wieczny odpoczynek. - Pochylił się i złożył na czole zmarłego pocałunek. Laurence pewnie by się teraz wściekł, pomyślał, ale to dla Hester i dla małego chłopca, którego starcili już dawno temu.

Policjant czekał z szacunkiem, po czym ponownie zakrył ciało. Luke wyprostował się.

- Sprawdziliśmy wszystko z listą, którą nam pan przekazał, sir. Niczego nie brakuje. Chociaż z pieniędzy niewiele zostało. - Wskazał na dwadzieścia gwinei ułożonych na stole w porządną słupki.

Luke przeciągnął dłonią po włosach. Nagle poczuł się straszliwie zmęczony. Widząc stojące koło stołu krzesło, usiadł na nim ciężko.

- Gdyby zechciał pan nam teraz towarzyszyć i podpisać odpowiednie dokumenty, sir.

- Tak, tak, oczywiście. - Spróbował odpędzić przygnębiające myśli i skoncentrować się.

Wreszcie formalności dobiegły końca. Dokumenty i pieniądze złożono do drewnianego pudełeczka, które przyniósł jeden z policjantów. Luke podpisał dokumenty, a w zamian otrzymał pozwolenie na pochowanie ciała.

- Prześlemy je do kostnicy, sir.

- Dziękuję.
- Sierżant Penge zawoła dorożkę i odwiezie pana do domu.
- Policjant przyglądał się Luke'owi z z troskaniem.
- Dorożkę? - powtórzył Luke nieprzytomnie.
- Jedźcie z nim, sierżancie.

Szok, myślał policjant. Widział to już nie raz. Ten dżentelmen dojdzie do siebie za parę dni, ale jednak to nieprzyjemne. Laurence Redbourn musiał być paskudnym draniem, lepiej, że nie żyje, lecz był bratem tego dżentelmena. Odprowadził Luke'a i sierżanta na ulicę.

Tak jak przypuszczał policjant, Luke wrócił do siebie po dwóch dniach. Miał wiele do zrobienia; organizacja pogrzebu, listy i dyskretne obwieszczenie w „The Morning Post” i w „The Times”. *W poniedziałek, 21 września, wskutek wypadku zginął Laurence Redbourn, do niedawna zamieszkały w Londynie. Pogrzeb odbył się w gronie najbliższej rodziny.*

Następnie, przez kilka dni zamknięty w biurze z Walterem i pracownikami, sprawdzał odzyskane dokumenty i projektował nową kasę do wbudowania w ścianę. Nic już nie stało na przeszkodzie, żeby przedsięwziąć odpowiednie kroki związane z unieważnieniem małżeństwa, a jednak niczego w tym kierunku nie zrobił. Może dlatego, że przytłaczały go inne sprawy.

Hester nie była taka energiczna. Wiadomość o śmierci Laurence'a tak ją załamala, że przez kilka dni nie robiła nic innego, tylko płakała lub siedziała beczynn timer z kamienną twarzą, nie jedząc i prawie się nie odzywając. Minerva, przywieziona przez pastora, przyjechała, by pocieszyć przyjaciółkę i namówić ją, żeby zajęła się swoim zdrowiem. Hester wykonywała wszystko, co jej kazano, niczym automat: po prostu



łatwiej jej było posłuchać poleceń Minery niż się jej sprzeciwiać i stawiać do nieuniknionych bojów.

Anna natomiast odczuła wszechogarniającą ulgę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo obawiała się Laurence'a. To ona napisała do Minery, informując ją o jego śmierci i błagając o przyjazd i pomoc przy Hester. Napisała także do ciotki Marie i sir Roberta, podając wszystkie szczegóły wydarzenia, jakie znała. (Sir Robert powtórzył je Helen, zamieszkującej teraz w pięknym domku w Brompton. „Należało mu się” - powiedziała. To także Anna zadbała o żałobną odzież dla siebie i Hester oraz czarną opaskę na ramię dla Emmy. Nie rozumiała, dlaczego pokojówka, która przecież prawie nie znała Laurence'a, miałyby nie nosić swoich ślicznych wzorzystych sukienek.

Wprawdzie na skutek śmierci Laurence'a jeden ciężar spadł jej z serca, ale natychmiast znowu zaczęła się zamartwiać, co będzie z jej małżeństwem. Jednak nie śmiała poruszyć tego tematu. Na całe szczęście mogła się zwierzyć cioci Marie i tak uczyniła. Już zdążyła zdać sobie sprawę, że nie jest Luke'owi tak obojętna, jak wcześniej sądziła. Po prostu nie dostrzegą jego wielu drobnych i nieśmiałych zalotów, tak przynajmniej twierdziła Marie.

- Taki mężczyzna jak monsieur Luke nigdy nie domagałby się pocałunku, gdyby nie myślał o tobie poważnie, Anno - wyjaśniała. - Chcesz powiedzieć, że nigdy żadnym gestem nie odpowiedziałś na jego zaloty?

- Nie rozpoznawałam ich - wyznała dziewczyna. - Sądziłam, że po prostu stara się być miły. Albo że mylnie odbieram jego zachowanie.

- I ty jesteś Francuzką?!

- Ale co mogę zrobić, ciociu?

- Możesz spróbować zachowywać się trochę bardziej zachęcająco - odparła Marie.

Ta rozmowa toczyła się przed wypadkiem Laurence'a. Po jego śmierci cała sytuacja jeszcze bardziej się pogmatwała. Anna nie sądziła, by Luke - mimo pierwszego szoku - miał długo pozostać w żałobie po śmierci brata. Niemniej postąpiłaby ogromnie niedelikatnie, gdyby w takiej chwili narzucała mu się ze swoimi afektami. Może za kilka tygodni... Ale nawet ta nadzieja została jej odebrana.

Pewnego wieczoru, po odejściu Hester, Luke odezwał się do niej nieśmiało:

- Anno, może powinniśmy porozmawiać o twoim powrocie do ciotki Marie.

- Powrocie do ciotki Marie? - powtórzyła jak echo, czując skurcz serca.

- Jestem pewien, że tego właśnie pragniesz. - W głosie Luke'a pobrzmiwało napięcie.

- Pragnę? - Wszystko, czego pragnęła, znajdowało się tutaj, w tym pokoju przy Ludgate Street.

Luke odwrócił się, więc nie widziała jego twarzy, kiedy kontynuował:

- Jestem gotów wszcząć sprawę o unieważnienie małżeństwa. Skoro Laurence nie żyje, zagrożenie minęło.

Anna nie mogła wydobyć z siebie głosu. Na jej sercu zacisnęła się lodowata obręcz. Gdy zegar na kominku wybił wpół do dziewiątej, pomyślała, że stanie na tej godzinie na wieczność.

- Jednak - ciągnął Luke, nadal się nie odwracając - byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciała jeszcze trochę pozostać. Może do urodzin. Hester nie powinna być teraz sama.

- Naturalnie, że zostanę. - Anna już wiedziała, jak się czuje nagle ułaskawiony skazaniec. Zegar na nowo ruszył.

Luke wstał.

- Anno?

Spojrzała na niego z nadzieją.

- Nic. Nic ważnego.

Bawił się przez chwilę szpulką nici, którą ktoś zostawił na stole, po czym wyszedł z pokoju.

Urodziny Anny wypadły w niedzielę. Dziewczyna była tak nieszczęśliwa, że pewnie by o nich zapomniała, gdyby nie to, że był to również dzień, w którym miała na zawsze utracić Luke'a. Dla niej nie był to żaden początek, tylko koniec. W piątek otrzymała Ust od pana Hargreavesa, który prosił, by go odwiedziła w poniedziałek piątego października o godzinie jedenastej, kiedy to zamierzał przekazać jej spadek.

Potem nadszedł list z banku Child z informacją, że stała się właścicielką 500 funtów, pozostawionych jej przez ojca, wraz z należnymi odsetkami. Bank oczekuje na polecenia związane z zarządzaniem pieniędzmi. Hester wydobrzała już na tyle, że zrobiła Annie prezent w postaci pięknego jedwabnego szala. Nadeszły życzenia od cici Marie, a Luke podarował jej angielsko-włoski słownik.

- Obawiam się, że to niezbyt oryginalny prezent - powiedział. - Ale pomyślałem sobie, że ci się przyda.

- Dziękuję - odparła Anna. - Jestem wdzięczna. Niełatwo go dostać, a rzeczywiście go potrzebowałam. - To była prawda. Prezent był użyteczny, lecz trudno go było nazwać romantycznym.

Następnego dnia Anna i Luke wyruszyli do Gray Inn. Tym razem pan Hargreaves przyjął ich zupełnie inaczej. Kiedy tylko Luke się przedstawił, natychmiast zostali wprowadzeni do

biura. Podano im krzesła. Pani Redbourn usłyszała gratulacje z okazji osiągnięcia dojrzałości, pan Redbourn kondolencje z powodu śmierci brata.

Kiedy wreszcie grzeczności dobiegły końca, Hargreaves przeszedł do meritum.

- Po pierwsze, jestem szczęśliwy, mogąc panią poinformować, że pan Henry Ignatius pozostawił pani majątek w wysokości... - zajrzał do dokumentów - coś około sześćdziesięciu tysięcy funtów. - Wyprostował się z uśmiechem.

Anna pobladła.

- Sześćdziesiąt tysięcy! - wyszeptała. Teraz już z pewnością Luke mnie nie zechce, pomyślała. Będzie się bał, że mu dolepią etykietkę łowcy posagów. - Ale dlaczego ja?

- Przypuszczam, że można to nazwać zwrotem długu. Pan Ignatius użył pani rodzinnego klejnotu jako zabezpieczenia pewnej pożyczki, dzięki której stworzył swoje imperium. Pan Ignatius zrobił majątek na budowie kanałów.

- Ale szmaragd. Dlaczego nie skontaktował się z moim ojcem? - Anna nadal nie potrafiła się pozbierać ze zdumienia.

- Nie wiem, dlaczego wybrał właśnie ten sposób zwrotu długu. Prawdopodobnie wyrzuty sumienia. Niemniej był bardzo precyzyjny, kiedy zjawił się u mnie w tysiąc osiemset pierwszym roku. Nie chciał zostawić tych pieniędzy pani ojcu. Wszystkie miały zostać przepisane na panią, po pani dwudziestych pierwszych urodzinach. Oczywiście nie wiedziałem, że szmaragd znalazł się w jego posiadaniu w nieuczciwy sposób. - Popatrzył na Annę i Luke'a. - Sądzę, że zarządzaniem majątkiem zajmie się teraz pani mąż. Damy nie mają głowy do finansów.

Anna otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

Prawnik wysunął szufladę i wyjął z niej małą paczuszkę.

- To, jak myślę, bardziej przypadnie pani do gustu.

Trzymając dziwnie opakowaną paczuszkę, Anna czuła, że nadeszła chwila, na którą długo czekała. Rozwinęła papier. W środku, owinięty w jedwab, leżał szmaragd. Anna nagle znowu znalazła się w kuchni cioci Marie w Paryżu. Stała przy stole i podziwiała kamień w płomieniu dogasającej świecy.

- Ostatni raz widziałam go czternaście lat temu - szepnęła. Delikatnie podniosła klejnot. Był nawet piękniejszy, niż pamiętała: złota oprawa z mieniącymi się brylancikami i rubinami i z tajemniczym zielonym kamieniem w samym sercu. Pokazała go Luke'owi.

- Przepiękny. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Wspaniały okaz - zgodził się Hargreaves. - U Rundella i Bridge'a powiedzieli mi, że rzadko się spotyka tak piękny klejnot.

Kiedy pół godziny później Anna i Luke opuszczali biuro, adwokat osobiście ich odprowadził, kłaniając się głęboko przy każdym kroku.

- Cóż za przemiana - rzucił Luke.

- Kłania się sześćdziesięciu tysiącom funtów - odparła cynicznie Anna. Była całkowicie wyczerpana. Pragnęła jedynie zwinąć się gdzieś w kątku i przestać istnieć. Nigdy dotąd nie czuła się taka samotna i opuszczona.

Wsiedli do dorożki.

- Teraz możesz robić, co zechcesz - zauważył serdecznie Luke. - Dom w najlepszej okolicy, własny powóz, przystojny książę.

Anna nagle straciła resztki wytrzymałości.

- Żałuję, że kiedykolwiek usłyszałam o tych pieniądzach! - zaczęła krzyczeć. - Na razie przyniosły mi same nieszczęścia. Jestem pewna, że masz rację. Teraz mogę kupić, co zechcę. Nawet, jak sugerujesz, męża. Wspaniale! A co ze mną? Gdzie

w tym wszystkim jest miejsce dla mnie? Kto zainteresuje się mną, kiedy otaczać mnie będzie całe to pobłyskujące bogactwo? Chciałabym umrzeć. - Nie panując już nad sobą, wybuchnęła głośnym płaczem.

- Anno! - Luke próbował ją objąć ramieniem, ale się odsunęła. Przyrzekła sobie w duchu, że nie odezwie się już do końca drogi do domu. Kiedy dojechali na miejsce, poszła prosto do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

To zachowanie tak bardzo do niej nie pasowało, że po obiedzie, kiedy Anna nadal się nie pokazywała, Luke złapał dorożkę i udał się prosto na Phoenix Street.

W sklepie było kilku klientów. Luke czekał niecierpliwie, aż Marie ich obsłuży. Francuzka natychmiast się zorientowała, że chodzi o coś poważnego, bo pan Redboume jeszcze nigdy nie był tak przejęty i blady. Czy coś się stało Annie? Zawołała Francois, kazała mu zająć się sklepem, po czym zaprowadziła Luke'a na dół do kuchni.

Luke opadł ciężko na krzesło.

- Zgaduję, że byliście u pana Hargreavesa?

- Tak.

Luke streścił wizytę u adwokata, po czym opowiedział o wybuchu Anny.

- Nie spodziewałem się, że ona tak to przyjmie! - wykrzyknął. - Myślałem, że będzie zadowolona. Bóg mi świadkiem, że miała wiele zmartwień przez ostatnie kilka miesięcy.

Ach, ci Anglicy, pomyślała Marie. Wiedzą wszystko na temat koni i tej swojej paskudnej pogody, ale nic o kobiecych sercach. Czy to możliwe, żeby Redbourn nie miał pojęcia, w czym rzecz?

- Może powinienem przyspieszyć proces unieważnienia małżeństwa - ciągnął Luke. - Anna zgodziła się zostać u nas

dłużej ze względu na stan zdrowia mojej siostry, załamanej po śmierci brata. Może to egoistyczne z mojej strony, że ją o to poprosiłem... - Zabrakło mu głosu.

Marie postanowiła wziąć byka za rogi.

- Czy pragnie pan tego unieważnienia, monsieur Redbourn?

Luke popatrzył na nią, ale zaraz odwrócił wzrok.

- Miałem nadzieję... - zaczął, lecz urwał.

- Jestem przekonana, że Anna też tego nie chce. - Uznała, że tyle wolno jej powiedzieć, nie wyjawiając tajemnicy podopiecznej.

Luke wydawał się oszołomiony.

- Jest pani pewna?

- Dlaczego pan jej o to nie spyta?

Następnego popołudnia Anna została w domu sama. Luke z Walterem wyszli załatwić coś na mieście, Hester wybrała się z Minervą na recital madame Catalini, co oznaczało, że wróci dopiero późnym wieczorem. Emmy w kuchni starała się zetrzeć na miało kostki cukru.

Anna poczłapała do salonu i ciężko opadła na fotel. Natychmiast wskoczył jej na kolana Ben, więc zaczęła go głaskać. Jaki jest sens przedłużania tej agonii, myślała? Wcześniej czy później Hester będzie w stanie przejąć od niej stery zarządzania domem. Luke już raz mówił o unieważnieniu małżeństwa. Wkrótce niewątpliwie wspomni o tym ponownie. Przypuszczalnie już dziś wieczorem po kolacji.

Próbowała zastanowić się nad swoją przyszłością, lecz stwierdziła, że w ogóle nie jest w stanie myśleć. Niczego nie widziała. Przyszłość jawiła się jej jako ciemna i przerażająca

puszka. Czy Luke będzie za nią tęsknił? Może odetchnie i ucieszy się, że jego życie powróciło do normy, a w odpowiednim czasie oświadczy się Caroline Simpson?

Nie mogąc znieść własnych myśli, Anna zepchnęła Bena z kolan i poszła dopilnować przygotowań do kolacji.

Pan i pani Redbourn spożywali posiłek w ciszy. Luke podziękował żonie za smaczne jedzenie, Anna zrewanżowała się, pytając uprzejmie, czy spędził owocny dzień. Rozmowa wyraźnie im się nie kleiła. Kiedy Emmy zabrała talerze, Redbournowie przenieśli się do salonu i usiedli, każde po przeciwnej stronie kominka. Luke podniósł gazetę, Anna robótkę ręczną.

Czas mijał. Z dołu dochodziły ich odgłosy krzątającej służącej. Zegar wybił pół do dziesiątej. Anna wstała, by przygotować herbatę.

Luke nagle odłożył gazetę.

- Anno, myślę, że musimy porozmawiać o przyszłości.

Dziewczyzna usiadła. Stało się, pomyślała zrezygnowana.

- Wiem, że uzgodniliśmy, iż dojdzie do anulowania małżeństwa... - Luke miał pewne kłopoty z artykułowaniem - ale...

- Ale? - wyszeptła Anna, prawie nie śmiać oddychać.

Wstał i podszedł do okna.

- Oczywiście, jeżeli tego chcesz, rozpocznę sprawę.

- A ty, czego chcesz? - zapytała prawie bezgłośnie.

Luke odwrócił się. Podszedł do Anny i podniósł ją z fotela.

- Och, Anno, obawiam się, że ci się to nie spodoba, ale tak bardzo cię kocham! Wszystko, czego pragnę, to zabrać cię na prawdziwy miodowy miesiąc...

- Ale Luke... - Anna mocno ścisnęła jego dłonie. - Ja także tego pragnę!

- Dzięki Bogu! - Puścił jej ręce i wziął ją w objęcia. Przez



jakiś czas panowała cisza. Potem uniósł głowę i powiedział czule:

- Najdroższa, możesz już oddychać?

Anna nabrała kilka łyków powietrza.

- To dlatego, że nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji.

- Mam nadzieję - z rozbawieniem rzucił Luke. - A teraz, pozwól, że ci pokażę...

Hester wróciła z recitalu około pół do jedenastej. Jak zawsze w holu paliła się oliwna lampka. Poszła do kuchni, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i ze zdumieniem stwierdziła, że Ben siedzi na zewnątrz na parapecie i wygląda na bardzo zniechęconego swoim żywotem. Otworzyła okno i wpuściła go do środka. Lubił spać na jednym z kuchennych krzeseł, więc kiedy dostał trochę wody do picia, zwinął się na nim i natychmiast zasnął. Dziwne, pomyślała Hester. Zazwyczaj to Anna wpuszcza go do domu.

Wzięła lampę i ruszyła na piętro. Zajrawszy do salonu spostrzegła, że na tacy stoją nie ruszone naczynia do herbaty. Pokój wyglądał tak, jakby opuszczono go w pośpiechu: poduszki w nieładzie, krzesła nie odstawione na swoje miejsca.

Poszła piętro wyżej i przechodząc koło pokoju Anny stwierdziła, że drzwi stoją otworem. Zaciekawiona zerknęła do środka. Pusto.

Spojrzała w stronę pokoju Luke'a. Drzwi były zamknięte, za to tuż przy nich na podłodze leżała różyczka z pantofelka Anny.

KONIEC